cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #216 09/2024

Piotr Lisiewicz
WOLNY POLAK ZA STALINA. DO PSYCHUSZKI WSADZILI GO KOLEDZY – PISARZE

Jacek Rutkowski
EDUKACJA A NOWY CZŁOWIEK

Krzysztof Karnkowski
Z BAGNA NA SZCZYT. TRUDNA DROGA J.D. VANCE'A

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

Rubcow
KOMANDO ŚMIERCI I ROSYJSKIE ZAGADKI



ISSN 1895-4960

OKŁADKA: MARIUSZ TROLIŃSKI FOT. ALEXANDER KAZAKOV/SPUTNIK/KREMLIN POOL, PORTAL X, FREEPABLOGONZ / X, ADOBE STOCK

eprasa.pl 2e2f033bb9

TEMAT NUMERU ▼ 4–15



Rubcow – komando śmierci i rosyjskie zagadki / 4

IDEE ▼ 16–39



Jak kategorię prawdy zastąpiła troska o samopoczucie / 16

HISTORIA ▼ 40–61



Wolny Polak za Stalina. Do psychuszki wsadzili go koledzy – pisarze / 40

KULTURA ▼ 62–70



Narodziny herosów / 62

ŚWIAT ▼ 76–98



Chiny: diabelski przemysł grabieży organów / 76

Spis treści

TEMAT NUMERU

Grzegorz Wierzchołowski
Rubcow – komando śmierci i rosyjskie zagadki 4

Piotr Grochmalski
Szpiedzy Putina na wojnie z Polską 10

Ryszard Czarnecki
Rubcow plus jedna: skojarzenia 15

IDEE

Jakub A. Maciejewski
Jak kategorię prawdy zastąpiła troska o samopoczucie 16

Dawid Wildstein
Liberałowie chcą krwi. Część druga 20

Jacek Rutkowski
Edukacja a nowy człowiek 24

Małgorzata Matuszak
Silvers? To brzmi dumnie 30

Ewa Polak-Pałkiewicz
Jak z tradycyjnego społeczeństwa uczynić rewolucyjny tłum? 34

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Wolny Polak za Stalina. Do psychuszki wsadzili go koledzy – pisarze 40

Agnieszka Kowalczyk
Dzieci Zamojszczyzny. Trauma wydartego dzieciństwa 46

Dariusz Jarosiński
„Iskra" i „Bruzda" – historia bez happy endu 52

Stefan Żeromski
Sędzia „Obrusitiel" 58

fragm. „Przedwiośnia"
Przyszedłeś Warszawę zdobywać, śmierdziuchu moskiewski? 59

fragm. „Przedwiośnia"
Moskwa cuchnie zbrodnią 60

fragm. „Na probostwie w Wyszkowie" 61

KULTURA

Łukasz Czarnecki
Narodziny herosów 62

Krzysztof Karnkowski
Z bagna na szczyt. Trudna droga J.D. Vance'a 68

ŚWIAT

Hanna Shen
Chiny: diabelski przemysł grabieży organów 76

Antoni Rybczyński
Szpiedzy za zakładników. Putin znów wygrał 80

Stefan Czerniecki
Rio: miasto strachu pełnego nadziei 86

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92

oprac. Antoni Rybczyński
25 lat Putina 94

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Czerwona wyspa na morzu aktywności Moskwy
NA POCZĄTEK 3



Małgorzata Matuszak
Czym jest... kreatywność
KATECHIZM INTELIGENTA 29



Marek Kalinowski
Cekiny, Dylan i Taylor Swift
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 71



Krzysztof Wołodźko
„Biedacy, ogarnijcie się!". Vance i biali ubodzy w USA
DZIENNIK LEKTUR 72



Ryszard Czarnecki
Na sportowym dnie. Co dalej?
CZARNECKO TO WIDZĘ 85



Tomasz Sakiewicz
Zbadać wsparcie Niemiec dla Tuska
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 2e2f033bb9

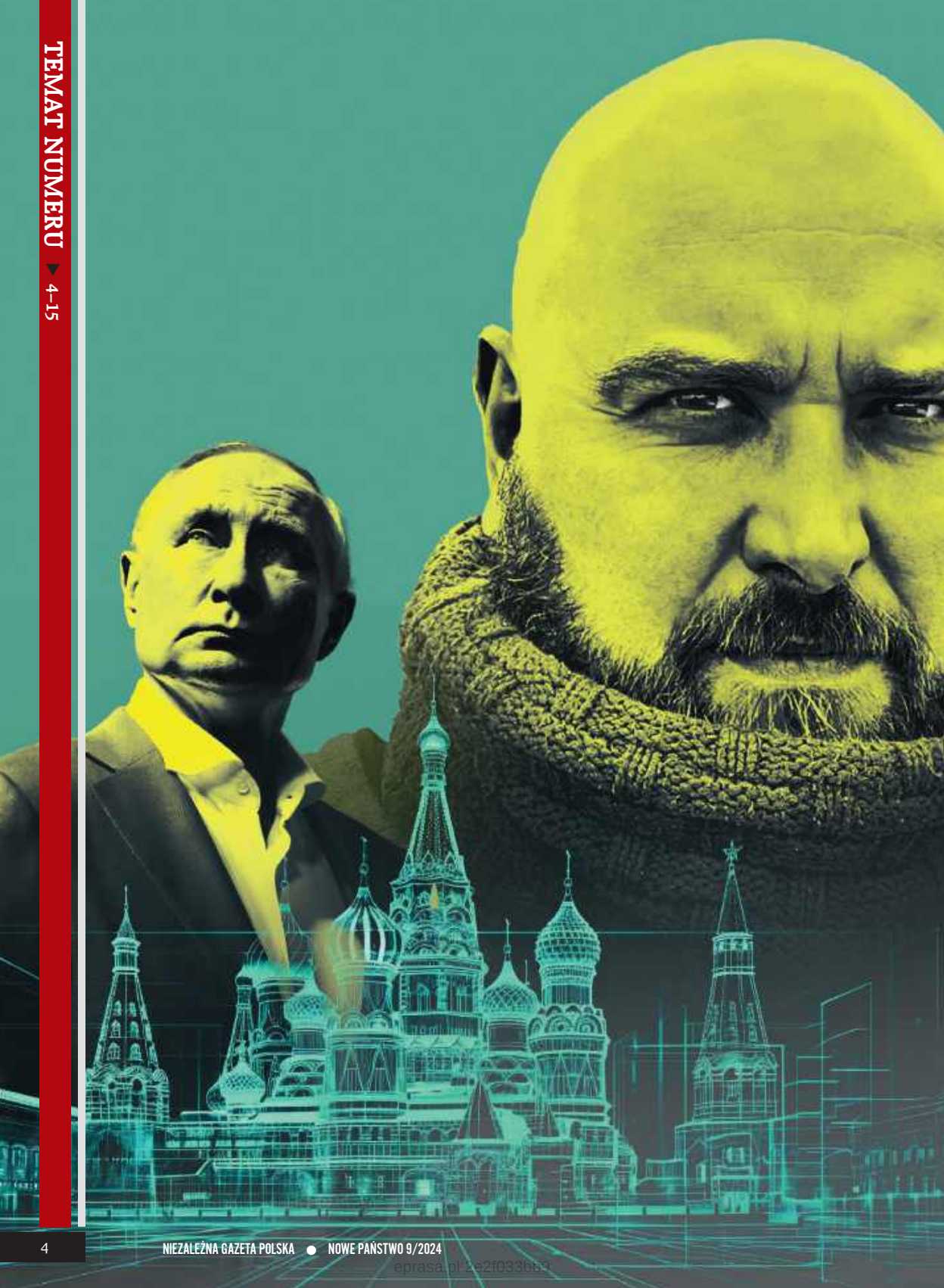


Katarzyna Gójska

Czerwona wyspa na morzu aktywności Moskwy

Profesor Stanisław Swianiewicz, słynny polski sowietolog, autor przełomowej pracy o ekonomicznym wymiarze sowieckiego aparatu terroru, który dzięki wyjątkowemu zbiegowi okoliczności uniknął śmierci w katyńskim lesie, opisując swe doświadczenia z ZSRS, powiedział, iż zawsze, gdy wydawało mu się, że tam już gorzej być nie może, to za każdym razem było. Przywołuję często tę jego opinię, bo w naszym kraju od upadku komunizmu dominuje przekonanie o małym zainteresowaniu rosyjskich służb Polską. Trudno to racjonalnie wytłumaczyć, bo przecież nie sposób znaleźć logiczne argumenty potwierdzające tę tezę. Jednak w kanonie obowiązkowych prawd postkomunistycznej tresury społecznej był dogmat o nieistotności współpracy z komunistyczną bezpieką i nakaz szydzenia z każdego, kto podejmował temat rosyjskich szpiegów. Tymczasem to wiara w to, iż Polska jest jakąś zieloną wyspą na morzu aktywności rosyjskich służb, zakrawa na szaleństwo. Jest bowiem oczywiste, że będąc największym państwem regionu, z najsilniejszym potencjałem (każdym) oraz mając historycznie ugruntowane wpływy na narody sąsiednie – jesteśmy w centrum zainteresowania Moskwy, a nie na jego peryferiach. Zresztą zawsze tak było. Nawet wieki temu. Warto zatem spojrzeć na sprawę Rubcowa, oficera GRU, w dużo szerszym kontekście. Pokazuje ona bezsprzecznie, że Kreml zaangażował się w obalenie rządu Zjednoczonej Prawicy, działając zarówno wewnątrz naszego kraju, jak i na zewnątrz. RP rządzona przez inną ekipę polityczną dużego wyboru nie ma, wiadomo, o jaką chodzi – była zatem postrzegana przez Putina jako korzystniejsza, jeśli nie wręcz korzystna. Skala kontaktów Rubcowa pokazuje, jak wielkimi grupami wpływu (co najmniej wpływu) dysponuje u nas Rosja. Między bajki można włożyć opowieści, że ów oficer GRU udający hiszpańskiego żurnalistę wszystkich zwiódł, a wcześniej wszystkich sobą oczarował. Może kilka osób rzeczywiście padło jego ofiarą, ale ten korowód person, przyjaciół, obrońców, piewców z wszelkich dziedzin życia to w większości po prostu aktywa Rosji, które zostały na potrzeby tej akcji uruchomione, i on nimi (bądź ktoś jeszcze inny) zwyczajnie zarządzał. Jeśli spojrzymy na liczebność i różnorodność tego towarzystwa, to dostrzeżemy wręcz armię ludzi, która wzięła udział w rosyjskiej akcji przeciw Polsce. Ale to nie są ludzie bez historii. Ogromna część w taki bądź inny sposób pokazała się opinii publicznej jako reprezentanci lub obrońcy interesów czy aktywów Kremla – sprawa Smoleńska jest doskonałym przykładem. Polska debata publiczna jest zatem wręcz natkana wpływami rosyjskimi i zapewne ogromna część z nich ma charakter w jakiejś mierze sformalizowany. Posługując się opisem wspomnianego profesora Swianiewicza – jest gorzej niżby się mogło wydawać. To jednak nie koniec złych wiadomości. Rosyjskie aktywa w Polsce czują się na tyle silne i bezpieczne, iż nawet po schwytaniu i zatrzymaniu oficera GRU przystąpiły do ataku w jego obronie i były w stanie wykorzystać jego areszt do rozwijania akcji przeciwko naszemu państwu. Było to możliwe również dlatego, że prawdziwe informacje dotyczące Rubcowa nie zostały wyjawione opinii publicznej. Szpieg Putina został zdemaskowany, ale nie przed Polakami. To tragiczny w skutkach błąd, który umożliwił moskiewskim służbom posługiwanie się nim nawet wówczas, gdy siedział już w areszcie. Polacy i świat byli informowani, że nasze służby zatrzymały jakiegoś hiszpańskiego dziennikarza i wokół tego fejkowego przekazu Moskwa rozpoczęła grę. Polska opinia publiczna została zmanipulowana na dwa sposoby: po pierwsze, że sprawa jest bez znaczenia dla bezpieczeństwa kraju, po drugie, iż rząd PiS uwięził jakiegoś Hiszpana, za którym wstawia się rzesza rozpoznawalnych osób. Polski rząd odniósł sukces, chwytając szpiega, ale miał obowiązek ukazać obywatelom Polski cały kontekst jego sprawy. Pokazać, kim w rzeczywistości jest zatrzymany (izraelscy eksperci od bezpieczeństwa określają go najważniejszym agentem rosyjskim schwytanym na terenie RP), w jakich środowiskach funkcjonował, z jakimi osobami publicznymi miał kontakt i jaki przekaz o Polsce rozpowszechniał. Milczenie władz RP dało Rosjanom wielkie możliwości działania. Długo by je opisywać. Warto w tym miejscu zaznaczyć tylko, że jednym z rozkręcających tzw. aferę Pegasusa był prawnik uwięzionego Rubcowa, *nomem omen* namierzonego m.in. dzięki temu systemowi. Jednym słowem Rubcow siedział za kratami, a mimo to działał przeciwko naszej ojczyźnie. Sprawa oficera GRU pokazuje, jak niezbędna była w Polsce komisja badająca rosyjskie wpływy. Ale nie na końcu drugiej kadencji PiS, a jako jedna z pierwszych jego decyzji po wygraniu wyborów w 2015 roku. Bo Polska nie jest zieloną wyspą na morzu aktywności wywiadowczej Kremla, a mocno czerwoną przestrzenią, po której służby Moskwy hulają swobodnie od początku III RP. Nawet schwytanie ważnego funkcjonariusza nie rodzi dla nich poważniejszych konsekwencji. Rubcow wszak wrócił do domu, a opinia publiczna najpewniej dalej będzie odcinana od informacji dotyczących jego aktywności i kontaktów. Są u nas potężne siły, które chronią interes Moskwy. Zawsze i skutecznie. ■

eprasa.pl 2e2f033bb9



eprasa.pl/2e2f033bb9

Grzegorz Wierzchołowski



Rubcow – komando śmierci i rosyjskie zagadki

Szpiega GRU Pawła Rubcowa prowadzili ludzie bezpośrednio związani z rosyjskim komandem śmierci, którego członkowie przewijali się przez Polskę w czasach resetu z Rosją. Tropów łączących „hiszpańskiego dziennikarza" z wierchuszką GRU i niesławną jednostką 29155 jest mnóstwo – podobnie jak wątpliwości dotyczących polskiej partnerki Rubcowa.

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI
FOT. ALEXANDER KAZAKOV / SPUTNIK / KREMLIN POOL, PORTAL X, ADOBE STOCK

eprasa.pl 2e2f033bb9

Pablo Gonzalez vel Paweł Rubcow to postać, o której działaniach w ramach rosyjskich operacji wywiadowczych wiemy coraz więcej, choć wciąż zagadki i niewiadome przeważają nad potwierdzonymi faktami. Jedną z kluczowych postaci w historii Rubcowa jest Siergiej Turbin, oficer GRU, który odegrał istotną rolę w akcjach rosyjskich służb na terenie Europy, w tym także w Polsce. Jak wynika z danych pochodzących z wycieku bazy Sirena-Travel (baza rezerwacji lotniczych), istnieją dowody na wspólne działania Turbina i Rubcowa, które obejmowały m.in. podróże lotnicze z Moskwy do Petersburga i z powrotem. Niewykluczone, że Turbin „prowadził" czy też bezpośrednio nadzorował Rubcowa.

Jak zauważył bułgarski dziennikarz śledczy portalu Bellingcat Christo Grozew, Siergiej Turbin nie jest zwykłym oficerem GRU. Jego działalność jest ściśle związana z Departamentem 5 GRU, czyli jednostką odpowiedzialną za operacje „nielegałów" – specjalnych agentów działających pod fałszywymi tożsamościami w różnych krajach. Według informacji dostępnych w wykradzionych rosyjskich bazach danych, Turbin regularnie podawał adres ul. 50 Narodnogo Opolczenija jako miejsce zamieszkania. Ta lokalizacja nie jest przypadkowa – to siedziba Akademii Wojskowej Ministerstwa Obrony Rosji, znanej również jako „Konserwatorium GRU", gdzie szkolą się najlepsi agenci wywiadu. Co więcej, Turbin, jego żona i syn byli również zameldowani pod tym adresem podczas rejestracji samochodów oraz innych czynności urzędowych, co dodatkowo potwierdza jego przynależność do elity wywiadu wojskowego. Numer telefonu Turbina pojawiał się w rejestrach rozmów telefonicznych z członkami Departamentu 5, w tym z Andriejem Iłczenką, wysokim rangą oficerem GRU, który nadzorował operacje „nielegałów". Ich częste rozmowy, zwłaszcza w okolicach siedziby Departamentu 5 na Komsomolskim Prospekcie w Moskwie, sugerują, że obaj byli zaangażowani w wysoko skoordynowane działania wywiadowcze, które miały na celu destabilizację sytuacji w Europie, m.in. w Polsce.

Bonanza Gonzaleza

Jednym z najbardziej kontrowersyjnych projektów, w które było zaangażowane GRU, a w którym brał udział Paweł Rubcow, było Bonanza Media – platforma medialna, która miała na celu propagowanie prokremlowskich treści na Zachodzie. Projekt ten został zainicjowany przez Janę Jerłaszową, byłą dziennikarkę, czy raczej propagandystkę RT (Russia Today), oraz holenderskiego blogera Maxa van der Werffa – powiązanego z Moskwą „pożytecznego idioty" lub agenta wpływu. Bonanza Media, choć przedstawiało się jako niezależna platforma dziennikarska, było w rzeczywistości narzędziem dezinformacji, ściśle współpracującym z rosyjskim wywiadem wojskowym GRU.

Rubcowowi wyznaczono przy tej operacji niebagatelne zadanie. Współpracując z Jerłaszową, agent GRU działał jako jeden z propagatorów treści publikowanych przez Bonanza Media. Jak wynika z dochodzenia przeprowadzonego przez Bellingcat – wspierany czynnie przez Rubcowa (jako „hiszpańskiego dziennikarza") projekt Bonanza Media był ściśle koordynowany przez GRU, a jednym z głównych jego nadzorców był Siergiej Czebanow, pułkownik GRU. Czebanow, były dyplomata i absolwent Akademii Wojskowej GRU, był odpowiedzialny za przekazywanie wytycznych i materiałów dezinformacyjnych, które były następnie publikowane przez Bonanza Media. Jego rola w projekcie była na tyle znacząca, że Jerłaszowa – przedstawiana w materiałach dziennikarskich Gonzaleza jako „niezależna dziennikarka" – regularnie przesyłała Czebanowowi do zatwierdzenia artykuły oraz teksty promocyjne, zanim zostały one upublicznione.

Gonzalez był w 2019 roku na zorganizowanej przez Bonanza Media, czyli przez GRU, „konferencji" eksperckiej poświęconej zestrzeleniu malezyjskiego boeinga nad Ukrainą. Został tam zaproszony jako dziennikarz. Na imprezie przedstawiano „dowody", jakoby to Ukraina była odpowiedzialna za tragedię. Gonzalez napisał z owej konferencji (w listopadzie 2019 roku) relację, całkowicie zgodną z linią Kremla.

Warto zaznaczyć, że Bonanza Media nie tylko szerzyło dezinformację na temat MH17 (zestrzelenie malezyjskiego boeinga przez terrorystów rosyjskich przedstawiało jako działania ukraińskie), lecz także było częścią szerszej strategii GRU, mającej na celu osłabienie zaufania do zachodnich instytucji oraz wzbudzenie nieufności wobec mediów głównego nurtu. Rubcow, działając jako „dziennikarz", odgrywał istotną rolę w realizacji tej strategii, szerząc na swoim portalu Eulixe i w mediach społecznościowych treści, które miały na celu podważenie wiarygodności zachodnich mediów i instytucji, a także promowanie rosyjskiej narracji.

Elitarne komando

„Mentor" projektu Bonanza Media, Siergiej Czebanow, i wysoki oficer GRU Andriej Iłczenko – z którym w regularnym kontakcie był „opiekun" Rubcowa, czyli Turbin – to postacie, które nie tylko łączy przynależność do GRU, lecz także bliskie powiązania z jednostką 29155, niesławną grupą specjalną, odpowiedzialną za szereg operacji wywiadowczych na terenie Europy, w tym za zamachy, prowokacje polityczne i działania

eprasa.pl 2e2f033bb9

sabotażowe. Jednostka 29155, dowodzona przez gen. Andrieja Awerjanowa, zyskała międzynarodowy „rozgłos" po ujawnieniu jej roli w zamachach na Siergieja Skripala w Salisbury, a także w wysadzeniu magazynów amunicji w Czechach w 2014 roku. Jednak tropy prowadzące do tej jednostki pojawiają się także w kontekście Polski i katastrofy smoleńskiej. Agenci z „29155" zorganizowali choćby akcję otrucia Emiliana Gebrewa – bułgarskiego magnata przemysłu zbrojeniowego. Jak pisała „Gazeta Polska" – w kolacji, którą Gebrew spożył w hotelu w Sofii tuż przed zapadnięciem w śpiączkę, towarzyszyli mu polscy i rosyjscy biznesmeni. Niektóre bułgarskie media sugerowały, że chodzi o przedstawicieli firmy Polit Elektronik, która robiła z Gebrewem interesy, a tuż przed katastrofą smoleńską oddała Tu-154 do remontu ludziom rosyjskich służb.

„29155" to grupa wysoko wyspecjalizowanych oficerów wywiadu, którzy zostali powołani do realizacji najbardziej niebezpiecznych i tajnych operacji GRU. Wiadomo, że jednostka ta została utworzona w 2008 roku, prawdopodobnie w wyniku wielkiej reorganizacji rosyjskich służb specjalnych po wojnie z Gruzją. W jej skład weszli weterani rosyjskich wojen w Afganistanie, Czeczenii, a później na Ukrainie. Wśród nich byli Denis Siergiejew, znany również jako Siergiej Fiedotow, oraz Aleksander Miszkin i Anatolij Czepiga, znani z późniejszego zamachu na Siergieja Skripala.

Wiele wskazuje na to, że agenci działający w „29155" byli obecni w Polsce już od 2011–2012 roku, czyli w okresie tzw. resetu z Rosją, kiedy to Platforma Obywatelska próbowała zacieśnić relacje z Moskwą. W tym czasie odbywały się liczne wizyty dyplomatyczne, a także negocjacje dotyczące współpracy wojskowej. Właśnie w Polsce jeden z prominentnych członków jednostki 29155 pełnił eksponowaną funkcję dyplomatyczną. Chodzi o Edwarda Szyszmakowa (vel Edward Szyrokow), oficera GRU, który w 2016 roku dowodził operacją mającą na celu dokonanie prorosyjskiego i proserbskiego przewrotu w Czarnogórze. Z dowodów zebranych przez służby czarnogórskie wynika m.in., że Szyszmakow zorganizował grupę około 500 osób, które w dniu wyborów (16 października 2016 roku) miały dokonać zamachu stanu oraz przejąć i zabić pronatowskiego premiera Milo Djukanovicia. Szyszmakow przebywał na stałe w Polsce – tak wynikałoby z jego paszportu – prawdopodobnie od 2012 roku, pełniąc funkcję wiceszefa ataszatu wojskowego w ambasadzie Rosji w Warszawie. Brał aktywny udział w kilku uroczystościach w różnych województwach, ale oczywiście jego działalność nie ograniczała się do funkcji dekoracyjnych. Na przykład 24 stycznia 2014 roku Szyszmakow wziął udział w spotkaniu wysokiego szczebla do spraw bezpieczeństwa z ówczesnymi przedstawicielami Biura Bezpieczeństwa Polski (BBN). Przyszły zleceniodawca zamordowania premiera Czarnogóry czuł się w Polsce bardzo swobodnie. Do tego stopnia, że w czerwcu 2014 roku odwiedził go w naszym kraju z prywatną wizytą jego syn – Dmitrij, informatyk na co dzień mieszkający w Petersburgu.

Prawdopodobnie między 2011 a 2013 rokiem – a na pewno w 2012 roku – Warszawę wizytował, robiąc sobie tu także zdjęcia, inny agent komanda 29155, wraz z Szyszmakowem przygotowujący później krwawą łaźnię w Czarnogórze. Chodzi o Władimira Mojsejewa, który po Europie podróżował pod fałszywym nazwiskiem Popow. W latach 2005–2009 służył on w lotniczej jednostce Specnazu GRU, znanej jako jednostka wojskowa nr 48427. W 2008 roku oddział ten brał udział w operacjach w Gruzji podczas konfliktu osetyjsko-gruzińskiego i wojny rosyjsko-gruzińskiej.

W Warszawie – przynajmniej przelotem, ale wystarczająco, by na przykład spotkać się z kim trzeba na lotnisku – pojawiał się też sam szef oddziału 29155, gen. Andriej Awerjanow. Szczególną uwagę zwracają jego działania jesienią 2014 roku. Choć Awerjanow miał zabukowany lot z Lizbony do Wiednia na 7 października 2014 roku, zrezygnował z niego, lecąc 4 października do Genewy, a dwie doby później stamtąd do Moskwy – ale z przesiadką w Warszawie. Jak sprawdziła „GP" – akurat w tym samym dniu, 6 października, stolicę Polski odwiedzał – spotykając się z prezydentem Komorowskim – sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg.

Jednym z najbardziej kontrowersyjnych projektów, w które było zaangażowane GRU, a w którym brał udział Paweł Rubcow, było Bonanza Media – platforma medialna, która miała na celu propagowanie prokremlowskich treści na Zachodzie.

eprasa.pl 2e2f033bb9

Dziennikarskie zadania

Podający się za hiszpańskiego dziennikarza Rubcow nie był zatem jednym z pospolitych narzędzi rosyjskiej dezinformacji na Zachodzie, lecz wykonawcą zadań, które zlecali mu ludzie związani bezpośrednio z komandem śmierci, za jakie uznawana jest jednostka 29155. Analiza treści i tematyki publikacji Rosjanina pokazuje, że tematy, które podejmował, były zbieżne zarówno z linią propagandową Kremla, jak i ogniskowały się wokół problematyki wykorzystywanej przez GRU do bezpośrednich uderzeń w system bezpieczeństwa i geopolityczną pozycję Polski.

Rubcow regularnie publikował artykuły, w których krytykował politykę polskiego rządu, zarzucając mu „imperializm" i dążenie do rozszerzenia strefy wpływów Polski na tereny Białorusi, Ukrainy i krajów bałtyckich. W swoich tekstach podkreślał, że Polska dąży do odzyskania ziem dawnej unii polsko-litewskiej, co miało być rzekomo powodem napięć w regionie. Jego artykuły były pełne krytyki wobec rządów Prawa i Sprawiedliwości (PiS), zaniedbujących jakoby interesy Polski na rzecz polityki proamerykańskiej. Rubcow oskarżał także polski rząd o „niewdzięczność" wobec Unii Europejskiej, zarzucając mu stawianie na współpracę z Waszyngtonem kosztem relacji z Brukselą. Twierdził, że Polska „atakowała Rosję Sowiecką", a później Stalin „przywrócił ją na mapę". Zajmował się też polityką – przekonywał, że wygrana Rafała Trzaskowskiego i PO mogłaby ułatwić dialog z Rosją, wyjaśniając, że taki dialog byłby w interesie Polski. Był też aktywny na granicy polsko-białoruskiej.

Jednym z najbardziej kontrowersyjnych tekstów Rubcowa był artykuł poświęcony katastrofie smoleńskiej, w którym oskarżał on ofiary zamachu smoleńskiego o wywieranie presji na pilotów, co miało doprowadzić do katastrofy. „Hiszpański dziennikarz" wiele miejsca poświęcał wstrząsającym Polską protestom proaborcyjnym i na swój sposób je inspirował, lansując m.in. modę na tatuaże z „błyskawicami".

Podkreślmy: identyczne tematy podejmowała partnerka szpiega Magdalena Chodownik. która jako znacznie bardziej uznana i mainstreamowa dziennikarka mogła swój przekaz utrwalać w mediach kształtujących europejską opinię publiczną, jak EuroNews, „Guardian" czy France24. Chodownik poruszała chyba wszystkie możliwe tematy, które służyły siłom zewnętrznym do atakowania Polski i skłócania Polaków. Promowała LGBT i protesty proaborcyjne, bardzo krytycznie oceniała Polskę w europejskich mediach, wreszcie znajdowała się w centrum wydarzeń podczas siłowego przejęcia telewizji publicznej przez ekipę Donalda Tuska – a być może nawet była członkiem niesławnej „Grupy Wejście" (grupy planującej akcję przejęcia TVP i PAP).

Szczególnie aktywna była w temacie kryzysu granicznego wywołanego przez Putina i Łukaszenkę. W październiku 2021 roku Chodownik udzieliła wywiadu France24, gdzie mówiła o tym, iż „pięć osób zginęło już w lasach". „A ta wojna hybrydowa, jak ją nazywa polski rząd, tak naprawdę nie skończy się szybko. Tak naprawdę nie widzimy końca i światła w tym tunelu" – mówiła Chodownik. Krytykowała też pomysł budowy zapory granicznej. „Zupełnie poważnie myślę, że mamy w Polsce na co wydawać pieniądze i są to sensowniejsze cele niż ten mur" – mówiła Onetowi.

Dziwne biznesy

Z racji tej zbieżności tematyki i przekazu, którą trudno tłumaczyć względami tylko natury osobistej (zwłaszcza w świetle zarzutów, jakie postawiono dziennikarce), nie sposób zbyć wzruszeniem ramion wątpliwości, jakie pojawiają się wokół samej Chodownik i jej najbliższych. Jak ujawniła bowiem „Gazeta Polska" – założona i prowadzona przez ojca dziennikarki firma M.B. Fol Jan Chodownik figuruje na liście dostawców do Rosji rosyjskiego przedsiębiorstwa Import R. Zajmuje się ono organizacją usług importowych i kontaktami między rosyjskimi klientami a zagranicznymi dostawcami.

Według Import R, firma M.B. Fol Jan Chodownik oferowała dostarczanie do Rosji m.in. zastawy stołowej wykonanej z tworzywa sztucznego, patyczków do dekoracji koktajli i słomek do napoi. Co ciekawe – polska spółka wymieniana jest wśród dostawców z Hiszpanii i Włoch, choć może to oczywiście wynikać z jakiegoś błędu na stronie internetowej. Towary od Chodownika – jak jest zaznaczone na stronie – mogły być dostarczane do Rosji według reguły FCA (Free Carrier) Incoterms 2020. Chodzi o to, że sprzedawca spełnia swoje obowiązki dostawy towaru w momencie, gdy przekazuje go przewoźnikowi lub wyznaczonej przez kupującego osobie w określonym miejscu. Z KRS wynika, że M.B. Fol Jan Chodownik zakończyła działalność gospodarczą w 2017 roku. Był to prawdopodobnie efekt problemów finansowych przedsiębiorcy.

Jednocześnie osobną, niezależną od ojca działalność biznesową prowadziły jego dzieci. Bartosz Chodownik w 2007 roku zarejestrował w Grodzisku Mazowieckim firmę Caffeina Bartosz Chodownik, zaj-

eprasa.pl 2e2f033bb9

mującą się transportem drogowym towarów. Jak sprawdziliśmy, w lutym 2014 roku spółka ta zdobyła licencję dotyczącą międzynarodowego zarobkowego przewozu drogowego rzeczy. Uprawnienie to, wznowione w kwietniu 2016 roku, wygasło 9 lutego 2022 roku.

W grudniu 2021 roku także w Grodzisku Mazowieckim (pod tym samym adresem) zarejestrowano spółkę C183. Prezesem został Bartosz Chodownik, ale – jak ustaliliśmy – rzeczywistym beneficjentem jest Magdalena Chodownik. Kapitał zakładowy spółki to zaledwie 5 tys. zł, a główna branża działalności: transport lądowy oraz rurociągowy. „Gazeta Polska" dotarła do sprawozdań finansowych tej firmy: w 2023 roku przychód netto z jej działalności wyniósł aż 4,1 mln zł przy kosztach operacyjnych 3,8 mln zł (w tym większość, około 2 mln zł, to tzw. usługi obce, czyli koszty usług wykonanych na rzecz firmy przez podmioty zewnętrzne). Zysk netto to około 262 tys. zł.

Adwokat w rosyjskiej todze

Opiekunowie z GRU i znajomi z Polski – te dwa wątki są kluczowe do zrozumienia znaczenia i spektrum działalności Rubcowa/Gonzaleza w Polsce. Ale jest jeszcze jeden element wskazujący, jak ważną rolę odgrywał w rosyjskiej operacji przeciw naszemu krajowi. Chodzi o jego adwokata: Gonzalo Boye. No właśnie, czy tylko adwokata?

W latach 90. Boye związał się z baskijską organizacją terrorystyczną ETA, znaną z dążenia do niepodległości Kraju Basków poprzez działania zbrojne. W 1996 roku hiszpański sąd skazał Boye na 14 lat więzienia za współpracę z ETA, uznając jego kluczową rolę w porwaniu przedsiębiorcy Emiliano Revilli w 1988 roku. Porwanie, które trwało osiem miesięcy, zakończyło się wypuszczeniem ofiary po zapłaceniu dużego okupu. Boye, choć nie był bezpośrednim wykonawcą, odegrał istotną rolę w organizacji tego brutalnego procederu, co zostało udowodnione podczas procesu.

W trakcie pobytu w więzieniu Hiszpan postanowił zająć się zaocznym studiowaniem prawa. Owa transformacja z terrorysty w prawnika dała mu drugie życie. Po wyjściu na wolność (odsiedział sześć lat z czternastu) Gonzalo Boye rozpoczął działalność prawniczą, która z czasem zyskała międzynarodowy rozgłos i miała jednoznaczny politycznie charakter. Pozywał Izrael w związku z walką tego państwa z arabskimi terrorystami, a w 2009 roku złożył skargę przeciwko sześciu czołowym doradcom prawnym prezydenta USA George'a W. Busha za opracowanie ram prawnych umożliwiających otwarcie i istnienie ośrodka przetrzymywania w Guantanamo. W 2014 roku dołączył do zespołu prawnego broniącego Edwarda Snowdena, byłego pracownika CIA, który przeszedł na stronę Rosji.

Najbardziej znanym klientem Boye stał się jednak Carles Puigdemont, były przywódca Katalonii, który po nieudanej próbie ogłoszenia niepodległości regionu w 2017 roku, uciekł do Belgii, aby uniknąć aresztowania przez hiszpańskie władze. Boye z sukcesem bronił Puigdemonta przed ekstradycją do Hiszpanii, co uczyniło go bohaterem katalońskiego ruchu niepodległościowego, ale też sprowadziło na niego podejrzenia o powiązania z rosyjskimi służbami. W 2019 roku, w ramach śledztwa prowadzonego przez „The New York Times", ujawniono bowiem, że Josep Lluis Alay, doradca Puigdemonta, odbył kilka tajnych wizyt w Moskwie, gdzie spotykał się z rosyjskimi urzędnikami, byłymi oficerami wywiadu oraz wpływowymi przedstawicielami rosyjskich elit. Wśród osób, z którymi Alay miał się spotykać, byli m.in. Andriej Bezrukow, który służył jako inspiracja dla postaci z amerykańskiego serialu „The Americans", oraz Siergiej Sumin, pułkownik rosyjskiej agencji wywiadowczej FSB. Te kontakty miały na celu uzyskanie rosyjskiego wsparcia dla katalońskich dążeń niepodległościowych. Co więcej, w śledztwie tym pojawiły się informacje, że GRU, a konkretnie jego jednostka 29155, również było zaangażowane w sprawę katalońską. Denis Siergiejew, znany również jako Siergiej Fiedotow, oficer GRU odpowiedzialny za zamachy na Siergieja Skripala i zakłady produkujące amunicję w Czechach, miał wielokrotnie odwiedzać Katalonię, w tym na krótko przed referendum niepodległościowym w 2017 roku. Choć cel jego wizyt pozostaje nieznany, same jego powiązania z Katalonią rzucają cień na działania ruchu separatystycznego.

Gonzalo Boye aktywnie uczestniczył w akcji „Uwolnić Pablo Gonzaleza", gdy jego klient przebywał w polskim więzieniu. Niewykluczone jednak, że adwokat Puigdemonta i Rubcowa sam trafi za kratki (ponownie), jeśli ręki nie wyciągnie do niego ktoś z Moskwy. 21 października 2019 roku hiszpańska sędzia María Tardón zarządziła bowiem przeszukanie domu i biura Boye w Madrycie. Śledczy utrzymują, że prawnik opracował plan odzyskania niemal 900 tys. euro przejętych w walizce od organizacji handlarza narkotykami Sito Miñanco na lotnisku Barajas. Według prokuratury Boye uczestniczył w próbie operacji „wyprania" tych pieniędzy poprzez umowy kupna i sprzedaży weksli. Śledczy wnioskują dla niego o dziewięć i pół roku więzienia oraz grzywnę w wysokości 2,7 mln euro. ■

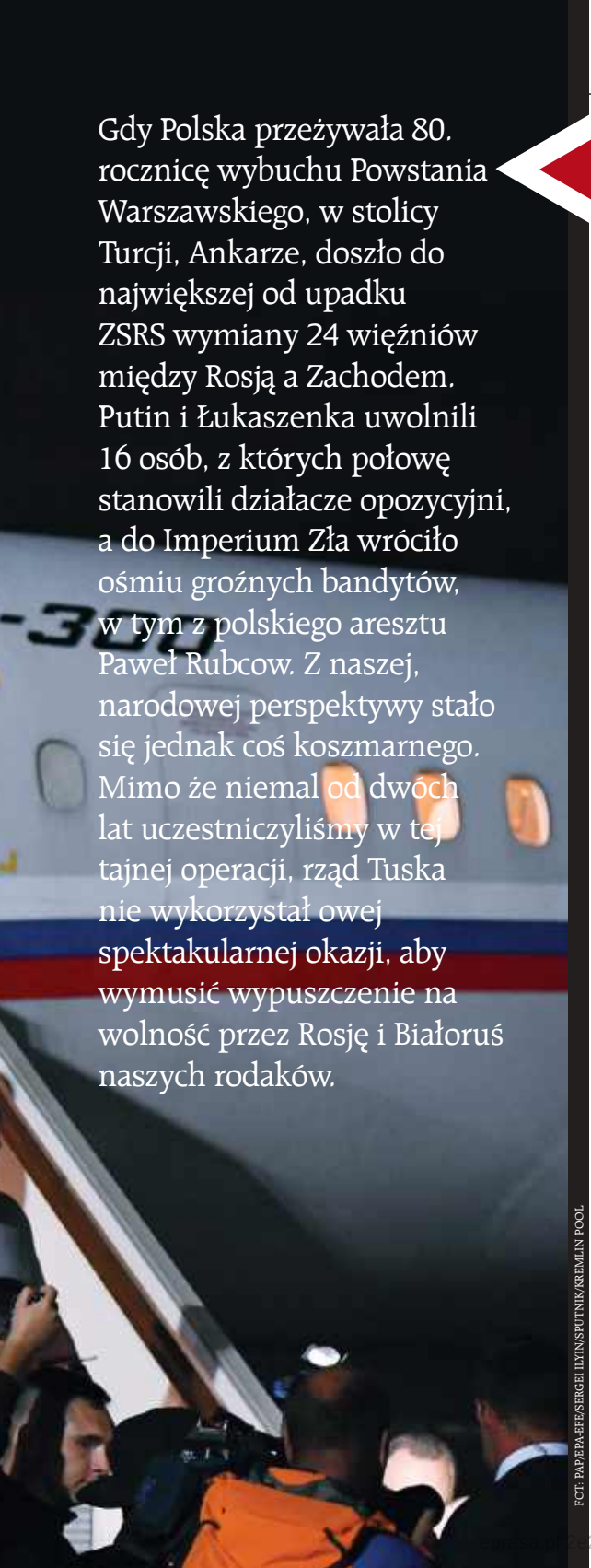
eprasa.pl 2e2f033bb9

Szpiedzy Putina na wojnie z Polską

Piotr Grochmalski



Gdy Polska przeżywała 80. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego, w stolicy Turcji, Ankarze, doszło do największej od upadku ZSRS wymiany 24 więźniów między Rosją a Zachodem. Putin i Łukaszenka uwolnili 16 osób, z których połowę stanowili działacze opozycyjni, a do Imperium Zła wróciło ośmiu groźnych bandytów, w tym z polskiego aresztu Paweł Rubcow. Z naszej, narodowej perspektywy stało się jednak coś koszmarnego. Mimo że niemal od dwóch lat uczestniczyliśmy w tej tajnej operacji, rząd Tuska nie wykorzystał owej spektakularnej okazji, aby wymusić wypuszczenie na wolność przez Rosję i Białoruś naszych rodaków.



FOT. PAP/EPA-EFE/SERGEI ILYIN/SPUTNIK/KREMLIN POOL

To Mariusz Kamiński, jako szef resortu spraw wewnętrznych i administracji, odpowiadał za aresztowanie 27 lutego 2022 roku Pawła Rubcowa, jednego z najgroźniejszych szpiegów Putina rozpracowanych przez polskie służby. Trafił do aresztu śledczego w Radomiu. Paranoiczna mściwość Tuska jest powszechnie znana, ale nawet to nie tłumaczy szokującego faktu – zamknięcie Kamińskiego, w ramach zemsty, w tym samym więzieniu, w którym przetrzymywany był rosyjski agent. Podobne metody stosowali bolszewicy. Kazimierz Moczarski, kapitan wojska polskiego, oficer Armii Krajowej, został zamknięty na wiele miesięcy w jednej celi z Jürgenem Stroopem – generałem SS, zbrodniarzem hitlerowskim.

Sposób na rekrutację

To, co zrobił Tusk z Kamińskim, było wielkim prezentem dla Putina. Pokazało, że w Polsce pod rządami ekipy 13 grudnia można celowo upokorzyć człowieka, który walczył z rosyjską agenturą, podczas gdy w tym czasie Kreml potraktował swego agenta GRU jak wielkiego bohatera. W imię politycznej zemsty Tusk osiągnął moralne dno, a Rosja odniosła podwójny sukces – nie tylko skutecznie wyciągnęła groźnego „nielegała" z aresztu, lecz równocześnie Polska nie dostała nic w zamian. Rubcow vel Gonzalez ma teraz ogromną wartość dla rosyjskich służb. Zgromadzona przez niego wiedza i doświadczenie zostaną wykorzystane do rozbudowy rosyjskiej agentury w Polsce. Podczas pracy szpiegowskiej zdobył unikalną wiedzę o środowisku dziennikarzy i polityków.

Andriej Sołdatow, wybitny znawca rosyjskich służb, stwierdza, że „jednym z zadań »nielegała«, takiego jak Gonzalez, jest identyfikacja osób, które można następnie zrekrutować, oraz poznanie ich życia osobistego […]. Nie rekrutują na podstawie poglądów lub mówiąc: »Popierasz Nawalnego czy chcesz pracować dla Putina?«. Podchodzą do ciebie, gdy dowiadują się, że twoja matka jest chora i potrzebujesz pomocy w szpitalu". Adam Jawor, jeden z największych polskich specjalistów od rosyjskiej agentury, zauważa, iż „podobne działania wykonywał Rubcow vel Gonzalez wobec środowiska dziennikarskiego, określanego kiedyś przez jedno z opiniotwórczych czasopism, jako »kolektyw dziennikarski«. Oznacza to, że Rosjanie dysponują sporządzonymi przez niego portretami psychologicznymi osób z tego środowiska. Biorąc pod uwagę fakt, opisywany przez media, że udostępniał znajomym dziennikarzom powerbanki, mógł uzyskać dostęp do zawartości ich telefonów i laptopów. Wśród tych informacji mogły znajdować się na przykład prywatne numery telefonów polityków z ówczesnej opozycji, co jest cen-

2f033bb9

nym zasobem dla każdego wywiadu, ze względu na możliwość ich potencjalnego zhakowania – a wielu z tych polityków obecnie pełni ważne funkcje państwowe".

Nielegałowie i rosyjskie służby

Ale sprawa nielegała Rubcowa jest elementem większej układanki. Rosyjskie służby jako jedyne na świecie, po II wojnie światowej, wypracowały technikę „matrioszek", agentów, którym tworzy się inną tożsamość. Przechodzą długie przeszkolenie, a potem przez lata „uśpieni" czekają na sygnał aktywujący ich działania. Po inwazji na Ukrainę Putin uaktywnił setki nielegałów na Zachodzie. Większość z nich podlega V służbie FSB, którą nadzorował gen. Aleksander Bortnikow, którego na początku 2024 roku zastąpił gen. Aleksiej Komkow. On też koordynował po stronie Rosji tę wielką wymianę 24 jeńców między Waszyngtonem i Berlinem a Moskwą. Cała operacja miała udowodnić skuteczność nowego pokolenia „czekistów". Adam Jawor podkreśla: „Są pragmatyczni i bezwzględni w swoich działaniach, przez co są szczególnie niebezpieczni".

Takim człowiekiem jest też gen. Aleksiej Komkow. Jest on protegowanym obecnego wiceszefa FSB, gen. Siergieja Korolewa, o którym mówi się, że wkrótce zastąpi Bortnikowa. Komkow ma za sobą duże doświadczenie w pracy w kontrwywiadzie FSB. Jest też wychowankiem gen. Bezwierhnego, którego Putin wyznaczył już w 2000 roku na szefa kontrwywiadu FSB. On też, w ramach resetu Tuska z Rosją, odpowiadał za rozpracowanie polskiego SKW. Dzięki głupocie ekipy Tuska ludzie Biesiedy uzyskali wówczas unikalną wiedzę operacyjną na temat SKW. Po Biesiedzie szefostwo nad kontrwywiadem wojskowym FSB przejął gen Nikołaj Juriew. Operacja wielkiej wymiany jeńców, nadzorowana przez Komkowa, podporządkowana była celom strategicznym – z jednej strony listy objęły nielegałów wszystkich służb – od GRU, przez Wywiad Zagraniczny, po GRU, co miało pokazać, iż – po pierwsze – w wojnie z Zachodem wszystkie służby mają ze sobą współpracować i że Rosja będzie gwarantowała im bezkarność w ich działaniach. Po drugie, działania miały wykazać nadal wielką skuteczność tej metody walki i destabilizowania Zachodu. Po trzecie, miały być punktem przełomowym dla nowego pokolenia rosyjskich służb. Jawor zauważa, że „swoją karierę w rosyjskim aparacie bezpieczeństwa zaczęli po upadku Związku Sowieckiego pod rządami Władimira Putina. Z czasami sowieckimi związani są jedynie poprzez więzy rodzinne. Mentalnie zostali ukształtowani przez Nikołaja Patruszewa, który określił ich mianem »nowej szlachty« i zaszczepił w nich ideę powrotu Rosji do czasów imperium Romanowów. Z racji wieku nie należą do ścisłego kręgu znajomych Putina, ale mają świadomość, że zawdzięczają mu wszystko, co do tej pory osiągnęli. Są pragmatyczni i bezwzględni w swoich działaniach. W porównaniu ze starymi »kagiebistami« bez trudności odnajdują się w świecie IT i AI oraz implementują wszelkie możliwe nowości w działalności służb specjalnych, przez co są szczególnie niebezpieczni. W swym dążeniu do celu, jakim jest odbudowa Rosji jako imperium, nie zawahają się użyć wszelkich dostępnych i skutecznych metod".

Wielka operacja nowego pokolenia „kagiebistów"

Gdy Polska przeżywała 80. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego, w stolicy Turcji, Ankarze, doszło do największej od upadku Związku Sowieckiego wymiany 24 więźniów między Rosją a Zachodem. Putin i Łukaszenka uwolnili 16 osób, z których połowę stanowili działacze opozycyjni, a do Imperium Zła wróciło ośmiu groźnych bandytów, w tym wspomniany Paweł Rubcow. Z naszej narodowej perspektywy stało się jednak coś koszmarnego. Mimo że niemal od dwóch lat uczestniczyliśmy w tej tajnej operacji, rząd Tuska nie wykorzystał owej spektakularnej okazji, aby wymusić wypuszczenie na wolność przez Rosję i Białoruś naszych rodaków. A USA i Niemcy ogłosiły sukces – do Waszyngtonu wróciło trzech amerykańskich obywateli, a do Berlina aż pięciu.

Do końca jednak otoczenie Bidena obawiało się, że w każdej chwili operacja może zakończyć się klęską. A demokraci chcieli uczynić z niej jeden z kluczowych elementów kampanii wyborczej Kamali Harris. Dlatego nerwowo zareagowali, gdy okazało się, że Ukraina chce przeprowadzić spektakularne uderzenie na terytorium Rosji. To była szokująca informacja, którą ujawnił amerykański „The New York Times" 26 lipca, że prezydent Biden, na życzenie Rosji, zablokował tajną ukraińską operację, która mogła zadać bardzo bolesny cios Moskwie. Jednak na Kremlu sądzono, iż miała być to próba zamachu na Putina. Ukraiński wywiad wyprowadził w pole rosyjską V Służbę FSB, kierowaną przez Aleksieja Komkowa, który w czerwcu 2024 roku zastąpił na tej funkcji 73-letniego gen. Siergieja Biesiedę. Podsunął im fałszywy trop. Ale przesunięcie uderzenia na obwód kurski ze względu na presję USA groziło, że planowana od miesięcy operacja zakończy się niepowodzeniem. Jednak Biden chciał, aby nic nie zakłóciło wymiany jeńców. A główną rolę odgrywała w niej V służba FSB. To Biesieda przez lata nadzorował mordy polityczne dokonywane przez FSB na zlecenie Kremla. On też stał za zabójstwem Zelimchana Changoszwilego w centrum Berlina w 2019 roku dokonanym przez płk. FSB Wadima Krasikowa. Wcześniej, na zlecenie przełożonych, zabił w 2007 roku w Rosji Jurija Kozłowa,

eprasa.pl 2e2f033bb9

a sześć lat później zlikwidował w Moskwie biznesmena Alberta Nazarowa. Podjechał do niego na rowerze i strzelił z najbliższej odległości. Dokładnie tak samo zginął Changoszwili, gruziński Czeczen, który dowodził oddziałem w drugiej wojnie czeczeńskiej, a potem, w 2008 roku, jako oficer regularnej armii bronił Gruzji napadniętej przez Rosję. Po kilku próbach zamachu na jego osobę, razem z rodziną schronił się w Berlinie. Krasikow zabił go w południe w samym centrum miasta, w parku Kleiner Tiergarten, nieopodal urzędującej kanclerz Merkel. Zrobił to tak bezczelnie, że niemiecka policja nie miała większych problemów z jego ujęciem. W grudniu 2021 roku został skazany na dożywocie za „zabójstwo na zlecenie państwa". Ale jeszcze przed ogłoszeniem wyroku Putin zwrócił się do Nikołaja Patruszewa, sekretarza Rady Bezpieczeństwa FR, aby zbadał możliwość wymiany więźniów za uwolnienie Krasikowa. Patruszew zlecił, aby gen. Biesieda koordynował operację.

Od Biesiedy do Tuska

Biesieda postanowił, zanim jeszcze pojawiła się sprawa płk. Krasikowa, udoskonalić pewien mechanizm szantażu-nacisku na niektóre państwa zachodnie. Gdy 13 lutego 2004 roku dwaj agenci GRU Anatolij Biełaszkow i Wasilij Bogaczow zabili w Katarze byłego prezydenta Czeczenii Zelimchana Jandarbijewa, po aresztowaniu przez tamtejszą policję trafili do więzienia, a następnie skazani zostali na dożywocie, Putin zastosował brutalną metodę. Kazał aresztować sportowców katarskich, którzy przebywali w Moskwie na zawodach. Wypuszczono ich dopiero wówczas, gdy dwaj agenci wrócili do FR. Mieli resztę kary odsiedzieć w rosyjskich więzieniach. Powitani zostali jak bohaterowie. Biesieda udoskonalił to rozwiązanie. Trzeba dysponować w rosyjskich obozach odpowiednią liczbą obywateli zachodnich państw – tak na wszelki wypadek.

W kwietniu 2018 roku FSB zatrzymuje Mariana Radziejewskiego, polskiego biznesmena z Podlasia. Jest torturowany, zastraszany; oskarżany o próbę nabycia części od systemu rakietowego S-300. Ale dowodów nie ma. Po dziwnym procesie skazany jest za rzekome szpiegostwo na 14 lat. Trafia do obozu o zaostrzonym rygorze „K-17 Oziernyj" w Republice Mordowii. Kilka miesięcy później, w grudniu 2018 roku, FSB aresztuje w Moskwie Amerykanina Paula Whelana, byłego żołnierza piechoty morskiej, także pod zarzutem szpiegostwa. W czerwcu 2020 roku zostaje skazany na 16 lat. Trafia do tego samego obozu co Radziejowski. A w marcu 2021 roku, tuż po fali wielkich protestów, gen. Iwan Tertel, szef białoruskiego KGB, daje polecenie aresztowania Andrzeja Poczobuta. Decyzja jest konsultowana z gen. Biesiedą.

Kilka miesięcy po wybuchu wojny, w lipcu 2022 roku, Rosjanie wpisali na listę wymian płk. Krasikowa. Amerykanie byli za, ale Niemcy się sprzeciwiły. Wówczas, w grudniu 2022 roku, gen. Biesieda zagrał sprawą Whelana, jednak Berlin nie ustępował. W zakulisowych negocjacjach niemal od początku brała też udział Polska. Posiadaliśmy silny atut. Nasze służby rozpracowały i aresztowały 28 lutego 2022 roku w Rzeszowie Pawła Rubcowa, cennego agenta GRU razem z jego polską partnerką, znaną dziennikarką Magdaleną Chodownik, która później została wypuszczona. Był to spektakularny sukces ówczesnego ministra spraw wewnętrznych i administracji Mariusza Kamińskiego. Rubcow vel Pablo Gonzalez działał pod przykrywką niezależnego, zachodniego dziennikarza. Był wyjątkowo groźny. To on uczestniczył w rozpracowywaniu ukraińskiej bazy wojskowej w Jaworowie, która została ostrzelana 13 marca 2022 roku. Zginęło wówczas 35 osób, a 134 zostały ranne.

Polska upokorzona przez Tuska

Minister Kamiński ujawnił, że Polska gotowa była, aby w ramach wymiany z Rosją przekazać agenta Rubcowa, ale w zamian za uwolnienie Poczobuta więzionego na Białorusi i Mariana Radziejewskiego. Jak stwierdził w Telewizji Republika, to była wielka okazja. Bo „takie rzeczy dzieją się raz na pokolenia". A Biesieda, w ramach zwiększania presji na Amerykanach, kazał w marcu 2023 roku zatrzymać Evana Gershkovicha, reportera „The Wall Street Journal". Było to pierwsze od upadku Związku Sowieckiego aresztowanie w Rosji amerykańskiego dziennikarza. A 18 października 2023 roku FSB aresztowało Alsu Kumaszewą, tatarsko-amerykańską dziennikarkę Radia Swoboda. Od ćwierć wieku mieszkała w Czechach. Przyjechała do swojej chorej matki do Kazania, stolicy Tatarstanu. FSB zatrzymało ją tuż przed powrotem do Pragi. Aby przydusić Berlin, Biesieda wydał polecenie aresztowania Niemców i obywateli posiadających niemieckie paszporty. Do aresztu trafili: 19-letni Kevin Lik, politolog Demuri Woronin, Hernan Mojżesz i Patric Schöbel, który został oskarżony o przemyt narkotyków. Swoje dołożył też Łukaszenka, zatrzymując 6 października 2023 roku w areszcie Rico Kriegera pod zarzutem terroryzmu. Ostatecznie skazany został na karę śmierci przez rozstrzelanie, co mocno przyspieszyło determinację Niemców (tuż przed wymianą został ułaskawiony przez Łukaszenkę).

Punktem przełomowym była wizyta Scholza w Waszyngtonie w lutym 2024 roku. Biden miał się zwrócić w tej sprawie bezpośrednio do kanclerza Niemiec. Ten miał zapewnić, że „zrobi to dla niego". Ostatecznie 1 sierpnia Biden, Scholz i Putin mogli ogłosić wielki

eprasa.pl 2e2f033bb9

sukces, którego częścią stał się Rubcow. Moskwa uwolniła, obok trzech obywateli USA (Gershkovicha, Whelana i Kurmaszewy), pięć osób mających niemieckie paszporty i aż ośmiu kluczowych rosyjskich opozycjonistów: Władimira Kara-Murzę, Ilja Jaszyna, dziennikarza Andreja Piwowarowa z Otwartej Rosji, 71-letniego Olega Orłowa, współtwórcę zlikwidowanego w 2022 roku Stowarzyszenia Memoriał, artystkę Aleksandrę Skoczilenkę, Liliję Czanyszewą, byłą szefową biura Nawalnego w Ufie, i jej koleżankę Ksenię Fadejewą, która prowadziła oddział Nawalnego w Tomsku, oraz Wadima Ostanina, bliskiego współpracownika Nawalnego. Mimo że w całej operacji, obok USA, uczestniczyły cztery państwa zachodnie – Niemcy, Norwegia, Słowenia i Polska – Biden szczególnie wyeksponował Berlin. Podkreślił, że jest „bardzo wdzięczny" kanclerzowi Olafowi Scholzowi. Podczas gdy Waszyngton i Berlin ogłaszały triumf, witając swoich obywateli, los Andrzeja Poczobuta i Mariana Radziejewskiego stał się jeszcze bardziej dramatyczny. Polska koalicji 13 grudnia wysłała jasny sygnał swojej słabości lub obojętności do Moskwy i Mińska wobec tych wszystkich patriotów, którzy oddani są służbie RP.

Rosyjscy bandyci wracają do Imperium Zła

Putin osobiście przywitał na płycie lotniska Wnukowo swoich ośmiu bandytów. Każdego serdecznie uściskał. Pierwszy był płk FSB Wadim Krasikow, zabójca Zelimkhana Changoszwilego. Potem wydany przez Polskę Paweł Rubcow z GRU i dwoje oficerów SWR, małżeństwo Artioma i Anny Dulcewów, których przekazała Słowenia (dołączyła do nich dwójka ich dzieci, które po aresztowaniu agentów w 2022 roku były objęte opieką słoweńskiego państwa). Putin powitał też Michaiła Mikuszyna, oficera GRU rozpracowanego i zatrzymanego w Norwegii (podawał się za obywatela Brazylii José Assisa Giammaria). Grupę uzupełniała trójka szpiegów wypuszczona w USA: Romana Seliezniewa, niebezpiecznego hakera skazanego w USA na 27 lat więzienia, biznesmena Władysława Kliuszina, który w 2023 roku dostał 9 lat więzienia za oszustwo giełdowe, w którym wykorzystał informacje pochodzące z włamania się do amerykańskich systemów komputerowych, i płk. FSB Wadima Konoszczenkę, przemycającego do Rosji amerykański sprzęt wojskowy. Putin powiedział do nich: „Wszyscy zostaniecie nominowani do nagród państwowych. Zobaczymy się ponownie i porozmawiamy o waszej przyszłości. Teraz chcę wam pogratulować powrotu do ojczyzny". Człowiek ścigany listem gończym przez Międzynarodowy Trybunał Karny za ludobójstwo otrzymał od Zachodu to, czego chciał. Dowodu, że Rosja nie pozostawi swoich bandytów na łasce losu. Nawet wówczas gdy dokonają mordu w biały dzień, na oczach ludzi.

Bilans zysków i strat

Wybitny znawca rosyjskich służb, Andriej Sołdatow, w wypowiedzi dla portalu Meduza 2 sierpnia zauważył: „Wszyscy rozumieją, że jednym z problemów rosyjskiej opozycji politycznej na emigracji był brak przywódców, bo albo zostali zabici, albo uwięzieni. Teraz opozycja zyskała tych przywódców w postaci Władimira Kara-Murzy i Ilji Jaszyna. Co więcej, największa rosyjska organizacja praw człowieka Memoriał odzyskała swojego przywódcę, Olega Orłowa". W zamian „większość osób, które dostał Kreml, to zawodowi funkcjonariusze wywiadu", dla których pobyt w więzieniu stanowi ryzyko zawodowe. Sołdatow wyjaśnia, dlaczego Krasikow ma szczególne, strategiczne znaczenie dla Kremla. Po pierwsze, uwiarygadnia narrację Putina, że prezydent „jest skłonny zapłacić każdą cenę za swoich ludzi, którzy wypełniają święty obowiązek i wyciągnąć ich z każdego problemu". Po drugie, podkreśla, że Krasikow jest „przede wszystkim zabójcą", a nie szpiegiem czy oficerem wywiadu, a doprowadzenie do jego uwolnienia ma „wysłać wiadomość do tych, którzy sprzeciwiają się Kremlowi". Sołdatow zauważa, że rosyjska emigracja polityczna jest obecnie „bardzo poważnym problemem" dla Putina, a prezydent chce dać do zrozumienia wyjeżdżającym, że Kreml ma „ludzi i zasoby", aby ich odnaleźć i wyeliminować.

Znany opozycyjny adwokat Ilja Nowikow komentując ową operację, stwierdził, że uwolnienie Krasikowa „znacznie zwiększy liczbę ochotników chcących zostać zabójcami [Putina]. Potencjalni zabójcy zrozumieją, że nawet jeśli zabiją, zostaną złapani i skazani na dożywocie, ojczyzna w końcu ich wydostanie. […] Nie wolno nam zapominać, że ktoś zapłaci za to życiem. To nie jest… zwycięstwo dobra nad złem. Wolność jednych zostanie okupiona życiem innych. Jeszcze nie wiemy kto. Ale kiedy usłyszymy, że w Berlinie, Rydze lub innym miejscu zamordowano rosyjskiego zbiega lub urzędnika europejskiego, proszę, pamiętajcie o tym, co powiedziałem". Analitycy OSW, Maria Domańska, Piotr Żochowski, Witold Radkiewicz, Marek Menkiszak i Lidia Gibadło, ostrzegają, że będzie to też swoista zachęta dla Rosji, aby rozszerzyć ten proceder. Jak stwierdzają: „Obywatele zachodni i rosyjscy są… wykorzystywani przez Moskwę jako zakładnicy. Łatwość ich pozyskiwania (poprzez zaostrzenie represji wymierzonych w niezależnych rosyjskich aktywistów oraz fałszywe oskarżenia pod adresem obywateli państw zachodnich przebywających w Rosji) będzie skłaniać Kreml do powtarzania takich praktyk". ■

eprasa.pl 2e2f033bb9



Ryszard Czarnecki

Rubcow plus jedna: skojarzenia

Przed laty telewizja emitowała teleturniej „Skojarzenia". Co do skojarzeń w sprawie Gonzaleza vel Rubcowa i jego przyjaciółki z warszawskiego „salonu", to mam je bardzo „politycznie niepoprawne".

Akurat w czasie, gdy piszę te słowa, minęła 193. rocznica wydarzenia, które miało miejsce w Warszawie podczas powstania listopadowego. Mieszkańcy stolicy wzięli sprawy w swoje ręce, wywlekając z więzienia rosyjskich agentów i dokonując na nich samosądu oraz na polskich oficerach podejrzewanych o zdradę. Szpiegów i zdrajców powieszono lub zakłuto bagnetami. Dużo późniejsze hasło „Śmierć wrogom Ojczyzny" lud Warszawy zrealizował po swojemu już wtedy. I to było skojarzenie pierwsze.

Skojarzenie drugie. Nieco ponad miesiąc temu minęła 93. rocznica wyroku śmierci i egzekucji jednego z najsłynniejszych szpiegów sowieckich w II Rzeczypospolitej – mjr. Piotra Demkowskiego. Ten niegdyś dzielnie walczący z bolszewikami (i odznaczany za to!) żołnierz 4. Dywizji Strzelców Polskich gen. Lucjana Żeligowskiego (tak, tego od przyłączenia Wileńszczyzny do Macierzy) ledwie parę miesięcy po nominacji na majora zaczął współpracę z Sowietami. II RP miała swoje wady, ale służby działały świetnie: szpiega zdemaskowano już po paru miesiącach. Nakryto go na przekazywaniu sowieckiemu oficerowi 13 ściśle tajnych dokumentów. To był cudowny czas, kiedy nie cackano się z ruskimi agentami. Rozprawa trwała kilka godzin. Zdrajca został zdegradowany, wydalony z wojska, pozbawiony praw publicznych, skazany na karę śmierci i następnego dnia (!) rozstrzelany.

Skojarzenie trzecie. Idąc Alejami Ujazdowskimi do domu, aby napisać ten właśnie tekst, minąłem kamień z tablicą upamiętniającą miejsce udanego zamachu Kierownictwa Dywersji (Kedywu) AK na generała SS i policji Franza Kutscherę. To też był czas, kiedy Polskie Państwo Podziemne karało śmiercią katów Ojczyzny. Pardonu nie było.

To wstęp do rozważań o tym, jak dziś państwo polskie traktuje rosyjskich agentów i rodzimych zdrajców. Ale też jak Unia Europejska traktuje tych, którzy podnoszą rękę na państwo członkowskie UE. Oto bowiem „dziennikarz" Rubcow stał się dla Brukseli punktem odniesienia. Ba, jego aresztowanie miało być dowodem na brak praworządności i demokracji w Polsce. Te tezy powielane i ochoczo przegłosowywane w Parlamencie Europejskim (i to nieraz co miesiąc) były wodą na młyn Rosji. Zaś Polska – największy hub pomocy militarnej dla napadniętej przez Rosję Ukrainy, ale też największy w przeliczeniu per capita sponsor Kijowa – była zwierzyną łowną dla unijnego mainstreamu. Także wtedy, gdy aresztowała rosyjskiego szpiega pod przykrywką hiszpańskiego dziennikarza.

To paradoks – ale może też coś więcej – że antypolonizm był w praktycznej agendzie UE od późnej jesieni 2015 roku, a w tym samym czasie (i dalej przez kolejnych sześć lat i kwartał) Rosja Putina była pożądanym partnerem dla głównych „motorów" Unii Europejskiej: Niemiec i Francji.

Inną sprawą są środowiskowe konsekwencje dla tych dziennikarzy / dziennikarek w Polsce, którzy dali się użyć Rosji. A raczej: brak owych środowiskowych reakcji. Czy to nie znamienne? Czyżby na ołtarzu walki z polskim „nacjonalizmem", prawicą, „pisiorami" itd.,itp. złożono sprawę rozliczeń i lustracji tych, którzy świadomie lub nieświadomie służyli obcym? Rosyjski diabeł czy rosyjski sługa byli dla „salonu" w praktyce kimś bliższym niż ta okropna rodzima nacjonalistyczna prawica. Oto miara upadku. Oto skutki epidemii miedzianego lica.

Minął wiek, gdy Józef Piłsudzki na zjeździe żołnierzy Legionów mówił: „Idźcie swoją drogą, służąc tylko Polsce, miłując tylko Polskę, nienawidząc tych, co służą obcym". Po stu latach nic dodać, nic ująć.

A swoją drogą, gdyby Piłsudski żył w obecnych czasach, pewnie skazano by go za „mowę nienawiści"... ■

eprasa.pl 2e2f033bb9



Jakub Augustyn Maciejewski

Jak kategorię prawdy zastąpiła troska o samopoczucie

eprasa.pl/e2n33b89

Słusznie czytelnik kojarzy słowo „cenzura" ze wszystkim co najgorsze. Od pięciuset lat bowiem cenzura jest narzędziem tłumienia prawdy, świadomego wycinania tych informacji, które szkodzą władzy. Kiedyś było jednak inaczej.



ILUSTRACJA ANTONI CHODOROWSKI

Faktycznie cenzura naprawdę ma powstrzymać prawdę. W nielicznych wspomnieniach cenzorów – czy to carskich, czy PRL-owskich – urzędnicy reżimu sami przyznawali, że trzeba kłamać. Gdy rosyjski pisarz Władimir Gilarowski (1853–1935) pod koniec XIX wieku napisał reportaż z życia moskiewskich slumsów, żandarmeria przejęła cały nakład z drukarni. „Za prawdę skonfiskowaliśmy ksiażkę. Takiej prawdy nie należy opisywać" – tłumaczył pogardliwie cenzor. Podobnie dyrektor opolskiej cenzury w czasach PRL, Eugeniusz Kaniok, przyznał w rozmowie z Błażejem Torańskim, że wycinał z tekstów sformułowania prawdziwe, ale obnażające słabość reżimu.

Cenzura w rękach świeckiej władzy była więc oczywistym narzędziem do tłumienia sprzeciwu wcześniej niż na ulicach, na barykadach czy w więzieniach, była zabijaniem wątpliwości już na etapie myśli, słowa.

Cenzor nie pytał, czy zdanie jest prawdziwe, on pytał sam siebie, czy jest szkodliwe.

Zgodnie ze słowem Boga

Ale samo słowo „censura" powstało w innym kontekście, zaś instytucja kontrolerów tekstów została stworzona do innych celów. Pierwsi cenzorzy bowiem, w starożytnym Rzymie, byli stróżami porządku i moralności, sprawdzali dostojniejszych obywateli, czy dobrze się prowadzą. Nie można było w roli senatora czy urzędnika królestwa, a później republiki, rozpijać się po oberżach czy wszczynać burdy na ulicy – cenzor nakładał za to kary. Sama zaś cenzura w sensie czytania i zakazu publikowania treści powstała w Kościele katolickim, wyłaniając się stopniowo z analizy kolejnych herezji. Nie chodziło tu o tłumienie innych religii – przecież Żydzi, Ormianie czy – na południu Europy – muzułmanie żyli sobie w swoich społecznościach, czytali swoje święte księgi i nikt ich tekstów nie poprawiał. Jeśli jednak ktoś należał do Kościoła katolickiego, to miał w nim przestrzegać zasad katolickich, a duchowieństwo dbało, by nie mówić nieprawdy w sprawach wiary. Właśnie – dbało. Naprawdę duchowieństwo średniowiecza SPRAWDZAŁO teksty, egzaminowało autorów – zgodnie z zasadami logiki – czy ich koncepcja jest spójna i możliwa do potwierdzenia dowodami.

Współczesnemu człowiekowi trudno jest zrozumieć, że jakiemuś urzędowi chodzi o PRAWDĘ. Ustanawiając podatki, służbę wojskową czy kodeks karny, władza nie pyta o prawdę, lecz o skuteczność i efektywność. Kościół także o to się starał, ale służba Bogu, pojęciu ponadludzkiemu, nakładała dodatkowe zobowiązania.

eprasa.pl 2f033bb9

Na dowód, że to nie interesy organizacji kościelnej były najważniejsze, można przytoczyć liczne w średniowieczu paszkwile na duchowieństwo. Szydzono z wielu księży i biskupów, w książkowych rycinach, na płaskorzeźbach, o dowcipach i anegdotach nie wspominając, było sporo obrazków obżerających się zakonników, rozwiązłych hierarchów czy nepotów. Obruszano się na to, dygnitarze Kościoła się gniewali, ale żadne prawo tego nie zabraniało. Nie wolno było jednak z Pisma Świętego wyciągać wniosków niesłusznych. I właśnie tutaj pojawiła się potrzeba censere (czyli sprawdzać, egzaminować). Nie można przecież z Ewangelii wyciągnąć wniosku, że nie wolno malować Jezusa, skoro nic takiego tam nie ma. Nie można twierdzić, że Jezus był duchem, który nie miał ludzkiego ciała, bo przecież z Pisma Świętego wynikało coś innego. A byli tacy, którzy czytali Biblię właśnie tak po swojemu i na tej podstawie zakładali ekstremistyczne sekty. Średniowieczni ikonoklaści pod wpływem podbojów i fanatyzmu islamu przejęli od Arabów przekonanie, że nie wolno malować świętych (Koran zabrania malowania istot żywych). Powoływali się na Stary Testament i zakaz czczenia obrazów. Tyle że przy głębszej dyskusji teologicznej prawda okazywała się inna – nie wolno było czcić wyimaginowanych bożków, kłaniać się jakiemuś Ozyrysowi czy Baalowi przedstawionemu na figurce z ametystu, bo tacy bogowie nie istnieli. Dlaczegóż jednak nie malować Jezusa, skoro taki Bóg i człowiek w jednym chodził po Ziemi, żył między ludźmi i został ukrzyżowany? Ikonoklaści się mylili – dyskusja teologiczna to obnażała, zatem censura zakazywała twierdzić, że z Pisma Świętego wynika zakaz portretowania świętych.

Byli też i tacy, którzy uważali, że Jezus nie miał ciała, a jego postać była tylko iluzją, avatarem, coś jak współczesny hologram. Także tutaj teologowie miażdżyli argumentami heretyków, a jeśli ci nie umieli odpowiedzieć, a nadal pozostawali w kłamstwie, to faktycznie byli wyklęci ze wspólnoty Kościoła.

Gdy w XVI wieku tworzono Indeks ksiąg zakazanych, tradycja instytucjonalnego sprawdzania treści ksiąg istniała już 500 lat. Wiedziano, jak wnikać i oceniać tekst. W jednym z kościelnych dokumentów czytamy, jak trzeba czytać księgę, by nie skrzywdzić autora, by ocena jego pracy była uczciwa: „Zwracamy pilną uwagę na to, że nie można sobie wyrobić słusznego sądu o prawdziwych mniemaniach autora, jeżeli się nie przeczyta wszechstronnie jego dzieła, porówna różnych miejsc ze sobą".

▶ Metody sprawdzania

Dawniejsza cenzura była czymś, co dziś przypomina recenzję naukową – wskazywano, czy tezy się bronią, czy są słuszne, czy użyto uczciwej metody badawczej, czy autor był rzetelny. Od IV wieku takie sprawdzanie odbywało się na soborach, gdzie żyjący w błędzie duchowni tacy jak Ariusz czy Donat z Kartaginy nie umieli uzasadnić swoich twierdzeń, czyli podpadali pod taką cenzurę. Wraz z rozwojem myśli teologicznej potrzeba było zaangażować więcej uczonych do analizy treści – w XIII wieku włączono w to Uniwersytet Paryski, a później także nowo zakładane uniwersytety miały sprawdzać księgi pisane w różnych stronach Europy.

Zobaczmy, jak bardzo się to różni od świeckich cenzorów późniejszych epok – napisany tekst jest wysyłany do cenzury, gdzie urzędnik opiera się na tajnych kryteriach i arbitralnie decyduje, co można napisać, a co nie. W PRL istniała swoista „Biblia" cenzorska, czyli „Księga zapisów i zaleceń", w której były instrukcje, czego nie wolno publikować: krytyki władzy, pochwały wiary katolickiej, a nawet informacji o takich wypadkach, które były spowodowane złą kondycją społeczną albo błędami w zarządzaniu w zakładach pracy. Przecież to rzecz zupełnie inna od sensu cenzury kościelnej, gdzie zasady publikacji były jasne i ogólnodostępne – znane były komentarze do Pisma Świętego, encykliki, a także procedura kontrolowania tekstu przez lokalnego biskupa czy uniwersytet. Wreszcie autor tekstu mógł się odwoływać, przekonywać, dyskutować, udowadniać swoje racje – w świeckiej cenzurze nic takiego nie mogło mieć miejsca. Gdy jakiś średniowieczny autor mówił nieprawdę – jak na przykład niezgodne z faktami interpretacje Pisma Świętego wystosował Piotr Abelard (1079–1142) – wzywano go na rozmowy i na publiczną debatę. Wspomnianego Piotra Abelarda wezwał na debatę św. Bernard z Clairvaux (1090–1153), który był tak mocnym teologiem, że myśliciel sam zrezygnował z uczestnictwa i odwołał swoje błędy.

Świecka kontrola była zupełnie inna. Gdy pod koniec XVI wieku książka polskiego biskupa Wawrzyńca Goślickiego „O senatorze doskonałym" trafiła do Londynu, natychmiast jej zakazano i obawiano się jej do tego stopnia, że na każdego Polaka przybywającego do Anglii patrzono z podejrzliwością. A przecież polski traktat dotyczył konieczności dbania o cechy charakteru, które przyczyniają się do dobrego prosperowania władzy. Taka więc różnica – jedna cenzura zabraniała kłamstw, a druga zabraniała krytyki. To są rzeczy nieporównywalne.

Rzecz jasna w kościelnym systemie zdarzały się ludzkie błędy. Niepotrzebnie powiązano koncepcję heliocentryczną Mikołaja Kopernika z niektórymi fragmentami Pisma Świętego i dzieło astronoma trafiło na Listę ksiąg zakazanych, ale ta sprawa dziś jest absurdalnie demonizowana. Sama ksiażka „O obrocie sfer niebieskich" została wydana w 1543 roku i wcześniej była konsultowana nawet z papieskim otoczeniem, a być może i z samym papie-

eprasa.pl 2e2f033bb9

żem Pawłem III, któremu zresztą książka została zadedykowana. Teoria Kopernika była szokująca, ale dopuszczona do dyskusji, zaś astronom rzeczowo uzasadniał swoją koncepcję. Na „Index Librorum Prohibitorum" praca trafiła dopiero w 1616 roku, gdy na nią powoływał się Galileusz wplatający w swój traktat tezy i nienaukowe, i zawierające niepotrzebne uzasadnienia religijne. Sama jednak sprawa odbywała się nie jako arbitralna decyzja któregoś z hierarchów, ale w toku wielodniowych debat, korespondencji i konsultacji z innymi uczonymi. Choć ostatecznie teoria Kopernika została poddana ograniczeniom, do czego po wiekach Jan Paweł II odniósł się jako do decyzji niesłusznej, to w dyskusji z 1616 roku padały właśnie i takie głosy – by obserwacji astronomicznych nie cenzurować. Takie stanowisko zajmował kardynał Robert Bellarmin (1542–1621), ale był, niestety, w mniejszości. Błędy się zatem zdarzały, ale założenia samego procesu cenzury były zupełnie inne, a jej przebieg skrajnie odmienny od tego, co później robiła cenzura państwowa. Last but not least taki Galileusz został skazany na czytanie psalmów, wbrew powszechnemu przekonaniu o jakiejś okrutnej karze dla astronoma.

Zdegradowanie prawdy

To pojęcie PRAWDY było siłą napędową dawnych rozważań i dyskusji. Ludzie jak zwykle popełniali błędy, podejmowali błędne decyzje, ale pragnęli kierować się właśnie tą wartością. Od XVI wieku zaś, gdy kontrolę nad debatą publiczną zaczęli przejmować władcy (najpierw protestanccy, później inni) zaczął liczyć się INTERES jako fundament postępowania. Przyznawali to sami monarchowie. Fryderyk II, król Prus, korespondował z paryskimi encyklopedystami nie po to, by opisywali więcej informacji na temat interesujących go zagadnień, lecz by hasła w ich encyklopedii były zgodne z interesem jego dynastii – szkalowano więc Polaków, wychwalano Hohenzollernów. Również tutaj ludzie popełniali błędy – czasem cenzura myślała, że jakaś publikacja im nie zaszkodzi, a jednak okazywała się niezgodna z ich interesem. Przecież Rosja carów, która zginęła przez ideologię komunistyczną, jako pierwsza wydała tłumaczenie „Kapitału" Karola Marksa! Cenzor się zgodził, bo uznał, że książka nie dotyczy Rosji i wręcz się przyda jako krytyka ustrojów zachodniej Europy.

Interes co prawda pozostał naczelną zasady współczesnej cenzury, ale włączył się tu także inny czynnik. Jeśli dziś w internecie kasuje się lub ogranicza treści konserwatywne, katolickie czy patriotyczne, a pomniki oblewa się farbą, to na pewno nie ze względu na prawdę. Oczywiście różne grupy mają w tym swój interes, ale jednak uzasadnienie współczesnej cenzury jest inne. Tym razem chodzi o UCZUCIA. Cała ideologia WOKE i cancel culture opiera się na zupełnie dziwnie sformułowanym prawie człowieka do komfortu i dobrego samopoczucia. Osiągnięcia Europejczyków mogą urazić nieeuropejskie narody, więc cenzuruje się opowieści o kolonizatorach, radość i wartość wielodzietnej rodziny wprawia w zakłopotanie homoseksualistów, więc ogranicza się promowanie życia rodzinnego. Cenzurowana jest biologia, bo skoro podział płci na męską i żeńską rani uczucia tych, którzy „czują się" poza tym podziałem, to nagle płeć staje się problemem i podpada pod cenzurę, ustępując swojej nowej wersji – gender (płeć kulturowa).

Dawniejsza cenzura była czymś, co dziś przypomina recenzję naukową – wskazywano, czy tezy się bronią, czy są słuszne, czy użyto uczciwej metody badawczej, czy autor był rzetelny.

Istnieje więc narzędzie cenzury, które – tak jak ogień czy energia atomowa – zostało odkryte i wynalezione przez człowieka i może być używane zarówno do ogrzania domu, jak i do pożarów i wojny. Jednak jak rzadko kiedy ludzkość zapomniała, do czego powołała wynalazek sprawdzania treści, jak bardzo porzuciła logikę, dyskusję i po prostu PRAWDĘ jako cel i metodę funkcjonowania ładu społecznego.

Stąd też debata publiczna coraz mniej ma na celu dociekanie faktycznego stanu rzeczywistości. Głoszenie trudnych informacji spotyka się z oporem grup interesów – nie wolno mówić o niemieckiej dominacji w Europie czy o histerii środowisk, które uznały, że się je krzywdzi – społeczności LGBT lub nielegalnych imigrantów. Jednak pojedynek na interesy czy na emocje nie jest w uczciwych warunkach do wygrania – katolickie uczucia obchodzą świat mniej niż uczucia mniejszości seksualnych, a interesy polskie mają mniejszą wagę dla Europy niż interesy niemieckie. Tylko PRAWDĄ da się zwyciężyć – ta kategoria jest naszym jedynym ratunkiem. ■

eprasa.pl 2e2f033bb9



Dawid Wildstein



Liberałowie chcą krwi. Część druga

Narracja, za pomocą której polscy liberałowie opisują tych Polaków, którzy nie dorośli do ich poglądów, przypomina pod wieloma aspektami dyskurs kolonialny. W podobny sposób reprezentanci Wielkiej Brytanii, wierzący w misję białego człowieka, patrzyli na mieszkańców skolonizowanych przez siebie terenów. Mieli ich za prymitywnych dzikusów, niezdolnych do zrozumienia postępu, bliższych właściwie zwierzętom niż ludziom, uwięzionych w absurdalnych, groźnych zabobonach, pozbawionych wyższych uczuć, niezdolnych kontrolować emocji. Jest jednak jedna, fundamentalna różnica.

eprasa.pl 2e2f033bb9

Cokolwiek by mówić o słynnym kiplingowskim „brzemieniu białego człowieka", wiązało się ono z pewnym rodzajem „opieki" nad tymi „gorszymi" i „bardziej prymitywnymi". Anglosaski kolonizator, niezależnie od okrucieństwa i zbrodni, które w sposób immanentny wiązały się z jego działalnością, uważał, że ma on też misję względem tych, których podbija. Jego wyższość cywilizacyjna nakładała więc na niego obowiązek „opieki" nad prymitywnymi ludami. Podobny element ideologiczny do pewnego momentu także istniał w retoryce współczesnych liberałów, teraz jest on jednak zupełnie marginalny.

Polak lubi odchody

Czytając więc teksty mające legitymizować kolonializm z przełomu XIX i XX wieku, wciąż natrafiamy na wątek, że jest on koniecznym działaniem, mającym na celu poprawę bytu kolonizowanych. Pomimo tego, że pod przymusem. Opisywany typ kolonializmu chce cywilizować tych, których trzyma pod butem. Wszyscy wiemy oczywiście, jak się to skończyło w praktyce, niemniej ten element ideologiczny jest bardzo wyraźny, jest wręcz drugą, po dobrobycie korony, jego legitymacją. Patrząc na to, jak wygląda aktualny liberalizm, widzimy, że nie ma nawet tego komponentu. Został on zastąpiony zupełnie innymi emocjami – czystym strachem i nienawiścią. Tak więc o ile skrajne poczucie wyższości u naszych liberałów jest dokładnie takie samo jak u wspomnianych kolonizatorów, o tyle nie posiada ono już elementu patronizującego, co tylko go „radykalizuje".

Współczesny liberał boi się tych, którzy są od niego gorsi, zaś jego świat jest areną ciągłego konfliktu, koniecznej wojny. Tym samym najważniejszym paradygmatem jego ideologii staje się potrzeba pokonania wroga, który zagraża jemu i reprezentowanemu przez niego ładowi – czy to społecznemu, czy aksjologicznemu. Przeciwnik liberałów, ten, który ośmielił się podnieść rękę na ich świętości, nie zasługuje na żadne współczucie, żadną litość czy sentymentalizm, nawet podbudowany taką elitarnością jak wspomniane już „brzemię białego człowieka" w wersji anglosaskiej. Dozwolone staje się więc właściwie wszystko. Z konieczności prowadzi to do skrajnego zohydzenia wspomnianego wroga, którym jest najczęściej po prostu mający odmienne poglądy rodak. Dlatego Mariusz Szczygieł, wielki autorytet mediów na pasku PO, pisząc rok temu swoją wersję tuwimowskiego „Murzynka Bambo" (tylko przeniesionego na „polskie realia"), mógł sobie pozwolić na przedstawianie małego Polaka jako zdegenerowanej jednostki, taplającej się we własnych odchodach, dodatkowo o skłonnościach zoofilskich. Co ciekawe, autorytet „GW" chciał w ten sposób pokazać domniemany „rasizm" wiersza Tuwima, udowadniając jednak tylko to, jak on sam głęboko nienawidzi obcych mu ideologicznie ludzi.

Kiepski horror

Oczywiście Szczygieł nie jest żadnym „wyjątkiem", patrząc na środowisko „polskich liberałów", widzimy, że takich jak on jest cały legion. W „dziełach" owej grupy, będących także ich swoistym kanonem kulturowym, czy mowa o filmach, książkach, poezji etc., nie ma żadnych granic, jeśli chodzi o negatywne przedstawianie Polaka. Do tego stopnia, że zaczyna on się jawić jako nie rzeczywista postać, lecz jakaś kreatura z kiepskiego horroru. Przypomnijmy film „Pokłosie", w którym Polacy mieszkający na wsi sportretowani zostali jako oszalała tłuszcza, kontrolowana przez gangsterów i przesiąkniętych nienawiścią księży. Ich zło okazuje się przekazywane z pokolenia na pokolenie, zakorzenione w nich, są oni bowiem spadkobiercami tych, którzy mordowali Żydów. W końcu gdy przychodzi co do czego i następuje konfrontacja między nimi a młodym, postępowym liberałem z wielkiego miasta, okazuje się, że ich największą radością jest ukrzyżowanie naszego „postępowca" na drzwiach stodoły.

Z perspektywy czasu brzmi to wszystko jak ponury żart, jednak właśnie to „dzieło" było opiewanym przez liberalny salon „adekwatnym opisem brunatnej Polski" (w takie tony uderzali szczególnie publicyści „GW"). Inny autorytet i idol naszych liberałów, poeta Mikołajczyk, uznał wręcz, że ten demoniczny rodak jest tak groźny, iż zniszczenie go winno być zasadą ostateczną, nieważne jakie mogą być konsekwencje. Wezwał więc w poetyckim uniesieniu, że warto nawet, by ojczyzna obumarła, jeśli utoruje to drogę innemu, lepszemu człowiekowi, w tym wypadku „czarnym pokoleniom" (wiersz ten był bowiem napisany w momencie rozkręcenia największej histerii dookoła granicy). Chciałbym móc napisać, że w tym wierszu była jakaś świadoma przesada czy chociaż gram ironii. Niestety nie. W końcu w dokładnie takie same tony, chociaż jednak nie w aż tak upiornie prymitywny sposób, uderzało ostatnie dzieło Holland.

FOT. MACIEJ ŁUCZNIEWSKI/GAZETA POLSKA

eprasa.pl 2e2f033bb9

Szamani z Polski B

Okazuje się więc, że najważniejszą postacią w imaginarium współczesnego liberała jest wewnętrzny obcy. Nie jest on jedynym z koszmarów, jakie mieszkają w jego wyobraźni, niemniej pełni on tam rolę swoistego szamana, którego mroczne rytuały przywołują do pięknego liberalnego świata zło. Demony (antysemityzmu, faszyzmu, rasizmu etc.), które bez jego czarów nie miałyby dostępu do tej rzeczywistości. Same nieczystości i zagrożenia, jakie sprowadza ów ciemny kapłan, mogą być już różne, niemniej źródło pozostaje to samo. Kostiumy, jakie nakłada ten szaman, też się zmieniają. Raz może być szalonym, zdegenerowanym alkoholem chłopem kultywującym rodzinne mordowanie Żydów i zabijającym przejeżdżających mieszczuchów. Może też „przebrać się" za strażnika granicznego, opętanego quasi-esesmana w mundurze. Innym razem będzie taplającym się w gnojówce katolikiem-sadystą bądź niezdefiniowanym „populistą", opisywanym za pomocą zapośredniczonej z USA antytrumpowskiej narracji, którego grzech „łamania praworządności" jest tak wielki, że można do niego strzelać. Istotne jednak jest to, że ten obcy, ten szaman jest tuż obok. Ciągle czyha, ciągle odprawia swoje mroczne rytuały.

Zadaniem liberała jest go pokonać, bo tylko w ten sposób może on uratować świat. Sprawa jest tak poważna, że czasem, jak w opisanym wierszu Mikołajewskiego, aby został zniszczony, warto, by „ojczyzna obumarła". (I znów – o ile manifest idola „GW" jest wyjątkowo toporny, pamiętajmy, że tego typu postulaty to nic nowego dla polskich środowisk liberalnych. Tym samym bowiem są odezwy, że czas zapomnieć o państwie narodowym, otworzyć się na świat i bogactwo kulturowo etniczne z zewnątrz etc.). Zauważmy też pewną sprzeczność emocji, jakie warunkuje ten potwór, ta naczelna postać liberalnego imaginarium. Są one bowiem melanżem skrajnego obrzydzenia oraz poczucia wyższości z gigantycznym strachem i poczuciem zagrożenia – z zasady bardzo groźna to mieszanka.

Nowa wersja Żyda

Polski liberał żyje więc w ciągłej niepewności i strachu. Z jego perspektywy aktualny świat jest strasznym miejscem, wywołującym lęk, w którym czyhają wrogowie gotowi odebrać mu to, na co zasługuje. Ostatnio jednak w liberalnej narracji pojawił się nowy wątek. Otóż ten populistyczny motłoch, ta straszna czerń, która niszczy Europę i Polskę, teraz też, jak się okazuje, sprzymierza się z Putinem. W Polsce ta nowa narracja stała się asumptem do opowieści o „podziemnym państwie PiS", sprzymierzonym rzecz jasna z Putinem, które wciąż rzuca kłody pod nogi Tuskowi i jego przyjaciołom z Brukseli. Kulminacją tego absurdu stał się spot PO, w którym pokazano, że ci, którzy nie głosują na Platformę, są tymi, którzy chcą, żeby Rosja urządziła w Polsce ponowny Katyń.

Warto tu zauważyć, jak wiele opisywana narracja ma wspólnego z typowym antysemityzmem. Kim są bowiem dla przeciętnego antysemity Żydzi? Obcymi, którzy destabilizują państwo, zabierają przywileje, które nie powinny być ich, pracują na rzecz obcych potęg. Są elementem wewnętrznym (państwem w państwie), jednocześnie prymitywnym i destrukcyjnym. Zamiast trzymać się swojego świata, wpychają się z buciorami tam, gdzie nie powinni (dokładnie jak ten „osławiony polski cham", na którego tak pomstują nasi liberałowie).

Co ciekawe, sposób, w jaki liberałowie usiłuje bronić swojej nienawistnej propagandy, też jest analogiczny do tego, jak swoje przekonania uzasadniają antysemici. Jednym z najbardziej typowych elementów antysemityzmu jest legitymizacja negatywnych emocji, jaką w tej grupie wywołują Żydzi, poprzez „argument", że sami są sobie winni, że zasłużyli. To nie ten, który nienawidzi jest odpowiedzialny za tę sytuację, tylko osoby, które swoim zachowaniem ową emocję prowokują. To na nich spada ten „grzech". Okazuje się więc, że to Żydzi sami są sobie winni, sami do tego doprowadzili etc. Dokładnie w taki sam sposób polski liberał myśli o prawicowcach, populistach etc. Nawet jak w wypadku Trumpa czy premiera Słowacji Fico, gdy ktoś usiłuje ich zamordować, jest to ich wina.

Opisywali samych siebie

Na zakończenie tego tekstu warto zauważyć jedną rzecz. O ile polski liberał, jeśli chodzi o nienawiść i pogardę do swojego rodaka, jest dość niezmienny, o tyle opisywany powyżej element strachu (w tak niebywałym natężeniu) jest u niego elementem relatywnie nowym. Pozwolę sobie tutaj przytoczyć kilka cytatów z tekstu nieżyjącego już Pawła Śpiewaka, wydrukowanego w „Tygodniku Powszechnym", w czerwcu 2012 roku. „Nie ma tu miejsca na niuanse, kompromisy, postawy empatyczne. W kolejnych wypowiedziach znajdu-

eprasa.pl 2e2f033bb9

ją się niemal te same sformułowania, jakby rozpisane w kasandrycznym chórze […]. Wszystko jest podporządkowane podwójnej strategii: totalnej opozycji wobec rządu i totalnej obronie wyabstrahowanej z poważnych treści polskości. […] Nie liczą się już żadne inne stanowiska, nawet najbardziej merytoryczne. Wszystko zostaje sprowadzone do niemal apokaliptycznego konfliktu […]. Jeśli istotą polityki pozostaje umiar i odwaga, to pierwszy zanika, druga zamienia się w histerię. Polityki tu nie ma. Zastąpiona zostaje przez rewolucyjną z ducha frazeologię. […] ta myśl, nie znając półcieni i półtonów, krzykliwa, jakby bała się chwili skupienia i ciszy. Zna tylko wrogów. […] Partia z tak radykalną ideologią, jeśli dojdzie do władzy czy choćby wygra wybory, a jest to dziś prawdopodobne, stanie się niewolnikiem swojego języka i swoich ideologów. Znów, zamiast zmieniać i naprawiać państwo, zacznie je wysadzać w powietrze, antagonizując setki tysięcy ludzi swoją radykalną retoryką i choćby z pozoru radykalną polityką. Polska jest dla nich sektą. […] Oto na naszych oczach rodzi się nowa religia polityczna, zbudowana z mesjanistycznych okruchów, która ma się realizować za pomocą bardzo ziemskich i politycznych narzędzi". Czytanie tego tekstu po 12 latach robi wrażenie. Przecież Śpiewak atakując prawicę, nieświadomie opisuje tu dokładnie to, czym stała się Platforma po 2015 roku. Nawet używa określenia „totalna opozycja". Jedyne co należałoby zmienić, by opis ten pasował do Anno Domini 2024, to słowo „polskości" na „europejskości".

Najgroźniejszy z populizmów

Na zakończenie pozwolę sobie przytoczyć tekst niejakiego Kubickiego, profesora z Uniwersytetu Jagiellońskiego, który idealnie pokazuje, jak jeszcze przed dwiema kadencjami PiS-u polscy „liberałowie" postrzegali znaczącą część naszego narodu. Cechuje go więc chęć „wzmacniania symbolicznych granic, zamykania się przed nowymi treściami […]. Innymi słowy, możemy obserwować proces »zamykania się« tej części polskiego społeczeństwa, czego efektem jest poczucie lęku, niepewności i zagrożenia obcymi treściami kulturowymi i praktykami społecznymi, typowe dla ekskluzywnych tożsamości etnicznych […]. W Polsce lokalnej mamy do czynienia z wycofaniem, swoistą ucieczką od wymogów stawianych przez system demokratyczny". Zabawne, czyż nie?

Przecież Kubicki właściwie opisuje współczesnego liberała polskiego, z dominującym jego perspektywę egzystencjalną lękiem i ciągłym rozżaleniem, a wręcz wściekłością, że system demokratyczny ośmiela się wynosić jego wrogów do władzy. Można oczywiście śmiać się z tego, jak brzydko zestarzały się oba te teksty, z hipokryzji polegającej na przerzucaniu własnych cech na oponenta. Pokazują one jednak jeszcze coś dużo ciekawszego. Ewolucję polskiego liberalizmu i to, jak błyskawiczna się ona okazała. Otóż co łączy oba te teksty poza podobnymi „wnioskami"? To, że zostały napisane przed 2015 rokiem. Tak tekst Śpiewaka, jak i Kubickiego (z książki wydrukowanej w 2010 roku) pochodzą z okresu narracyjnego PO o ciepłej wodzie w kranie i świecie pokoju, gdzie nic nam nie zagraża, zaś kto uważa, że coś (szczególnie Rosja) nam grozi, ten oszołom. Teksty te są wyrazem swoistego „optymizmu", który w tym czasie cechował polskich liberałów. Co prawda PiS raz wygrał, ale można było jeszcze traktować to jako rodzaj efemerydy politycznej, błędu w systemie, który zawsze może się zdarzyć, jednak jest on krótkotrwały. Od tego czasu wiele się zmieniło. Nie tylko PiS pokazał, że jest w stanie wygrać dwie kadencje parlamentarne i prezydenckie. Do tego nałożyły się przemiany w samej Unii Europejskiej, a zwłaszcza wygrana Donalda Trumpa i cała apokaliptyczna histeria, jaką wokół tego rozpętała strona „liberalna".

Ta ewolucja oraz jej tempo pokazują nam coś fundamentalnego o polskim liberalizmie. Jak niebywale modalna jest to tożsamość, skoro w ciągu zaledwie kilku lat jest w stanie „przeskoczyć" na zupełnie skrajne pozycje, zaś patrząc w perspektywie czasowej, wyznawane przez nią „idee" okazują się zupełnie sprzeczne wewnętrznie. Liberalny dyskurs okazuje się więc zaskakująco wręcz pusty, dla jego odbiorców, nie liczy się jego „treść", tylko to, kto go przekazuje. Rola „autorytetu" (znów coś, co standardowo jest zarzucane konserwatystom i prawicy) staje się najważniejsza. Nie posiada więc on tak naprawdę wartości aksjologicznej czy nawet kulturowej, okazuje się li tylko melanżem aspiracji (do postępu, elity, zwał, jak zwał) oraz emocji, dziś – jak widzimy – rozkręcanych do poziomu skrajnej histerii przez „liberalnych mędrców". W konsekwencji w zachodnim świecie nie ma bardziej przerażonej, rozhisteryzowanej i podatnej na manipulacje polityczne grupy niż ci tzw. liberałowie. W tym kontekście to liberalizm okazuje się dziś najgroźniejszym z populizmów. ■

___

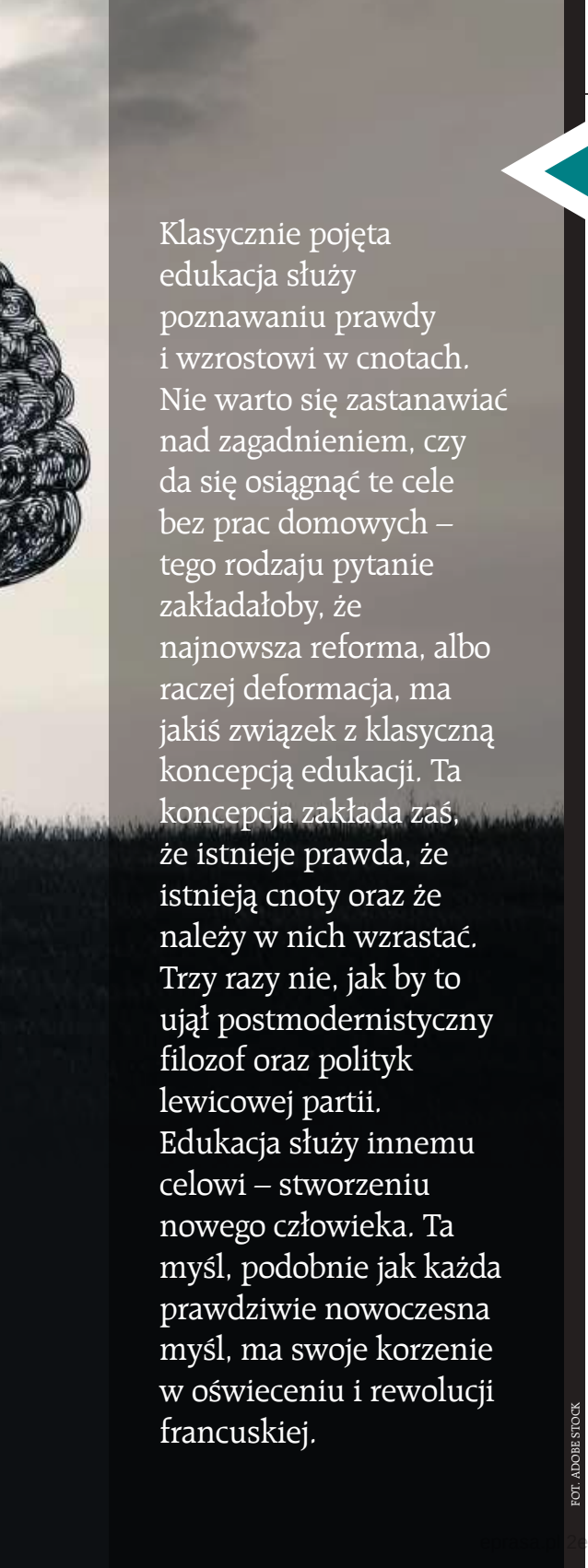
Tekst jest kontynuacją artykułu opublikowanego w poprzednim numerze „Nowego Państwa".

eprasa.pl 2e2f033bb9



Edukacja a nowy człowiek

Jacek Rutkowski



Klasycznie pojęta edukacja służy poznawaniu prawdy i wzrostowi w cnotach. Nie warto się zastanawiać nad zagadnieniem, czy da się osiągnąć te cele bez prac domowych – tego rodzaju pytanie zakładałoby, że najnowsza reforma, albo raczej deformacja, ma jakiś związek z klasyczną koncepcją edukacji. Ta koncepcja zakłada zaś, że istnieje prawda, że istnieją cnoty oraz że należy w nich wzrastać. Trzy razy nie, jak by to ujął postmodernistyczny filozof oraz polityk lewicowej partii. Edukacja służy innemu celowi – stworzeniu nowego człowieka. Ta myśl, podobnie jak każda prawdziwie nowoczesna myśl, ma swoje korzenie w oświeceniu i rewolucji francuskiej.

FOT. ADOBE STOCK

Sens nowoczesnej edukacji lapidarnie ujął poseł rewolucyjnej Konwencji Narodowej Alexandre Deleyre: „Stworzone zostały dla Narodu prawa; obecnie rzecz w tym, aby stworzyć Naród dla tych praw".

Rewolucyjna regeneracja

Chodzi o to, aby niczym na prokrustowym łożu „przycinać" ludzi do świeżo ustanowionych praw. Prawa nie służą ludziom, lecz ludzie mają służyć prawom. „Prawa" trzeba tu rozumieć bardzo szeroko, jako narzędzie inżynierii społecznej. Za ich pomocą starano się stworzyć nowy świat i nowego człowieka. Według rewolucjonistów francuskich można zmieniać i kreować rzeczywistość za pomocą ustaw. Człowiek nie posiada stałej natury, jest plastyczny. Można go stworzyć od nowa. Żeby naprawić świat i człowieka, wystarczy usiąść i pomyśleć. Jak w znanym żarcie o matematyku i filozofie: matematykowi potrzeba do pracy ołówka, kartki i kosza na śmieci, a filozofowi – to samo, tylko bez kosza na śmieci. Filozof społeczny siada wygodnie, rozmyśla i oto ujawnia mu się w całym swoim blasku idea szczęścia powszechnego oraz sposób jej realizacji za pomocą ustawy albo raczej za pomocą całego tabunu ustaw. W Parlamencie Europejskim widać pod tym względem przywiązanie do „rewolucyjnej tradycji" (dość dziwne określenie, więc chyba wymaga cudzysłowu); w czasie od 1789 do 1793 roku wprowadzono nie mniej niż 15 tys. nowych ustaw, mających całkowicie przeobrazić zastaną rzeczywistość polityczną i społeczną!

Mogą się pojawić tacy, którzy nie zgodzą się ze zmianami (oczywiście jeśli uda im się nadążyć za czytaniem ustaw) – takich maruderów należy zakwalifikować jako wrogów człowieczeństwa i rozumu. Skoro nie zgadzają się z wywiedzioną rozumnie ustawą, znaczy to po prostu, że są wrogami rozumu. Edukacja ma służyć wytworzeniu pokornych i posłusznych citoyens, obywateli (albo w gwarze późniejszej rewolucji – październikowej – towarzyszy).

Rewolucja jako nowe stworzenie

W tym kontekście warto przytoczyć pojęcie ukute przez francuskiego konserwatystę Louisa de Bonalda „idéer", „ideować". Oznacza ono tworzenie nowych idei bądź też całego świata idei. Konserwatyści nie „ideują", tylko starają się, w oparciu o tradycję i doświadczenie poprzednich pokoleń, wypracować nowe sposoby postępowania. Mówiąc obrazowo, konserwatysta patrzy w przeszłość, żeby budować przyszłość, a „ideowanie" polega na patrzeniu w chmury, żeby przyszłość projektować zgodnie z tym, co się komuś

262f033bb9

wymarzy. Konserwatysta pochyla się nad mądrością nagromadzoną przez pokolenia, ideolog zmiata ją z zapałem jednym pociągnięciem ręki (oraz pióra, pilnie piszącego rewolucyjne broszury). Jak mówił do swych wspólników Robespierre: „Aby wypełnić waszą misję, musicie stworzyć dokładne przeciwieństwo tego, co było przed wami". Trzeba odrzucić powstałe w czasach niewoli ancien régime'u rozumu mrzonki i szerzyć odkryte przez les philosophes oświecenie!

W roku 1790, gdy jeszcze nie zniesiono monarchii (tylko zmieniono ją z monarchii absolutnej na konstytucyjną) i nikt się nie domyślał mających nastąpić szaleństw antyklerykalizmu i terroru, katolicki arystokrata i zwolennik zmian, markiz Louis-Antoine de Caraccioli, pisał o rewolucji z religijnym wręcz namaszczeniem jako o „drugim akcie stworzenia". Ten akt stworzenia „stowarzysza się z wielkim dziełem samego Boga, przywracając człowiekowi ów stan, w jakim został on stworzony". Chodzi o stan przed grzechem pierwszych rodziców – rewolucja ma się przyczynić do zniesienia skutków grzechu pierworodnego. Rewolucja francuska miałaby zatem być swoistym etapem w historii zbawienia, jak przyjście Chrystusa na świat czy Zesłanie Ducha Świętego. Markiz de Caraccioli nie domyślał się jeszcze, jak bardzo bluźniercze i absurdalne wydadzą się jego słowa potomnym, jednak znakomicie oddają one ogromny entuzjazm i optymizm rewolucjonistów względem świata i natury ludzkiej. Byli oni bardzo przejęci ideami Jeana Jacquesa Rousseau o „dobrym dzikusie" (tacy luminarze rewolucji jak Robespierre, Desmoulins czy „archanioł terroru" Saint-Just zaczytywali się w Rousseau bez pamięci). Rousseau zdobył popularność dzięki nagrodzie uzyskanej w konkursie literackim na temat „z tezą": „Czy odnowienie sztuk i nauk przyczyniło się do odnowienia obyczajów?". Szokująca negatywna odpowiedź Rousseau na to pytanie wiązała się z jego przekonaniem o pierwotnie dobrej i nieskażonej naturze ludzkiej. Pisał: „[…] usuńcie ten nieszczęsny postęp, zabierzcie wytwory cywilizacji […], a wszystko będzie dobre". Można powrócić do stanu natury, usuwając wszystko, co nienaturalne, co zostało sztucznie wytworzone przez człowieka.

Dobro i szczęście ma zawitać na ziemi ponownie po długiej przerwie dzięki nowym prawom. Jak pisał Robespierre, Konwent Narodowy ma „uczynić ludzi szczęśliwymi i wolnymi przy pomocy praw". Odnowa będzie praktycznie natychmiastowa: „Wszystko wnet się zmieni, moralność, poglądy, prawa, maniery, administracja. Jeszcze trochę czasu i będziemy nowymi ludźmi", jak twierdził z kolei Jean-Baptiste Ruault. Wspomniane „trochę czasu" to właśnie tyle, ile potrzeba na wyedukowanie nowego pokolenia obywateli. Nie było to wcale łatwe, gdyż, jak zauważył Jan Baszkiewicz, „trzeba było uporać się ze Starym, które tkwiło w każdym lub niemal każdym Francuzie". Charakterystyczny jest w tym kontekście przykład rewolucyjnego kalendarza, którego lud ani myślał przestrzegać. Mimo likwidacji niedziel i wprowadzeniu dziesięciodniowego tygodnia, uporczywie świętowano niedziele. Mimo wprowadzenia folklorystycznych nazw dni, takich jak Truskawka, Koń czy Pług, wciąż obchodzono św. Marcina, św. Jana, czemu towarzyszyły przeróżne lokalne odpusty i święta.

Starano się jednak nauczyć ludzi obchodzenia nowych, rewolucyjnych świąt – dopiero to miało im dać prawdziwe szczęście, o czym jeszcze nie wiedzieli. Edukacja to proces uszczęśliwiania ludzi poprzez dostosowanie ich do postępowych praw, zdobyczy rewolucji. Wtedy uczono umiłowania republiki i pogardy dla ponadtysiącletniej tradycji królewskiej Francji, teraz uczy się tolerancji dla wszelkich dziwactw i pogardy dla całej tradycji Europy. Lud nie wiedział jeszcze wielu rzeczy, nie widział zbliżającej się szczęśliwości powszechnej, jednak jakobini, jako dalekowidze, już ją wypatrzyli.

Elitaryzm rewolucyjnej edukacji

Rewolucja, głosząc wszem i wobec hasło równości, skłaniała się jednak w dziedzinie edukacji do bardziej nowoczesnego ideału różnorodności. Odważono się wtedy mówić to, co i teraz wielu osobom ciśnie się na usta: po co tylu magistrów (wtedy nie chodziło oczywiście o magistrów, tylko ogólnie o wyższe stanowiska)? Albo jak to wyraził Pliniusz Starszy ne sutor supra crepidam – „niech szewc pilnuje kopyta" (i nie miesza się do spraw wyższych). Filozofowie oświeceniowi powtarzali, że społeczeństwu potrzeba wielu rąk do pracy, natomiast głów wystarczy niewiele. Rewolucyjny „biskup-patriota" Talleyrand stwierdził: „Społeczeństwo postrzegać należy jako wielki warsztat. Nie wystarczy, by każdy w nim pracował; trzeba, by wszyscy tam byli na swoim miejscu". Równość równością, ale niebezpiecznie rozbudzany przez edukację nadmiar ambicji może doprowadzić do wyludnienia wsi i upadku rolnictwa. Zamiast „bezimiennie" uprawiać rolę, wykształcony chłop mógłby się stać, zupełnie niepotrzebnie, pragnącym dalszego rozwoju indywidualistą. Rosnące w XVIII wieku indywidualizm i ambicję widać na przykładzie autobiografii napisanej przez pewnego francuskiego szklarza. Ten szklarz włożył ogromny wysiłek w utwierdzenie własnej tożsamości oraz zrozumienie swej osobowości. Jak zauważył Daniel Roche w przedmowie do tej auto-

eprasa.pl 2e2f033bb9

biografii: „ja przestaje być nikim", szklarz uznał samego siebie za istotny przedmiot książki, stał się kimś. Przeszłość wydaje się nam pełna anonimowych tłumów: rolników, rzemieślników, żołnierzy, którzy żyli jakby tylko jako członkowie społeczeństw, nie mieli własnej wyjątkowej tożsamości. Rozdęty nowożytny indywidualizm nie sprzyjałby rolnictwu i rzemiosłu. Pewien poseł Konwentu Narodowego, Antoine Rudel, obawiał się, że edukacja rozwinęłaby taki indywidualizm i niechęć do rolnictwa i rzemiosła – a przecież „we Francji nie mamy helotów do uprawiania roli, jak było w Sparcie; nie mamy niewolników, jak w Atenach i Rzymie".

Edukacja dokonała już jednak swojego dzieła. „Ja" przestało być nikim. Podsycanie ambicji połączone z pogardą dla zawodów „niższych" sprawiło, że bogaci Europejczycy po prostu już nie chcą wykonywać pewnych czynności. W Szwajcarii toczy się ostatnio ożywiona dyskusja na temat, co zrobić, żeby kraj dalej był tak bogaty i czysty, a jednocześnie oszczędzić Szwajcarom przykrej konieczności wykonywania na przykład zawodów związanych ze sprzątaniem. Odpowiedź narzuca się sama – zaprosić „helotów do uprawiania roli, jak w Sparcie". Imigranci to remedium nie tylko na niski przyrost naturalny, lecz także na niechęć do pracy, jaką przewidziano podczas prowadzonych przez rewolucjonistów francuskich debat o powszechnej edukacji.

▶ Zwycięstwo powszechności

Powyższe problemy schodzą jednak na drugi plan, jeśli weźmie się pod uwagę moralny (albo raczej: niemoralny) wymiar edukacji. Być może to prawda, że wykształcone dziecko rolników nie będzie się już chętnie zajmowało rolą i zacznie szukać innego zajęcia. Jednak znacznie bardziej szkodliwe dla Republiki byłoby dziecko niewykształcone, które przejęłoby całą wiedzę i ideały od swoich rodziców. Stąd pomysł (ostatecznie niezrealizowany) szkół z internatem, do których najmłodsi citoyens byliby zabierani od piątego roku życia, aby przez siedem lat otrzymywać „dobrodziejstwo publicznej oświaty". Cóż by bowiem przyszło z najbardziej nawet zjadliwych broszur rewolucyjnych i płomiennych wystąpień agitatorów, jeśliby młodzież usłyszała po powrocie do domu coś zupełnie innego? „Któż mi zagwarantuje – grzmiał Danton – że dzieci urabiane przez pełnych egoizmu ojców nie staną się niebezpieczne dla Republiki?".

Danton w tych słowach to prorok niechęci współczesnych państw względem edukacji domowej. Widać w nich wielkiego fetysza rewolucji – Republikę. Nawet graficznie można tu odczuć pewien dysonans: oto Republika jest napisana wielką literą, natomiast dzieci i ojcowie muszą pokornie ustąpić jej pierwszeństwa. Non sibi, sed Reipublicae vivimus (nie żyjemy dla siebie, lecz dla Republiki). Edukacja domowa jest nie do pomyślenia, skoro „dzieci najpierw należą do Republiki, a dopiero potem do swoich rodziców" (Danton). Powszechna edukacja to zatem dla rewolucjonistów jakby kompromis między obawą związaną z tym, że wszyscy zapragną stać się członkami klasy wyższej, a potrzebą kształtowania posłusznych, ideowych zwolenników rewolucji.

> Edukacja w modelu neoliberalnym podlega instrumentalizacji, zdeterminowanej przez potrzeby bieżącej rzeczywistości, związane z gospodarką i rynkiem pracy.

▶ Ekonomizacja edukacji

We współczesnych debatach na temat edukacji nie kładzie się raczej nacisku na jej aspekt „inżynieryjno-społeczny", na chęć wytworzenia nowego człowieka przez będących u władzy ideologów. Ze strony konserwatywnej zarzuca się współczesnemu modelowi edukacji wzrastającą utylitaryzację i ekonomizację. Uczeń ma się nauczyć tego, co pożyteczne, i tego, co stanie się przydatne na rynku pracy. Jak wskazał Jacques Maritain, pewnym podłożem tego podejścia jest swego rodzaju intelektualizm, według którego kształcenie młodego człowieka służy wyłącznie wzmocnieniu jego sprawności myślenia, inteligencji. Opuszcza się wartości uniwersalne na rzecz funkcji praktycznych. Nadrzędnym celem staje się specjalizacja techniczna i naukowa. Edukacja w modelu neoliberalnym podlega instrumentalizacji, zdeterminowanej przez potrzeby bieżącej rzeczywistości, związane z gospo-

eprasa.pl 2e2f033bb9

darką i rynkiem pracy. Osobliwym przykładem utylitaryzmu są wymagania prawne związane z opisami przedmiotów uniwersyteckich. Wszystkie zajęcia muszą być praktyczne, z czego da się jakoś wybrnąć na przykład na wydziałach ekonomicznych czy na kierunkach ścisłych. Zajęcia bardziej teoretyczne mogą zostać opisane jako wstęp do tego, co prawdziwie istotne, do zajęć bliżej związanych z bezpośrednim zastosowaniem w korporacji. Co jednak można zrobić, gdy cały kierunek w swej istocie nie ma w sobie absolutnie nic pożytecznego? Arcyzabawne rozwiązanie znaleziono na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie zajęcia z łaciny na filologii klasycznej zostały nazwane „Praktyczna nauka języka łacińskiego", a podobne zajęcia z greki „Praktyczna nauka języka greckiego". Tak jakby było coś praktycznego w łacinie i grece! Każdy, kto uczęszczał na te zajęcia, będzie mógł wykorzystać zdobyte kompetencje w wysoce praktycznych celach, na przykład podczas lektury dzieł Cycerona czy Platona!

Piotr Jaroszyński wskazał, że taki model edukacji kształtuje nie tyle homo sapiens, ile raczej homo faber (człowieka wytwórcę). Młody człowiek jest w szkole przygotowywany do myślenia jedynie kategoriami użyteczności. Natomiast myślenie kategoriami słuszności, niezwiązanej z zyskiem, nie jest w ogóle brane pod uwagę. W tym samym duchu pisał o edukacji już Arystoteles w IV wieku przed Chrystusem. Uważał, że utylitarne wychowanie techniczno-zawodowe nie ma sensu, gdyż służy ono nie dobru człowieka, lecz dobru rzeczy. Sprawny technik potrafi zbudować radio, ale niekoniecznie potrafi zbudować trwałą relację. Sprawny informatyk potrafi naprawić błędy w programie, ale niekoniecznie potrafi naprawić błędy w swoim życiu. Prawdziwe wychowanie jest wychowaniem do bycia w pełni człowiekiem. Arystoteles odrzucał w ogóle cele praktyczne edukacji – mógł sobie na to pozwolić dzięki zastępom niewolników, którzy służyli jako tania, wręcz darmowa siła robocza. Wykształcenie zawodowe również jest potrzebne, jednak nie powinno przesłaniać ludzkiego i moralnego wymiaru edukacji. Haec oportet facere et illa non omittere, to należy czynić i tamtego nie pomijać, jak powiada Pismo (Łk 11, 42).

Ekonomizacja a nowy człowiek

Ekonomizacja edukacji i fetysz utylitarności staną się jeszcze bardziej niepokojące, gdy ujmie się je nie same w sobie, lecz w kontekście wciąż żywego rewolucyjnego ideału „urabiania" obywatela. Adept rewolucyjnej szkoły miał porzucić to, co stare, aby wszystko w nim stało się nowe. Miał się dostosować poprzez edukację do nowych praw. Chciano zabrać dzieci rodzicom do internatów, aby nie psuli im wieczorami wykonanej za dnia pracy reedukacyjnej. W szkołach komunistycznych starano się „produkować" towarzyszy, tak jak podczas rewolucji francuskiej zaczęto wytwarzać nowego człowieka. Według Ryszarda Legutki niewiele się pod tym względem zmieniło: „Instrumentalne traktowanie edukacji jako narzędzia do życia w społeczeństwie socjalistycznym miało swoje przedłużenie w instrumentalnym traktowaniu edukacji jako narzędzia do życia w liberalnej demokracji". Życie w liberalnej demokracji polega zaś na przyjęciu jej (coraz liczniejszych) dogmatów, za których niewyznawanie rodzice mogą zostać już tu i ówdzie pozbawieni swych pociech. Gdy się zaś już te dogmaty przyjmie, podstawowym celem jest nastawienie na konsumpcję. Posłuszny obywatel zarabia i konsumuje, dzięki temu może sprawnie funkcjonować rynek.

Kolejnym pokłosiem rewolucyjnych ideałów jest częsta i radykalna zmiana programów nauczania. Nie chodzi nawet o drastyczne zubożanie tych programów, tylko o głęboką postawę, jaka się za tym kryje. Czuć w tym jakiś niezdrowy pośpiech. Monarchia francuska trwała mniej lub bardziej harmonijnie przez 1300 lat, zaś podczas rewolucji niczym w kalejdoskopie zmieniały się frakcje i ugrupowania u władzy. Stwarzanie nowego świata i nowego człowieka to proces dość gwałtowny. Coś musi się wszak dziać, aby można było mieć poczucie, że dzieje się coś ważnego. Tak jak podczas rewolucji obalono kilkoma pociągnięciami pióra całą wiekową tradycję społeczną i polityczną, tak każdy nowy minister edukacji czuje się w obowiązku pozamieniać to i owo w szkolnictwie. W średniowieczu kształcenie miało walor pewnej ponadczasowości. Uczeń średniowiecznej szkoły miał poczucie, że zgłębia zagadnienia wieczne – te same, które intrygowały Arystotelesa, św. Augustyna, Boecjusza. C.S. Lewis w książce o średniowiecznym postrzeganiu świata „Odrzucony obraz" poświęca nawet osobny rozdział omówieniu średniowiecznego programu nauczania – który w całej Christianitas wyglądał tak samo! Jeśli za pięćset lat ktoś zabierze się za pisanie książki „Odrzucony obraz" o wizji świata w XXI wieku, musiałby poświęcić zagadnieniu programu nauczania nie jeden rozdział, lecz kilkadziesiąt tomów. Nie sądzę jednak, że ktokolwiek miałby ochotę na pisanie tomów o zjawiskach tak przelotnych. Klasyczna edukacja jest niczym „philosophia perennis", filozofia wieczysta – nigdy nie ustaje jej aktualność. Taka edukacja wiąże się z najgłębszą prawdą ludzkiego bytu. Istnieje proste rozwiązanie, aby się nie poddać tym efemerycznym prądom naszej epoki. Rozwiązanie, z którym wytrwale walczą twórcy nowego człowieka: czytanie. Jak bowiem zauważył Aldous Huxley – „kto czyta książki – kupuje mało". ■

eprasa.pl 2e2f033bb9



Małgorzata Matuszak

Czym jest... kreatywność

Kreatywność (z łac. „creatio", czyli „twórczy") to przymiot współcześnie szczególnie pożądany i ceniony, szybko zmieniający się świat potrzebuje bowiem wciąż nowych rozwiązań problemów, które się pojawiają, i nowych pomysłów, które nadążają za dynamiką świata. Kreatywność stanowi zatem ważną cechę adaptacyjną we współczesnym świecie. Czym jednak jest i jak się objawia? I czy jest uniwersalną właściwością ludzkiej natury?

W myśli europejskiej spotykamy dwie formy czy też dwa wzorce kreacji. Pierwszy z nich u Platona, w dialogu „Timajos", gdzie pojawia się postać Demiurga, który formuje wiecznie istniejącą materię i w ten sposób z niej – biernej i bezkształtnej – powstaje świat. Ten akt kreacji nie zapoczątkowuje istnienia, gdyż materia już istnieje, ale dodaje do istnienia określoność (formę), dzięki której świat zyskuje pewną postać nam znaną, a każdy byt jest uformowany zgodnie z ideą, której nadał mu Demiurg. Przypomina Demiurg w ten sposób artystę, na przykład rzeźbiarza, który z kamienia wydobywa kształt postaci, zgodnie z ideą, która mu się ujawniła. Nie jest on absolutnym kreatorem początku wszelkiego bytu, lecz urzeczywistnia potencjał istniejący w materii i możliwej do przyjęcia przez nią formie. Drugi wzorzec kreacji to kreacja absolutna, a więc „ex nihilo". Taki model kreacji daje nam Księga Rodzaju, w której spotykamy się z obrazem stworzenia świata z Boskiego Ducha, który mocą swojej myśli i dobroci powołuje do życia kosmos. Kreacja kosmiczna jest możliwa wyłącznie dzięki Bogu, od Niego pochodzi i On jest całkowicie jej autorem. Tylko Bóg, dzięki swojej wszechmocy, jest zdolny zapoczątkować świat, a Jego kreacja jest kreacją wszelkiego stworzenia, wszelkiego bytu.

W kulturze europejskiej kreatywność leży raczej po stronie samego podmiotu i w nim upatruje się źródła kreacji. Człowiek jest jedyną istotą zdolną powołać w świecie coś całkiem nowego, zwierzęta bowiem najczęściej powtarzają zakodowane w nich instynktowne wzorce postępowania. W ludzkiej kreatywności tkwi siła człowieka i możność transcendowania ponad to, co dane i co zastane, ponad naturę, z której wyrasta, ale którą dzięki kreatywności przekracza, tworząc swój własny, ludzki świat. Kreatywność ludzka jest więc jednym z warunków bycia człowiekiem w ogóle, do natury człowieka jako człowieka zaliczyć trzeba bowiem zdolność tworzenia nowych sposobów myślenia, bycia, mówienia, rozumienia siebie i życia.

Kreatywność wiąże się zawsze z zapoczątkowaniem czegoś nowego, ze złamaniem dawnego wzorca postępowania i wyjściem poza dany schemat życia, przeżywania, rozumienia, działania. Może być cechą stałą, może być też umiejętnością nabytą i rozwijaną, ale moment kreacji rozpoczyna się zwykle od pewnego olśnienia, wraz z którym pojawia się przed nami, znikąd jakby, nowe rozwiązanie starego problemu czy nowe spojrzenia na dawne zagadnienie, dzięki czemu wynajdujemy nowy sposób działania i nowy sposób życia w świecie, inne od tych, które dotychczas były nam znane.

> Kreacja to akt tworzenia, którego źródła są często niewiadome, dzięki któremu człowiek jest w stanie odkrywać i wykonywać coś nowego i wartościowego dla siebie i innych.

Kreatywność może być różnie definiowana, w samej psychologii jest jak dotąd około 60 jej definicji, jednak najogólniej powiedzieć można, że jest ona pewnym potencjałem człowieka odpowiadającym za jego wynalazczość i zdolność do rozwijania własnej istoty. Akt kreacji może być stopniowy, ale sama kreatywność działa skokowo. Jest to pokonanie pewnego poziomu, z którego startowaliśmy, i wkroczenie w nowy rejestr rozumienia, inny niż dotychczas, od którego zaczyna się zmiana. Kreatywne działanie może się odbywać, jak w „Timajosie" Platona, dzięki stopniowej pracy, ale kreatywność to również nowy początek, wychodzący od podmiotu, na podobieństwo Boga, Stwórcy świata „z niczego". Kreacja to tworzenie na gruncie tego, co już jest, czegoś, czego nigdy jeszcze nie było. To akt tworzenia, którego źródła są często niewiadome, dzięki któremu człowiek jest w stanie odkrywać i wykonywać coś nowego i wartościowego dla siebie i innych. ■

eprasa.pl 2e2f033bb9



Małgorzata Matuszak



SILVERS?

TO BRZMI DUMNIE

Współcześni silversi to ludzie otwarci na świat, chętnie uczący się nowych rzeczy, odkrywający nowe wymiary rzeczywistości, podróżujący, poznający nowe kultury, ciekawi i zainteresowani otaczającą ich rzeczywistością. Nie koncentrują się bowiem na tym, że się starzeją, lecz na tym, aby przeżywać życie w satysfakcjonujący sposób, poszukiwać nowych wyzwań i podnosić swoje kompetencje.

eprasa.pl 2e2f033bb9

Wiek XX sprawił, że na skutek poprawy standardów życia w krajach europejskich oraz opieki medycznej znacznie wzrosła długość ludzkiego życia. W debacie publicznej często mówi się o starzeniu się współczesnego społeczeństwa, gdyż wydłużeniu się ludzkiego życia towarzyszy globalny spadek dzietności. Te przekształcenia demograficzne rodzą szereg wyzwań dla państw nimi dotkniętych. Także dla Polski. Żyjemy coraz dłużej, wydłuża się również tzw. trwanie życia w zdrowiu, w naturalny więc sposób zmienić się musi nasze postrzeganie zarówno samego procesu starzenia się, jak i miejsca ludzi starszych, ale wciąż jeszcze w wieku aktywności zawodowej, w społeczeństwie.

Mądrość starszyzny

Starzenie się oraz dożywanie późnej starości w czasach przed rewolucją techniczną oraz epoką zwaną ogólnie czasami nowoczesnymi, a więc okolicami XX i XXI wieku, stanowiły raczej rzadkość. Oczekiwana długość życia w starożytnym świecie Grecji i Rzymu po przeżyciu najtrudniejszego i obciążonego największym ryzykiem śmierci dzieciństwa wynosiła, po ukończeniu 10. roku życia, około 45–47 lat. I mimo że zdarzało się, iż jednostki dożywały sędziwego jak na tamte czasy wieku, stanowiły one raczej rzadkość niż regułę. Ludzie sędziwi byli otaczani troską, a ich zdanie w życiu społecznym miało dużą wagę, gdyż starszy człowiek gromadził przez całe życie dużo wiedzy i doświadczenia, które chętnie przekazywał młodszym ludziom, a młodzi chętnie korzystali z rad ludzi starszych i uczyli się od nich sztuki życia. Mądrość kojarzyła się w kulturze przednowoczesnej przede wszystkim ze słusznym wiekiem, młodzika rad mało kto słuchał. Mądrość pokoleń przemawiać zwykła przez starców, który byli szanowani i mieli wynikającą z pewnej wiedzy naturalną godność idącą w parze z dystansem do świata.

Czasy nowożytne, wprowadzając kult technologii oraz nauki, edukacji oraz konieczność rozwoju na poziomie globalnym, otoczyły szczególną estymą wszystko, co nowoczesne. Nowatorskie idee, wynalazki, nowe światopoglądy, czyli to, co jest domeną i znajduje się w zakresie zainteresowania ludzi młodych, nowoczesność uznała za szczególnie ważne i pożądane w nadchodzącym świecie, którego tempo życia oraz złożony charakter coraz bardziej się pogłębiały. Z tego względu, iż zaczęło opanowywać ludzką świadomość coraz mocniej pożądanie tego, co nowatorskie, przełomowe i zrywające z przeszłością, mądrość starszyzny wraz z ich doświadczeniem i wiedzą odchodziła coraz bardziej w cień. Któż bowiem lepiej radzi sobie z nowinkami niż człowiek młody? Role się odwróciły i młodzi ludzie zaczynali coraz bardziej patrzeć na starszych i mniej radzących sobie w dynamicznie zmieniającym się świecie z politowaniem i współczuciem, miast z podziwem i szacunkiem. Starsi musieli przyjąć gorzką lekcję i zacząć uczyć się od ludzi młodych. To przewartościowanie znaczenia wieku dotyka zarówno ludzi w wieku średnim, jak i tych starych.

W obliczu problemów demograficznych, z jakimi borykają się dzisiejsze społeczeństwa, szczególnego znaczenia nabierają zmiany jakościowe, które muszą się dokonać na rynku pracy. Wszystko wskazuje na to, że obciążenie systemu zabezpieczeń społecznych będzie wyższe niż możliwości „produkcyjne", dlatego tak ważne jest dostrzeżenie potencjału zawodowego i doświadczenia ludzi starszych i wprowadzenie modelu zarządzania wiekiem, rozumianego jako strategia zarządzania zróżnicowanym wiekowo zespołem pracowników. Dlatego dzisiaj wiele mówi się – i słusznie – o konieczności połączenia bogatego doświadczenia pracowników starszych z energią i umiejętnościami technologicznymi młodszych, które stać się może źródłem rozwoju dla organizacji i biznesu.

Kapitalizm i kult młodości

W czasach rozwiniętego kapitalizmu zauważono, że ludzki lęk przed przemijaniem i starością można zarządzić rynkowo. Stąd kultowi młodości świata nowoczesnego towarzyszy szukanie świętego Graala, którym współcześnie jest lek na starzenie się i śmiertelność. Ogromne sumy pieniędzy wydawane są na poszukiwania wiecznej młodości oraz na leczenie ludzkiego strachu przed starzeniem się. Pracują na rzecz tego celu przemysł farmaceutyczny, medycyna, kosmetologia, nie mówiąc już o trenerach personalnych oraz klubach fitness, mających dbać o kondycję człowieka w każdym wieku. Nie ma nic złego w tym dbaniu o siebie o tyle, o ile nie stanie się to obsesją i nie przyniesie karykaturalnych skutków, na przykład obsesyjnego poddawania się zabiegom z zakresu medycyny estetycznej i plastycznej.

Zauważając, że naturalne starzenie się jest dużo rozsądniejsze i ludzkie, pojawił się ostatnio trend na całym świecie – zaczęto przyjmować starzenie się z godnością. Zauważyć to można nawet w środowisku gwiazd i celebrytów. Wiele osób znanych wciąż nie może pogodzić się z upływającym czasem i decyduje się na „odmładzanie", niekiedy nieudolnie, coraz więcej jest jednak tych, które eksponują wręcz swą dojrzałość. Kobiety i mężczyźni w średnim wieku nadal dbają o siebie, ale nie udają już nastolatków. Pozwalają sobie na siwe włosy, nie usuwają zmarszczek, godzą się z tym, że nie mogą udawać młodych ludzi za wszelką cenę, zdając sobie sprawę z tego, że może to

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 2e2f033bb9

przynieść tragiczne skutki. Trend na „naturalne starzenie" wydaje się powrotem i restytucją dawnego ideału godności dojrzałego wieku.

Ów lęk przed starzeniem zauważyć można także na rynku pracy, bo niestety w procesie rekrutacji wiek ma znaczenie. Ludziom starszym, choć wciąż jeszcze w wieku aktywności zawodowej, w większości przypadków nie jest łatwo znaleźć nową pracę, jeśli poprzednią z jakichś względów utracili bądź też chcieliby ją zmienić. Wielu pracodawców, kierując się stereotypami, uważa, że osoby starsze są mniej produktywne, mniej dynamiczne i wolniejsze niż młodsze, nie dostrzegając niewątpliwych ich zalet. Ludzie dojrzali również mają dużą motywację, aby zachować jak najdłuższą aktywność w życiu zawodowym, chcą być przydatni i podnosić swoje kompetencje. Wprowadzanie systemowych rozwiązań, choćby takich jak dotacje na przyjęcie do pracy starszego wiekiem pracownika, tylko częściowo rozwiązuje problem dyskryminacji osób dojrzałych. Ważne, by człowiek mógł z godnością poddać się procesom naturalnego starzenia i nie bał się skutków upływu czasu także na gruncie pacy zawodowej, przecież wraz ze starzeniem się społeczeństwa grupa pracowników 50+ będzie na rynku pracy tylko się powiększać.

Silversi, czyli druga młodość

Zmiana podejścia do procesu starzenia się widoczna jest właśnie najbardziej w tzw. pokoleniu silversów. Pokolenie „silver" definiowane jest różnie: albo jako pokolenie osób powyżej 55. roku życia, przynależące do pokolenia „baby boomers", czyli osób urodzonych w latach 1946–1964, albo – najczęściej – jako pokolenie osób po 50. roku życia, które są aktywne zawodowo. Sama nazwa – „srebro" – nawiązuje do siwych włosów, które stereotypowo kojarzone są z tym wiekiem. Współcześnie różni się ono znacznie od pokolenia ich równolatków żyjących wcześniej, zarówno nastawieniem do życia, jak i sposobem, w jaki przeżywają swoje życie i traktują swój wiek. Nastąpiła w tym względzie wielka zmiana mentalna. Są to na ogół ludzie skoncentrowani nie na tym, że się starzeją, lecz na tym, aby przeżywać życie w satysfakcjonujący sposób, poszukiwać nowych wyzwań i podnosić swoje kompetencje.

Dlatego wielce krzywdząca dla tej grupy wiekowej jest jej dyskryminacja na rynku pracy. Nie mogąc znaleźć zatrudnienia, wielu silversów, korzystając ze swojej wieloletniej wiedzy i doświadczenia, mając często, wynikające ze znajomości świata i rynku, dobre pomysły na nowatorskie i ciekawe działalności, decyduje się na założenie własnej firmy, co dość często staje się sukcesem rynkowym. Ważne są również programy społeczne dla starszych ludzi, które mają na celu integrować ich ze środowiskiem społecznym, rozwijać oraz czynić potrzebnymi.

Współcześni silversi to ludzie otwarci na świat, chętnie uczący się nowych rzeczy, odkrywający nowe wymiary rzeczywistości, podróżujący, poznający nowe kultury, ciekawi i zainteresowani otaczającą ich rzeczywistością. Ta zmiana wynika po części z próby dopasowania się do wyzwań aktualnego, ciągle zmieniającego się świata, po części z tego, że współcześni silversi nie poddają się i nie schodzą ze sceny współczesności tak szybko. Jeszcze w „srebrnym" wieku chcą oni uczestniczyć w obszarach ważnych dla każdego człowieka, takich jak życie zawodowe, społeczność, w której żyją, kultura, która ich otacza i na którą mogą mieć pewien wpływ. Nie są to bierni konsumenci programów telewizyjnych bezczynnie siedzący w domu, lecz aktywni działacze, twórcy kultury, pracownicy, ludzie o szerokich horyzontach myślowych i życiowych. Silversi często zdobywają nowe umiejętności, uczą się nowych języków, mają swoje pasje, trenują, czytają. Można spotkać ich często w galeriach, teatrze, kinie, są ludźmi biorący aktywny udział w lokalnej społeczności i działający na jej rzecz w oparciu o swoją wiedzę i umiejętności. Ten obraz aktywnych ludzi dojrzałych pozwala patrzeć również na ich starzenie się z większym optymizmem i można powiedzieć, że uczynią oni swoją starość kiedyś równie ciekawą i satysfakcjonującą jak wiek średni.

Promocja dobrego starzenia się

Starzenie się społeczeństw jest pewnym faktem, który współczesność musi brać pod uwagę. Ludzie w starszym wieku coraz bardziej świadomie i aktywnie podchodzą do problemu upływu czasu i radzą sobie coraz lepiej z kwestią własnego starzenia. Nie uciekają przed tym faktem, a promują aktywne, mądre i twórcze wkraczanie w wiek seniora. Rozwiązania systemowe typu wspieranie miejsc pracy dla ludzi w starszym wieku, uniwersytety trzeciego wieku czy kluby seniora dla osób w podeszłym już wieku, wychodzą naprzeciw potrzebie człowieka, aby w każdym wieku czuł się ważny, potrzebny oraz miał swoją społeczność, aby w każdym wieku, również w tym starszym, mógł żyć dobrym życiem. Te wszystkie działania systemowe i pojedynczych dojrzałych ludzi zasługują na uznanie oraz budzą nadzieję na to, że starzenie się może być szczęśliwym czasem w życiu człowieka, dzięki czemu nie musi on przed nim panicznie się bronić. Nie ulega wątpliwości, że starzenie się współcześnie nie jest takie samo jak kiedyś. Warto zatroszczyć się o to, by nie oznaczało ono jedynie spadku jakości życia, ale było przede wszystkim szansą na nowy, mądrzejszy jego etap, tak bardzo przecież naturalny. ■

eprasa.pl 2e2f033bb9

niezależna.pl

#BądźNaBieżąco



prasa.pl 2c2f033bb9



Ewa Polak-Pałkiewicz



Jak z tradycyjnego społeczeństwa uczynić rewolucyjny tłum?

Nowa rewolucja potrzebuje ślepego tłumu. Ma go stanowić wymieszane wielonarodowe pospólstwo – bez przeszłości i przyszłości, zawsze niezadowolone, żądne haraczu za swoją beznadzieję. Zagnane do międzynarodowej zgrai zwanej „europejską partią polityczną". Ci, którymi najłatwiej sterować. Katolicy jednak nie mogą być tłumem. Cywilizacji nie uratuje się samosądami i wznoszeniem haseł. Zła nie zwycięży się złem. Metoda zawsze zdradza autora. Cel nigdy nie uświęca środków.

eprasa.pl 2e2f033bb9

Dlaczego tak bardzo zależy im na tym, by mieć „swoje" sądy? „Swoje" sądy w naszym wspólnym państwie. Byli w stanie uczynić wszystko, by je mieć, jeszcze gdy byli opozycją. Złamać każdą obietnicę, dane słowo, umowę, traktat, nagiąć konstytucję. Wykręcić kota ogonem i z uśmiechem obwieścić, że to oni decydują, co znaczy umowa.

Chcą mieć w naszym kraju swoje sądy, które będą żonglowały pojęciem „prawo i sprawiedliwość" i pozbawiały je treści. Nigdy nie wyjdą poza obszar pilnowania czyichś interesów. Politycznych, ideologicznych, finansowych, grupowych. Nie tylko z powodu rangi tych interesów. Także z powodu ludzi, którzy żyją w państwie, gdzie działają takie sądy i nawet nie muszą mieć z nimi bezpośrednio do czynienia. Ale nie powinni się spodziewać, że prawo i sprawiedliwość coś tutaj znaczy. I że jest fundamentem każdego niepodległego państwa.

Takie sądy będą pilnowały, by kłamstwo i obłuda zawsze odnosiły triumf. Będą one czymś najgorszym, co może przydarzyć się każdemu państwu i społeczeństwu. Rzeczy takie jak dobro i zło, prawda i kłamstwo muszą być nazwane – a zło i kłamstwo odrzucone i ukarane – by społeczeństwo mogło normalnie funkcjonować.

Nastąpi usankcjonowanie odwrócenia pojęć. Gdy nie dokonuje się precyzyjnych rozróżnień, rozwijają się wszystkie możliwe patologie. Sztuczny język, który nie nazywa rzeczy po imieniu, wytwarza chaos. Po to m.in. redukuje się dziś nauczanie języka polskiego w szkołach; byt, rzecz, pojęcie, dla których nie ma adekwatnej nazwy lub została ona zapomniana, znikają z pola widzenia, przestają istnieć w umysłach.

Żeby zrozumieć perfidię i dalsze konsekwencje pomysłu z „własnymi" sądami, przypomnieć warto pewien – pozornie drobny i mało istotny – medialny epizod sprzed kilku lat. Jedna z fundacji zajmujących się ochroną życia nienarodzonych w naszym kraju ogłosiła Głosowanie na Heroda Roku. Podchwyciła je część mediów katolickich. Głosowanie na Heroda Roku nie było zabawą. Konsekwencje były poważniejsze, niż można by sądzić. Plebiscyt ten coś ważnego zmieniał. Przede wszystkim zmieniał tych, którzy wzięli udział w głosowaniu.

Wystarczyło kliknąć...

...albo wrzucić kartkę do skrzynki – i oto wyskakuje od razu ta ohydna postać, Herod Roku. Najpierw odbywa się dzieło wewnętrznego niszczenia człowieka uznanego za najlepszego kandydata do tego tytułu. Właśnie tak jak w sztukach walki Dalekiego Wschodu, pod wpływem nauk mistrza. Przeciwnik zostaje unicestwiony w naszej psychice. A potem następuje faktyczna egzekucja. Jest nią publiczny wyrok. Przyznanie tytułu.

W plebiscycie na Heroda Roku ogłoszonym tuż przed Świętami Bożego Narodzenia zastanawiał nie tylko sam pomysł, lecz także gorliwość niektórych mediów katolickich w propagowaniu go. I ochoczość ogłoszenia werdyktu. Mimo że głosujących było, jak podano, tylko 4 tys.

Jakie są konsekwencje takich inicjatyw, które traktuje się dziś jako dobrą robotę, a nawet jako wymóg postawy obywatelskiej? Kiedy już wróg zostaje zgładzony w duszy człowieka, kiedy można zrobić z nim, co się chce... Ta prosta czynność, ćwiczona tyle razy przy różnego rodzaju głosowaniach, której dokonuje się poprzez kliknięcia, to tak naprawdę rodzaj musztry. Głosowanie takie jest nie przeciw czemuś – gdy wyraża się swoje zdanie na temat jakiegoś zła – ale przeciw komuś. Przeciw konkretnej osobie. Nic nie zmienia ono w postawie moralnej osądzonego, przeciwnie, najpewniej utwierdza go jeszcze w jego działaniach, ale zmienia radykalnie myślenie jego setek czy tysięcy wirtualnych lub korespondencyjnych sędziów.

Sądy cywilne sprawowały zawsze swoją władzę w zaciszu zamkniętej sali, o ile służyły cywilizacji łacińskiej (wyjątkiem były procesy zbrodniarzy wojennych). Oskarżony jest chroniony przed emocjami tłumu. O ile nie jest to proces pokazowy, tak jak w stalinowskim komunizmie. Taki człowiek ma prawo do obrony, ma adwokata. Wyroku z reguły nie wykonuje się publicznie (tę zasadę łamie każda rewolucja, łamali ją także najeźdźcy niemieccy w Polsce). I oto powstało w ciągu ostatnich dwudziestu kilku lat wiele instytucji (głównie medialnych), które żyją z tego, że przynaglają ludzi do wydawania pospiesznych wyroków. Nadzwyczajny wojenny trybunał „wolnej opinii" spieszy się, trzeba wyplenić zło. Tak jak w roku 1789, jak w 1917, jak w1968...

Vox populi, vox Dei... Na pewno?

Na czym polega istota manipulacji? Uczestnik tego typu plebiscytów zostaje skuszony wizją swojej sprawczości; naturalnie „w dobrej sprawie". Jeżeli klikniesz, złożysz podpis, będziesz miał satysfakcję, że naprawiasz zło, poprawiasz świat. I wszystko zacznie iść w dobrą stronę. Jakie to proste! Spójrz, jesteś naprawdę ważny – o ile klikniesz. Jesteś sprawcą dobra, potępiasz zło – sprawiedliwie, bo jesteś sprawiedliwy, nienawidzisz zła. Jeśli tego nie robisz, jesteś gnuśny, aspołeczny. Wredny typ. Czarna owca. Jesteś nikim.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 2e2f033bb9

Deklarowany cel jest zawsze chwalebny. Obrona nienarodzonych – to jest coś! Obrona Kościoła przed pedofilami! – jeszcze lepiej. Lecz metoda zawiera mały błąd... Nie widzi się go, gdy jest się pod wrażeniem tak wielkiej skuteczności wspólnego działania. Razem możemy wszystko! Metoda ta jednak zawsze poprowadzi cię tam, gdzie nigdy nie chciałbyś się znaleźć, gdybyś tylko to miejsce znał. Tam, gdzie z równą łatwością wydawać się będzie wyroki dalekie od jakiejkolwiek sprawiedliwości, gdzie samozwańczy sędziowie będą się po prostu pastwić nad swoimi ofiarami: przeciwnikami politycznymi czy kimkolwiek, kto ich zdenerwował, kto im zalazł za skórę albo został przedstawiony w mediach, w Internecie lub przez dowolną klikę w dowolnym środowisku jako czarny charakter. Każdy może dziś podpaść mediom czy dowolnej klice, to żadna sztuka. Nikt już wtedy nie będzie się fatygował, by zweryfikować prawdziwość oskarżeń, zadziałają zbiorowe emocje. Wspólnota potępiających wiąże silniej niż wspólnota obrońców. Ten, kto potępia, nie wycofa się łatwo – będzie bronił do upadłego wyroku, który wydał wraz z innymi, także wbrew faktom. To istota podstępu.

Ci, którzy lansują podobne głosowania, mówią: „Nie ja, nie ty, ale on. On jest zły. To twój wróg, to zgnilizna"... Mój brat? Nie myślą, że może to być Kain, a może syn marnotrawny. Proponują wyrok tam, gdzie chrześcijanin zaproponowałby modlitwę za nieprzyjaciół. Powstrzymałby rękę kata, by człowiek ten miał czas się nawrócić.

Bóg takiego prawa nie dał nikomu. Powołał specjalnych ludzi do sądzenia sumień: kapłanów, spowiedników. Zażądał od nich całkowitej tajemnicy. Dał każdemu, kto przyjmie werdykt spowiednika i za swoje czyny żałuje, szansę poprawy.

Bóg mówi: „Chcesz naprawić zło? Jeżeli pomodlisz się, ja cię wysłucham... Jeśli dasz dobry przykład swoim postępowaniem, inni będą cię naśladować". Zapomina się łatwo o słowach: „Kochajcie waszych nieprzyjaciół i dobrze im czyńcie. Módlcie się za nich". Zapomniano o innych słowach: „Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią... Ojcze, nie poczytuj im tej winy".

„Bierzemy to na siebie"

Jeżeli brakuje modlitwy o nawrócenie tego, który grzeszy jawnie, jeżeli tylko się ochoczo głosuje – tak jak Żydzi sięgający już po kamienie, by rozprawić się z jawnogrzesznicą, tak jak rewolucyjna zgraja zebrana pod gilotyną w Paryżu, jak rozwścieczeni studenci, którzy się naczytali Lenina, Marksa i Mao, w tym samym mieście w 1968 roku, jak samozwańczy trybunał opinii czy jakikolwiek grupowy sąd, który nie zamierza nawet przesłuchać oskarżonego, bo wyroki wydaje wyłącznie zaocznie – i w dodatku czynność ta jest tak prosta jak kliknięcie – potępienie i złość łatwo przeradzają się w nienawiść. Nienawiść we wściekłość i rozpacz. Stajemy się tłumem jak ten, który nie waha się rzucać się na przeciwników politycznych (na przykład wyborców nielubianego kandydata na prezydenta) z pięściami, kijami i kamieniami. A czasem padają strzały. Tak w praktyce kończy się to, co niewinnie nazywa się polaryzacją społeczeństwa i co rzekomo jest procesem nieuchronnym i co tak sprawnie potrafią podkręcać media. Ale tylko w skrajnie zideologizowanym społeczeństwie.

Czy doczekamy się, że zamiast ogłaszania Herodów Roku – zajmujących pierwsze, drugie i trzecie miejsce na podium hańby – rozgłośnie katolickie, które mają przecież dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy słuchaczy – będą ogłaszały: „Wzywamy do modlitwy! Dusza tego człowieka jest zagrożona...". Potępiać należy, jak najbardziej, ale zło, grzech, błąd. Takie były zawsze – aż do ostatniego soboru – rola i zadania Kościoła. Rolę sędziego wydającego wobec człowieka wyrok, od którego nie ma odwołania, zagwarantował sobie Bóg. Dał też nakaz, uroczyste prawo, by trybunały świeckie zachowywały – w Jego imieniu – porządek moralny w społeczeństwie, by zło nie było nigdy bezkarne, by karząc je, przykładnie zapobiegać szerzeniu się zła. Gdy jednak nie sprawują już one tej funkcji, gdy są stronnicze, przekupne, opinia publiczna – sterowana przez nierzucających się w oczy animatorów – dochodzi do wniosku, że może to wziąć na siebie. Nie stosując żadnych reguł. Staje się w ten sposób sądem doraźnym, wojennym. Nieformalnym trybunałem złożonych z przypadkowych osób. Potrafi unicestwić moralnie człowieka, nie licząc się z okolicznościami. Czasem w ogóle nie licząc się z faktami. Potrafi też wskazać prawdziwie winnych – i skazać ich zaocznie.

Ludzie wykonujący profesję katów, mieszkali zawsze – dokąd Europa była chrześcijańska – poza miastem, z dala od innych. Nie mieli prawa mieszać się ze społecznością. Tego wymagała moralność publiczna. A przecież kaci wykonywali tylko wyrok prawowitego sądu, nie własny. I nie wyrok samozwańczego trybunału. Dziś sędziami i katami w jednej osobie chce się uczynić wszystkich, „wolną" opinię. Bo niewinne kliknięcie może być wstępem do czynności zabijania w sobie obrazu tego człowieka, którego chce się ogłosić winnym. Nawet gdy jego niecne czyny są publicznie znane i bezsporne – jak w przypadku bohaterów tamtego plebiscytu – ta forma skazywania winnych nie ma nic wspólnego z naszą cywilizacją.

eprasa.pl 2e2f033bb9

Teresa z Lisieux ratuje brutalnego mordercę

Gdy jest się społecznością ludzi wierzących, można człowieka uratować, zamiast go zbiorowo skazywać na potępienie. Można się umówić, skrzyknąć z wieloma innymi ludźmi: „Módlmy się za…". Tak jak modliła się św. Teresa z Lisieux za zabójcę dwóch kobiet i jedenastoletniej dziewczynki, Henri Pranziniego, którego zdjęcie zobaczyła w gazecie, gdy czekał na wyrok sądu. Nie przyznawał się do winy, nie wykazywał żadnej skruchy. Patrząc hardo w oczy sędziom, żądał uniewinnienia albo kary śmierci. Jego historia to seria zuchwałych kradzieży, prostytucja i morderstwo. Był recydywistą i zwyrodnialcem.

Teresa Martin miała wtedy 14 lat. Rozumiała, czym była ta potworna zbrodnia. Namówiła wiele osób do modlitwy o nawrócenie sprawcy, potajemnie zamówiła mszę w tej intencji. 31 sierpnia 1887 roku skazany na karę śmierci Pranzini, wstępując na szafot, nagle zatrzymał się i zawołał księdza, który zawsze towarzyszył skazańcom, poprosił o krucyfiks i ucałował trzykrotnie krzyż. „Może ten akt zaspokoił sprawiedliwość boską", pisano w paryskim katolickim „La Croix", „która domaga się przede wszystkim skruchy".

W czasie objawień w Fatimie trójka portugalskich wiejskich dzieci usłyszała wezwanie Matki Boskiej, by modlić się – bo świat jest zagrożony, ogromna katastrofa, wielka wojna wisi na włosku. Ale za kogo? Za tych, od których zależą losy świata? Za polityków, strategów, dowódców armii? Nie, prośba Maryi dotyczyła „biednych grzeszników". Tych, za których nikt się nie modli i idą prosto do piekła. Modlitwa za nich może uratować świat. Taka była treść orędzia z Nieba.

Fałszywa koncepcja raju na Ziemi, czyli „zwalczanie" zła złem

„U podstaw koncepcji raju na Ziemi leży fałszywa koncepcja człowieka, którego – jak sądzą jego twórcy – można tak wychować, że stanie się ideałem" (ks. Marek Starowieyski). Celem tego raju nie jest Bóg, ale szczęście doczesne połączone z wyplenieniem zła, jakie obiecuje każda rewolucja. „Wiemy, że to utopia. Trzeba człowieka wychowywać, trzeba go zmieniać, ale ten – najlepiej przygotowany i wychowany człowiek – ideałem nie jest i nigdy nie będzie". Potwierdzają to nawet życiorysy świętych, wśród których ludzi idealnych nie było. Żyć wśród ludzi, którzy nie są ideałami, i zachować przykazania – to zadanie dla chrześcijan. Niełatwe. Nie uczynimy go łatwiejszym, pokazując palcem złoczyńców i każąc innym na nich pluć.

W każdej rewolucji wykorzystywano z powodzeniem gawiedź i jej „niezadowolenie". To ją przede wszystkim pytano o zdanie i ją wciągano do decydowania zarówno o treści ustaw, jak i o losach poszczególnych „wrogów". Zachęcano i kuszono, by osobiście za włosy przywlekała zdrajców złapanych na gorącym uczynku (czy może tych, o których ktoś powiedział, że to zdrajcy). By była radykalna tak, jak radykalny nie był jeszcze nikt! Sceny ścinania głów arystokratów i rodziny królewskiej podczas rewolucji francuskiej przywoływane na inauguracji ostatnich igrzysk w Paryżu – traktowane jako rozrywka dla masowej widowni – mówią same za siebie. Rechot autorów tych „artystycznych" obrazów brzmi makabrycznym echem. Rewolucyjna mentalność i postulaty rewolucji mają się dziś wyjątkowo dobrze.

Totalitarna ideologia pokryta jest lekko tylko pianą nowej frazeologii, ale przesłanie jest jasne; nowa rewolucja potrzebuje ślepego tłumu. Ma go stanowić wymieszane wielonarodowe pospólstwo – bez przeszłości i przyszłości, zawsze niezadowolone, żądne haraczu za swoją beznadzieję. Zagnane do międzynarodowej zgrai zwanej „europejską partią polityczną". Ci, którymi najłatwiej sterować.

Przygotowaniu owego tłumu do jego roli znakomicie służyły inicjatywy typu plebiscyt na Heroda Roku, niezależnie od tego, pod jak szczytnymi hasłami wybory te miałyby być przeprowadzone. Katolicy jednak nie mogą być tłumem. Cywilizacji nie uratuje się samosądami i wznoszeniem haseł. Zła nie zwycięży się złem. Metoda zawsze zdradza autora. Cel nigdy nie uświęca środków.

„Nie wypędzimy diabła Belzebubem", pisał jeden z moich czytelników po przeczytaniu fragmentu tego tekstu na moim blogu. „Zwalczanie zła złem »działa« tylko w homeopatii, która jest odprawianiem uroków, czyli pogaństwem. Widziałem dzisiaj na Twitterze maseczkę na czyjejś twarzy według schematu Marty L. – tyle że á rebours; ktoś grozi gejom słowami tej okropnej – ale jakże biednej w ślepocie grzechu – kobiety... Nie broniąc pomysłów typu Wybory Heroda Roku, rozumiem podskórną chęć odcięcia się od zła. O ile można by to jednak wybaczyć słabo uformowanym katolikom, to nie uchodzi już dziennikarzom prasy katolickiej. Zamieszanie bierze się z posoborowej wykładni, która odeszła od Ecclesia Militans do Kościoła pielgrzymującego. Człowiek błądzący stał się według niej człowiekiem pełnym najlepszej woli i »poszukującym Prawdy«. To jawne zafałszowanie. Jak więc bezbożni mają porzucić swoje złe drogi? Je-

eprasa.pl 2e2f033bb9

śli rozwiniemy ten wątek o definicje z Dignitatis humanae, to szybko okaże się że poszukiwanie prawdy może skierować na jej manowce, gdyż prawda nie jest już obowiązkiem, nie trzeba już jej bezalternatywnie wyznawać, przestała być normą. Liczą się enigmatyczne, niezdefiniowane »wartości«, pod tym hasłem każdy może umieścić to co chce. Myślę że tutaj leży głębsza przyczyna faktu, że nie tylko źle wybieramy cel, ale i w konsekwencji źle dobieramy narzędzia, które służą jego osiągnięciu. Hierarchowie tacy jak kard. Suenes, o. Congar, którzy radośnie wieszczyli rewolucję po ostatnim Soborze, doczekali się w końcu prawdziwej walki klas, z jasnym wskazaniem wroga. Oświeceniowy »człowiek dobry z natury« gotowy jest do każdej zbrodni. Skoro Prawda ma alternatywę, to nie dziwmy się, że walka ze złem kończy się walką z drugim człowiekiem, a sprawiedliwość zaciemniona błędem przeradza się w żądzę odwetu. »Ecce civitas Sancti facta est deserta, Sion deserata facta est, Jerusalem desolata est (Iz 64, 10). Oto miasto Świętego opuszczone, Syjon stał się pustkowiem, Jerozolima wyludniona«, jak głoszą słowa antyfony...".

„Bronię jeszcze bardziej oszałamiającej doktryny"

Warto przypomnieć w tym miejscu to, co Gilbert K. Chesterton mówił o swoim nawróceniu w wieku dojrzałym w tekście „Pan Bóg ze złotym kluczem" (który mógłby być zatytułowany „O potrzebie wdzięczności"). Jest on o tym, ile tracimy, zapominając o zwykłej wdzięczności Bogu za to, co od Niego otrzymujemy. I że jedynie uznanie tego faktu może przełamać naszą samotność i zwątpienie – oraz wszystkie nasze pretensje do bliźnich. Można go zadedykować tym, którzy mają dziś przed oczami katastroficzne wizje przyszłości Polski i świata.

„Jest pewien rodzaj bajek opowiadanych przy kominku, bajek, które bardziej pasują do babcinego fotela niż do ołtarza. W tych bajkach to, co nazywamy Naturą, może pełnić rolę czarodziejskiej opiekunki. Ale czarodziejskie opiekunki mogą istnieć tylko dlatego, że istnieją opiekunki prawdziwe, a te z kolei istnieją tylko dzięki temu, że istnieje Opieka Opatrzności". Chesterton opowiada tu o swoim pierwszym spotkaniu z pewnym księdzem katolickim – gdy sam był agnostykiem przesiąkniętym anglikańskim, mocno krytycznym spojrzeniem na Kościół – i choć ten niepozorny ksiądz zaintrygował go, to „gdyby powiedzieli mi, że za dziesięć lat będę misjonarzem mormońskim na Wyspach Ludożerców, mniej by mnie to zdziwiło niż przypuszczenie, że w okrągłe piętnaście lat później wysłucha mojej generalnej spowiedzi i przyjmie mnie na łono Kościoła, któremu służy. [...] Byłem zdumiony moim własnym zdumieniem. Łatwo mogłem uwierzyć, że Kościół katolicki więcej ma do powiedzenia o tym, co dobre, niż ja. Ale że więcej wie o tym, co złe – to wydawało mi się niemożliwe... Kiedy ludzie pytają mnie, czy zresztą kogokolwiek innego: – Czemu został Pan członkiem Kościoła Rzymskokatolickiego? – pierwszą zasadniczą, chociaż niepełną odpowiedzią jest: – Po to, żeby się pozbyć moich grzechów. Nie istnieje bowiem żaden inny system religijny, który by naprawdę utrzymywał, że wyzbywa się ludzkich grzechów. [...] Kiedy więc katolik wraca od spowiedzi, naprawdę, ex definitione wkracza z powrotem w świt swego istnienia i spogląda nowymi oczyma poprzez cały świat ku Pałacowi Kryształowemu, który jest naprawdę z kryształu. Wierzy, że w tym mrocznym zakątku i w toku tego krótkiego rytuału Bóg naprawdę stworzył go na nowo na swój własny obraz. Jest teraz nowym eksperymentem Stwórcy. Jest tak samo nowym eksperymentem jak wówczas, kiedy miał tylko pięć lat... Narastanie czasu nie może go już przerażać. Może być siwy i cierpieć na podagrę, ale żyje zaledwie od pięciu minut.

Nie bronię tutaj takich doktryn jak sakrament pokuty, nie bronię jeszcze bardziej oszałamiającej doktryny: Boskiej miłości do człowieka. [...] Chodzi o to, żeby wszystko przyjmować z wdzięcznością, nie zaś jako oczywistą należność. Tak więc sakrament pokuty pozwala zacząć życie od nowa i godzi człowieka z wszystkim, co żyje, ale nie robi tego tak, jak to czynią optymiści i hedoniści i pogańscy kapłani szczęścia. Dar ten otrzymuje się za pewną cenę – jest on uwarunkowany spowiedzią. Innymi słowy ta cena zwie się Prawdą, można ją również zwać Rzeczywistością; ale jest to spojrzenie w twarz rzeczywistości o samym sobie. Kiedy tę metodę stosuje się tylko do innych ludzi, zwana jest Realizmem. [...] Doprawdy bowiem, po raz pierwszy w życiu zetknąłem się z łącznym ujęciem dwóch stron tej jednej prawdy, kiedy w małym katechizmie przeczytałem przypadkiem te słowa: »Pycha i rozpacz są dwoma grzechami przeciw nadziei«. [...] Można się cieszyć nawet chwastem tylko wtedy, jeśli człowiek czuje, że sam nie jest wart nawet chwastu. [...] [Rzekomo] z jakiegoś niezwykłego powodu mamy prawo żądać najwspanialszych okazów mleczy w rajskim ogrodzie; [myśleć] że nikomu nic nie zawdzięczamy i nie potrzebujemy się nimi zdumiewać, a nade wszystko zdumiewać się tym, że uznano nas za godnych ich otrzymania. Zamiast powiedzieć, jak starożytny poeta religijny: »Czym jest

eprasa.pl 2e2f033bb9

człowiek, że o nim pamiętasz – i czymże syn człowieczy, że się nim zajmujesz« – mamy mówić jak niezadowolony dorożkarz: – »Też mi coś!« – czy jak choleryczny major w klubie: »I to ma być kotlet godny dżentelmena?!«. […] A imię tego jest Pycha, zaś imię bliźniaczego brata – Rozpacz. […] Nauczono całe pokolenie pleść podniesionym głosem bzdury o »prawie do życia« i »prawie do doświadczenia« i »prawie do szczęścia«. Owi klarowni myśliciele, domagając się tych wszystkich niezwykłych praw, kończą na ogół swe wywody stwierdzeniem, że nie istnieje nic takiego jak prawo i bezprawie, a więc dobro i zło. W takim przypadku trudno jest dociec, skąd się te ich prawa biorą; ja jednak coraz silniej skłaniam się ku starej filozofii, która powiada, że ich rzeczywiste prawa pochodzą z tego samego źródła, z którego bierze się kwiat mlecza; i że nigdy nie będą cenili ani praw, ani kwiatów, póki nie uznają ich źródła […]".

Apogeum „szczęścia"

Pewne „fantastyczne urojenie, tkwiące u podstaw wszystkich napuszonych deklaracji o postępie i przyszłości ludzkości", przypomina Christian Lagrave. Zakłada, że „dzieje ludzkości tworzą pewien ciąg epok. W tym ciągu materia, a wraz z nią człowiek, pod wpływem pewnych pozaziemskich impulsów ewoluują aż do osiągnięcia poziomu »boskości«". W tej koncepcji człowiek (ludzkość), jak przepowiadał Teilhard de Chardin, dąży do etapu, na którym świadomość osiągnie swoje apogeum, punkt „Omega". Wtedy będzie już gotowy, by mógł sam usadowić się na ołtarzu; nie będzie już powodu, by oddawać cześć Bogu. Będzie się ją oddawać wyłącznie człowiekowi.

Wśród tych kolejno następujących po sobie epok wymienia się kolejno braminizm, religię starożytnych Egipcjan i chrześcijaństwo – przechodzące zwolna w fazę powszechnej rewolucji. Ostatnią z epok ma być epoka największej wspaniałości: totalna republika. Demokracja jest tylko szczeblem pewnej drabiny „po której rodzaj ludzki wspina się ku swemu przeznaczeniu". Prawdziwe dobrodziejstwo nadejdzie wraz z ogólnoświatową republiką, kiedy połączą się wszystkie religie, zlikwidowane zostaną wszystkie ojczyzny, nastąpi zniesienie własności prywatnej i rozpad rodziny, nie będzie kobiet ani mężczyzn tylko istoty transpłciowe.

Wydaje się, że ku takiej wizji „totalnej szczęśliwości" zmierza to wszystko, co dzieje się dziś w naszym kraju – i szerzej, w świecie – za przyzwoleniem instytucji międzynarodowych, których deklarowanym celem miało być zabezpieczenie światowego politycznego i gospodarczego ładu.

Teoretycznie wiemy wszystko

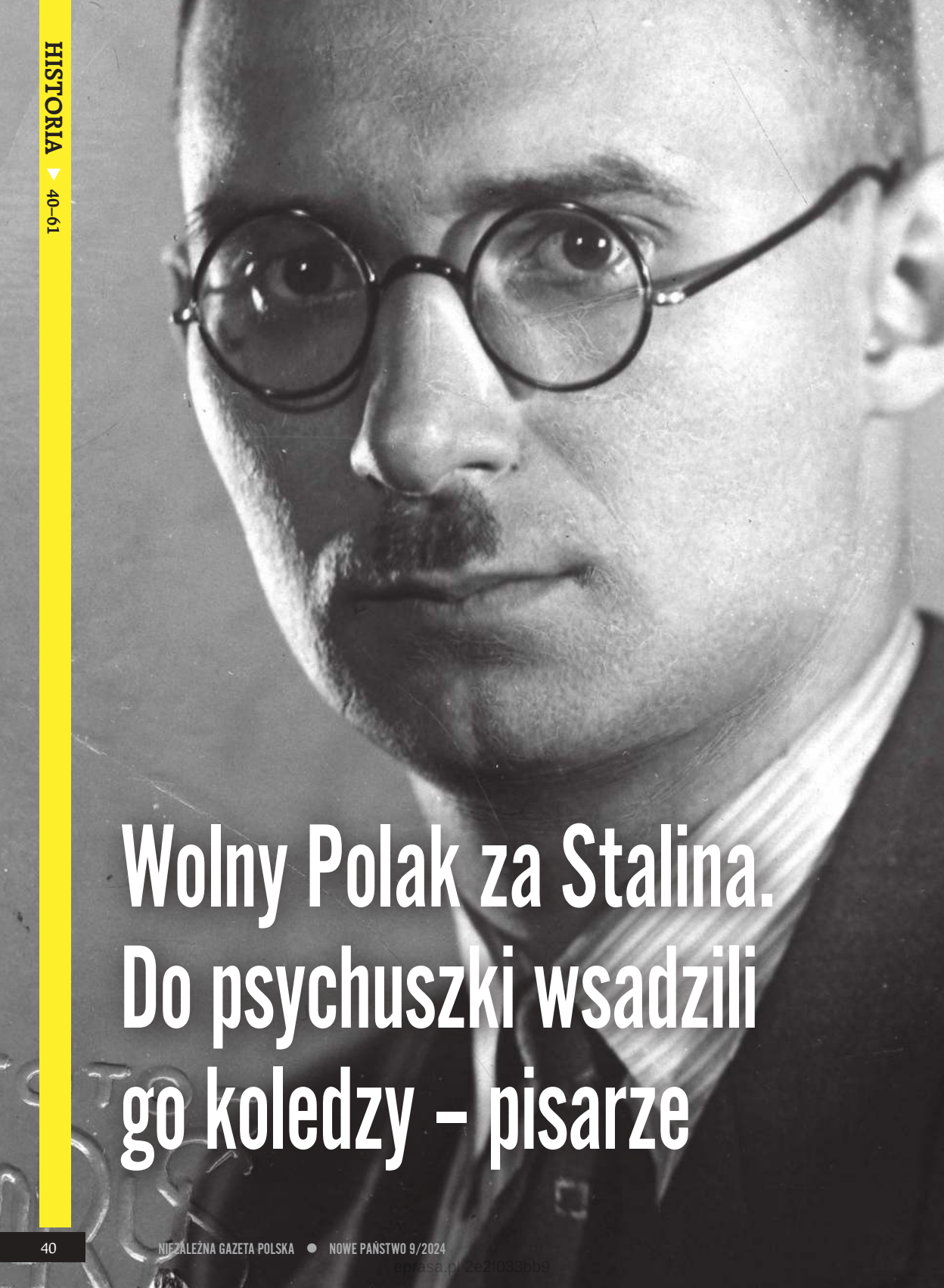
Coraz częściej dziś „poznanie Boga zamiast być światłem dla intelektu mylone jest z pewną emocjonalną pobożnością" (Herve de La Tour). Wśród ludzi ogarniętych skrajnym nieraz niepokojem i przeczuciem nadciągającego kataklizmu z powodu brutalnych wydarzeń na światowej scenie politycznej, w którym runąć może cały dorobek cywilizacji, jest całkiem sporo katolików. Teoretycznie wiedzą, że świat spoczywa w ręku Boga i nie ma przypadków, nawet najmniejsza pszczoła nie zabrzęczy bez Jego przyzwolenia, cała materia ożywiona i nieożywiona jest Jego dziełem i istnieje tak długo, jak On zechce. Istnieje bowiem Boży plan dla każdego człowieka i całej ludzkości.

Ludzie współcześni, także katolicy, wiedzą to wszystko – i zarazem nie wiedzą. „Teoretycznie wiedzą wszystko. W praktyce jednak z pychą ignorują rzeczywistość", jak zauważył jeden z biskupów. „Teoretycznie wierzą, ale czy rzeczywiście wierzą, że nasz Pan jest Bogiem? Czy naprawdę wierzą, że pokój, ludzie, narody są w Jego ręku? Czy naprawdę wierzą we wszystkie bezpośrednie konsekwencje Jego Bóstwa?". Czy wierzą w Jego władzę – także doczesną – i w to, że społeczne panowanie Chrystusa powinno być uznane przez każdą władzę polityczną (mówi o tym encyklika Quas primas Piusa XI)? Bezpośrednim skutkiem uznania Boga jest poddanie się Jego wszechwładzy. Co znaczy – uznanie, że Bóg ma wszelkie prawa wobec człowieka, że człowiek jest we wszystkim zależny od Boga – „w istnieniu, życiu, działaniu, myśleniu, pragnieniu". Wszystko, co dobrego nas spotyka, ma swoje źródło w Bogu. Tę właśnie prawdę kwestionuje się dziś na wszelkich polach.

Ale coraz częściej także tę, że nie da się kochać Boga, pogardzając drugim człowiekiem. Bądźmy sprawiedliwi – oddajmy Bogu to, co należy do Boga: wiarę w Niego i miłość do Niego, która oznacza zawsze także miłość tego, kogo nazywamy bliźnim. Miłość ta nie jest uczuciem, lecz postawą. Ale bez niej nie możemy być uczciwi wobec Boga, nasza modlitwa jest czczą gadaniną, nasza wiara martwym liściem. Gdy jesteśmy chrześcijanami, nie faryzeuszami, wraz z wiarą musi pojawić się w naszych sercach miłość. Trudny i kosztowny dar. ■

Cytat z G.K. Chestertona z tomu „Authobiography", London 1936 [za: „Chesterton 1874–1974", Kraków 1974, tłum. Anna Przedpełska-Trzeciakowska].

eprasa.pl 2e2f033bb9



Wolny Polak za Stalina. Do psychuszki wsadzili go koledzy – pisarze

eprasa.pl 2e2f033bb9

Piotr Lisiewicz



Podczas Zjazdu Związku Literatów Polskich w 1950 roku poeta Wojciech Bąk wszedł na trybunę główną i w proteście przeciwko cenzurze otruł się tabletkami luminalu. Samobójstwo udaremnili ubecy, którzy błyskawicznie odwieźli go do szpitala. Po odratowaniu trafił na aleję Szucha, gdzie mieściła się siedziba Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Podczas przesłuchania powiedział ubekom, że historia się powtarza, bo w tym samym budynku przesłuchiwany był przez gestapo. Został umieszczony w szpitalu psychiatrycznym w Kościanie, gdzie poddano go „leczeniu" za pomocą elektrowstrząsów.

FOT. NAC

Wojciech Bąk postanowił żyć i tworzyć w komunizmie, tak jakby komunizmu nie było. Zachowywał się jak człowiek wolny w czasie, gdy inni pisarze słysząc to, co mówi, kulili się ze strachu. Zresztą to koledzy po piórze przyczynili się do dwukrotnego umieszczenia go w szpitalach psychiatrycznych i pobytu w więzieniu. Sam Bąk o polskich więzieniach pisał w wierszu:

Więzienia są tak pełne łez i majestatu,
Że żaden pałac świata nie śmie się przybliżyć –
I każda cela pełna świętych aromatów,
Bo jej woń siostrzana tej, co pachnie z krzyża!

Upiorny bal maskowy

Jak pisze Tomasz Sikorski, autor książki „Bal maskowy. Wojciech Bąk 1907–1961. Biografia pisarza", za młodu stawiano go „w jednym szeregu z Czesławem Miłoszem, Konstantym Ildefonsem Gałczyńskim, Jerzym Andrzejewskim". Ale po wojnie wszystko się zmieniło. W stalinowskich „Szpilkach" młody Tadeusz Różewicz kpił z Wojciecha Bąka, paszkwil ubierając w formę parodii litanii:

Bąku objawiony
Bąku poroniony
Bąku bąkający
Bąku bełkocący…
O Panie!
daj mu opamiętanie
niech już przestanie

Pisarz Egon Naganowski, szef poznańskiego Związku Literatów Polskich, wnioskował o jego wykluczenie ze związku z następującym uzasadnieniem: „Zakłócając pracę nieodpowiedzialnym wystąpieniem, porównał do siebie hitleryzm i komunizm. Fakt ten, zresztą jeden z wielu, wskazuje jasno na nielojalny, wrogi stosunek kol. Bąka do Polski Ludowej".

Wojciech Bąk faktycznie uważał, że sługusi totalitaryzmów nie mogą tworzyć prawdziwej poezji. Pisał o tym w „Tygodniku Warszawskim": „Nie można stworzyć poezji antyhumanistycznej… Poezja jest tak ludzką rzeczą, że kto nie kocha człowieka, to nie może jej stworzyć… Próbowali to robić przeciwludzcy panowie Marinetti i inni. Z powodu wiernej służby zasiadali w faszystowskiej akademii literatury włoskiej… Nic z tego jednak na dłuższą metę nie wyszło. Wyjść nie mogło. Poetycko, oczywiście".

Sergiusz Sterna-Wachowiak najtrafniej podsumował niesamowitą historię „sprawy Wojciecha Bąka": „Jest w istocie jak bal maskowy, którego figurami są:

eprasa.pl 262f033bb9

cenzorski zapis, więzienie, porwanie, izolacja w »psychuszce«, prokuratorskie próby ubezwłasnowolnienia i śmierć w niewyjaśnionych okolicznościach, jako represje na człowieku, który w czasach zniewolonych chciał być i był duchowo wolny". I przewidywał: „Być może, że zakrzepłe jak rzeźba figury tego upiornego maskowego balu ożyją jeszcze pod piórem kogoś na miarę Dostojewskiego. Ujrzymy wówczas, bo bal maskowy polega na przebraniach, maskach i zwodniczych gestach, jak stalinowski aparatczyk jawi się jako lekarz, ubowiec staje się pielęgniarzem, agent – literatem, przyjaciel okazuje się zdrajcą, kolega judaszem, a sam poeta wystąpić ma albo w kaftanie bezpieczeństwa, albo w papierowej czapce antysemity nałożonej mu przez pierwszych antysemitów tamtych czasów" („Gazeta Poznańska", 11 czerwca 1999).

Ślusarz artystyczny

Wojciech Bąk urodził się 23 kwietnia 1907 roku w Ostrowie Wielkopolskim. Jak pisze Tomasz Sikorski „Dzień był pogodny, choć niebo pokrywały chmury, przez które przebijały się nieśmiało promyki słońca. Nieprzypadkowo dziecku nadano imię Wojciech. Właśnie w tym dniu imieniny obchodził św. Wojciech – patron Polski, święty i męczennik".

„Ojciec był sprawiedliwością, a matka łaską" – wspominał Wojciech Bąk w książce „Miasto mego dzieciństwa". Jego mama Marianna: „W czarnej sukni do kostek, w fartuchu roboczym królowała wśród pary z garnków w kuchni lub z balii do prania, pachnącej szorstkim zapachem mydła i chlupoczącej bielizny". Ojciec Franciszek prowadził z Ostrowie warsztat ślusarski, a sam siebie nazywał „ślusarzem artystycznym". Syn wspominał: „Umiał mówić i nie dawał się zakasować przez arystokrację miejską… Życie bez walki, choćby opłacanej wieloma trudnościami i zawodami, nie było dla niego życiem… Inteligentny, oczytany, był człowiekiem o otwartej głowie, z którym można było i warto było pomówić o ważnych sprawach narodowych społecznych".

Religijność odgrywała ważną rolę w życiu rodziny. Jak opisuje Tomasz Sikorski, niedziela wyglądała u Bąków tak: „Kościół, msza w mało zrozumiałej, ale tajemniczo ujmującej łacinie, następnie wypad na strzelnicę bractwa kurkowego, którego członkiem był ojciec, albo piesza »wyprawa« do lasu i na kąpielisko Lipskich w Szczygliczce".

Wojciech uczył się w katolickiej szkole powszechnej, a następnie w Królewskim Katolickim Gimnazjum Ostrowie. Tam jego pierwszym mistrzem był prof. Tadeusz Eustachiewicz, polonista. „Był bardzo wrażliwy na wszelkie błędy językowe, a zwłaszcza germanizmy… Rozwijał przed nami wartości kultury klasycznej i czar świata antycznego" – wspominał. W efekcie uczeń Bąk, jak pisze Sikorski, „czytał dzieła klasyczne w oryginale, tłumaczył mniej lub bardziej udolnie na język polski fragmenty Tacyta i Owidiusza, został również aktorem w szkolnym kole teatralnym".

W 1925 roku zdał maturę i rozpoczął studia na filologii polskiej na Uniwersytecie Poznańskim. Zajęcia z socjologii prowadził prof. Florian Znaniecki, światowej sławy uczony, a z pedagogiki prof. Ludwik Jaxa-Bykowski, związany z Narodową Demokracją, który po wojnie zostanie zamordowany przez UB. Na ostatnim roku studiów zadebiutował jako poeta na łamach poznańskiej „Tęczy", w ramach cyklu „Młody Poznań literacki". W 1929 roku uzyskał dyplom z filologii polskiej i filozofii ścisłej (z elementami nauki obywatelskiej).

Młode pokolenie robi rozruchy w Poznaniu

W 1928 roku był jednym z założycieli poznańskiego dwutygodnika „Życie Literackie", wspólnie z Konstantym Troczyńskim, Aleksandrem Janta-Połczyńskim i Janem Ulatowskim. Pismo „reprezentujące młode pokolenie »przełomu« imponowało żywotnością, bezkompromisowością, otwartością i krytyką tandety, prowincjonalizmu i bezideowości, co nieraz boleśnie odczuwali literaci nieco starszego pokolenia" – pisze Tomasz Sikorski. „Czy spokojne, zaśniedziałe społeczeństwo kupieckie należy rewolucjonizować umysłowo, to pytanie" – pisał o Poznaniu Ulatowski w tekście „Próba charakteru" w „Życiu Literackim". Aleksander Janta-Połczyński w książce „Duch niespokojny" wspominał: „Na pierwszych latach studiów uniwersyteckich próbowaliśmy w nazbyt na nasze gusta i głowy konserwatywnym Poznaniu zrobić trochę ruchu czy rozruchu. Nie tylko intelektualnego".

W Poznaniu, wzorem Warszawy i Krakowa, powstały znakomite kabarety „Różowa Kukułka", „Ździebko" czy „Pod Kaktusem". Bąk prezentował w nich swoje wiersze. Jak pisał „Dziennik Poznański": „Zarówno w formie, jak i treści wierszy Bąk jest do nikogo niepodobny, posiada własny świat myślowy, dla którego znajduje swoisty wyraz. Patriotyczne uczucie, jakie opanowało »Tylko dlatego«, odbiega od sfery obejmowanej zazwyczaj tym pojęciem".

Nienawidzi pewnych systemów…

Sensacją stał się fakt, że prowincjonalny poeta dostał od „Wiadomości Literackich" nagrodę za najlepszą książkę roku 1934, którą jury obwołało tomik „Brzemię niebieskie". Za głosowali: Kazimierz

eprasa.pl 2e2f033bb9

Wierzyński, Julian Tuwim, Maria Dąbrowska, Kazimiera Iłłakowiczówna czy Maria Pawlikowska-Jasnorzewska. Otrzymał ją jako autor o „wybitnej indywidualności i o własnym świecie poetyckim". „Nie jestem jednak próżny, żebym wierzył, że nagroda, którą otrzymałem, została mi przyznana za dokonania; wiem, że raczej jest to nagroda za nadzieję".

Stanisław Piasecki w narodowym „Po prostu" pisał z kolei entuzjastycznie: „W jego twórczości można odnaleźć to wszystko, czym młoda, idąca Polska żyje. Zagadnienia stosunku do Boga, stosunku do narodu… stosunku do własnego »ja«". Tomik szybko zniknął z księgarskich półek. Kolejne, które ukazały się przed wojną, to „Śpiewna samotność" z 1936 roku i „Monologi anielskie".

W połowie lat 30. przeniósł się do Warszawy, został stałym współpracownikiem „Prosto z Mostu". Stefan Jończyk pisał o jego temperamencie: „Polemika u niego nie przypomina rycerskiej szermierki, lecz raczej walkę na śmierć i życie… potrafił wręcz nienawidzić pewnych systemów, sformułowań czy postaw myślowych".

Pod koniec lat 30. Bąk wrócił do Poznania. Odbył kilkumiesięczną podróż życia po Italii, śladami felietonów Jerzego Waldorffa, które ten publikował w „Prosto z Mostu". Do Poznania wrócił pod koniec sierpnia 1939 roku…

Przewaga germańska

W czasie wojny zaangażował się w konspiracyjne życie literackie. W stolicy przeżywał Powstanie Warszawskie. Napisze: „Walkę w Warszawie można porównać do Termopil… I w Termopilach chodziło o styl życia… Jak tutaj przewaga germańska, tak tam przemoc perska groziła zniszczeniem wszelkich wartości, które czynią życie godnym życia… Warszawa walczyła w imię wysokiego stylu… i widziałem łzy – nie rozpacz, ale radości. I widziałem krew wylewaną z uśmiechem, a często nawet ze śmiechem. I widziałem śmierć o wiele piękniejszą niż wiele poronionych żywotów".

Po powstaniu został wywieziony na roboty przymusowe do Niemiec. Nadal pisał, nawet podczas pobytu na wspomnianych robotach przymusowych w Chociebużu. W czasie alianckiego nalotu został ranny w głowę. Wojenną traumę opisze w jednym z wierszy:

Nazbyt wiele widziałem. Zbyt wiele pamiętam
I groza w moich oczach za uśmiechem świeci –
I wielbię drzewa mądre i zwinne zwierzęta,
I te, co będą inne niż my – czyste dzieci!

Gwałtownie broni własnych zasad

W Poznaniu o tym, co stało się z Wojciechem Bąkiem w czasie wojny, krążyły sprzeczne plotki. Mówiono, że był śmiertelnie ranny albo ze wybrał emigrację. Gdy w 1945 roku niespodziewanie wrócił i pojawił się na ratuszowym czwartkowym spotkaniu literackim, powitał go głośny entuzjazm. Jak pisze Sikorski, Bąk liczył, że „powróci do pióra, do nieskrępowanej twórczości, do życia, jakie kochał, pełnego sporów i polemik". Zaczął znowu wydawać „Życie Literackie", wybrany został prezesem oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich. W 1946 roku został kierownikiem literackim w Teatrze Nowym im. Heleny Modrzejewskiej. Organizował literackie czwartki, w czasie których zapraszanym gościom włosy jeżyły się na głowie: „Czy on się nie boi, czy on nie wie, że możemy być podsłuchiwani…".

Tomasz Sikorski w „Balu maskowym" tak pisze o jego powojennej postawie: „Otwartością, niezależnością, gigantyczną wręcz pryncypialnością i niczym nie skrępowaną obroną własnych zasad i wartości, temperamentem gwałtownika i buntowania przeciwko wszystkiemu, co oficjalne i narzucające jedną prawomyślną linię, narażał się na krytykę władz, publicystów marksistowskich, ale również Kościoła".

Ale komunistyczna władza widzi więcej strat niż zysków z zamknięcia go do więzienia: „Otwartość i odwaga, jaką prezentował w momencie, kiedy więzienia zapełniały się tymi wszystkimi, którzy stali w poprzek systemu, była czasem przerażająca. Co ciekawe, do więzienia póki co nie trafia, ale znajduje się już wówczas (na przełomie 1945/1946 r.) w bezpośrednim zainteresowaniu bezpieki, która go spokojnie, cierpliwie obserwowała".

Choćby nikt nie słuchał…

Stał się kimś popularnym wśród młodych twórców, o których dusze walczyli w czasach socrealizmu komuniści. Bąkowi nie przeszkadzało, że ryzykuje, że ktoś może na niego donieść, może zostać aresztowany przez bezpiekę… „Młodych ludzi fascynował, nie tylko dlatego, że »walił w reżim«, ale również, a może przede wszystkim dlatego, że był wielkim erudytą, biegle poruszającym się po świecie Antyku" – pisze Sikorski.

O swojej sytuacji pisał w wierszu „Dalekim" z tomiku „Dłonie z wiatru" z 1948 roku:

Coraz mniej ludzie słowa moje rozumieją –
Coraz mniej słowa ludzkie ja także rozumiem –
Lecz choćby nikt nie słuchał – z wysoką nadzieją
Wołam tym, którzy przyjdą! Inaczej nie umiem.

eprasa.pl 2e2f033bb9

Zły ze mnie pływak

Rozpoczęły się represje mające zniszczyć jego dzieło. Pismo straciło miejską subwencję, zabrakło pieniędzy na honoraria dla autorów. Wacław Kubacki pisał: „Pisma nie chciano nam zamknąć i nie pozwolono rozprowadzać. Cały nakład szedł prosto z drukarni do magazynów »Prasy«. Nie było sprzedaży ani wpływów. Rosło zadłużenie. W ten sposób chciano doprowadzić dwutygodnik do zgonu naturalnego".

Mniej odważni koledzy zaczęli naciskać na Bąka, z obawy o własną przyszłość. W 1947 roku zaszczuty podał się do dymisji – przestał być prezesem poznańskiego ZLP, utracił teraz możliwości publikowania. Jak pisze Sikorski, w tym czasie Bąk żył jak kloszard: „Nie rozumiał kompletnie, w jakiej epoce żyje, dlaczego twórców – literatów i uczonych, słowem inteligencję – pozbawia się możliwości swobody wypowiedzi… Mówił językiem klarownym, czystym, bez niedomówień, ostro i antykomunistycznie". Pisał, dopóki mu pozwalano, w „Tygodniku Warszawskim", w „Tygodniku Powszechnym", w gazetach stowarzyszenia PAX. Nadzieję upatrywał w Panu Bogu:

Bóg mnie rzucił na ziemię jak w burzliwe morze.
Zły ze mnie pływak - mdleje mi bezsiłą ramię.
Wiem, nikt tratwy nie wyśle, w walce nie pomoże,
Jakbym był odrzucony na wieki w niepamięć.

Tułał się po ulicach Poznania

W 1949 roku odbył się przełomowy zjazd ZZLP w Szczecinie, gdzie Leon Kruczkowski ogłosił: „Zawód pisarza musi być ideologiczny, polityczny w pełnym tego słowa znaczeniu", a „wróg czai się w naszych mózgach". Ważną formą aktywności pisarzy stały się socrealistyczne odczyty w terenie. Bąk nie brał w tym udziału i nadal mówił swoje, więc wśród pisarzy „Krążyły plotki, że chyba zwariował, że jest albo tak odważny, albo aż tak naiwny". Odsuwali się od niego koledzy, bojąc się konsekwencji kontaktów z nim.

Bo pisał rzeczy najbardziej podstawowe: „Nie można stworzyć warsztatowego utworu literackiego, malarskiego, rzeźbiarskiego, muzycznego, będąc zerem moralnym i intelektualnym, nie mówiąc już o ubóstwie uczuciowym i fizjologicznym. Te sprawy są najściślej z sobą związane. Żadna technika też najwięcej wyrafinowana, a nawet najmędrsza, nie umożliwi stworzenia arcydzieła, jeśli autor sam nie jest ludzkim arcydziełem, a jest potworem moralnym, głupcem lub człowiekiem o marnym podłożu uczuciowym. Nie chodzi tu o moralność w zewnętrznym tego słowa sensie, o mądrość książkową, o uczuciowość wydętą i nadętą".

Jak pisze Tomasz Sikorski, Bąk „Tułał się po ulicach Poznania, parkach, barach mlecznych, zaczepiając przypadkowo napotkane osoby i przywdziewając »kostium« kaznodziei i trybuna ludowego bez zahamowania, bez instynktu samozachowawczego mówił o szarej rzeczywistości, nieprawidłowościach, powszechnie panującym strachu, rozdętej propagandzie. Szara socjalistyczna rzeczywistość zaczęła go przerażać, ale i po ludzku irytować". Bo „w momencie odejścia od polityki »amnestii serca i rozumu« (łagodnej rewolucji), po słynnym szczecińskim zjeździe literatów, Wojciech Bąk zniknął z przestrzeni publicznej". Coraz częściej mówił o samobójstwie.

Jak za gestapo

Podczas Zjazdu Związku Literatów Polskich w 1950 roku Bąk wyszedł na trybunę główną i w proteście przeciwko cenzurze otruł się tabletkami luminalu. Samobójstwo udaremnili ubecy, którzy błyskawicznie odwieźli go do szpitala. Skąd wiedzieli, że Bąk może chcieć popełnić demonstracyjnie samobójstwo? Poeta zwierzył się w tej sprawie księdzu, dominikaninowi z Poznania. A ten chcąc mu uratować życie, pojechał do Warszawy i poinformował o wszystkim prezesa ZLP Jerzego Putramenta.

Po odratowaniu trafił na aleję Szucha, gdzie mieściła się siedziba Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Podczas przesłuchania powiedział ubekom, że historia się powtarza, bo w tym samym budynku przesłuchiwany był przez gestapo. „Zażądano od niego, aby wyjechał do Poznania i tam nazajutrz zgłosił się do UB o ósmej rano. Odmówił, oświadczając, że nie ma do UB żadnego interesu, jeśli UB chce, niech do niego przyjdzie" – pisze Sikorski. W tym czasie „ujawniła się u niego psychopatyczna niechęć do Żydów. Żydzi ulokowani w ZLP, w PZPR, w aparacie bezpieczeństwa, w prasie, w Kościele". W głoszeniu tych tez niestety Bąk był równie stanowczy jak zawsze.

Wkrótce został umieszczony w szpitalu psychiatrycznym w Kościanie, gdzie poddano go „leczeniu" za pomocą elektrowstrząsów. Jak reagowali „koledzy" pisarze na jego tragedię? „Żaden z literatów nie odwiedził Bąka w »sanatorium«, nie zainteresowano się sprawami prozaicznymi, czy ma ubranie na zmianę, bieliznę, środki higieniczne… Kluczowa w przekonaniu poznańskich pisarzy miała się okazać sprawa mieszkania Bąka, któ-

eprasa.pl 2e2f033bb9

re w okresie jego, jak się wówczas spodziewano, długiego leczeniu było puste" – pisze sarkastycznie Tomasz Sikorski. Zaczęło o nie zabiegać parę osób. Bogusław Kogut, działacz PZPR, członek Koła Młodych ZLP, skarżył się w tym kontekście na swoje złe warunki lokalowe: „Pokoik ten jest bardzo ciasny, a przy tym ciemny". Ale Bąk wyszedł z psychuszki po pięciu miesiącach.

Zaszczuty

Jednak władza zajmowała się nim nadal. „Bez zapowiedzi organizowano rewizje w jego mieszkaniu. Wpadano, rozrzucano rękopisy i wszystkie szpargały, demolowano księgozbiór, wyrzucano zawartość biurka, łamano ołówki. I tak kilka razy na kwartał" – pisze Sikorski. Jak czytamy w książce „Bal maskowy": „W Poznaniu lubowano się w plotkach na temat poety. Dość swobodnie mówiono o krnąbrnym Bąku, jego »obłędzie«, rzekomym alkoholizmie i skłonnościach homoseksualnych".

Zdesperowany, zaszczuty i wyczerpany psychicznie Bąk rozpoczął starania o wyjazd z kraju. 6 maja wysłał pismo do Bolesława Bieruta. Brzmiało znowu jakby wierzył, że żyje w demokratycznym państwie, a Bierut kieruje się demokracją, podejmując polityczne decyzje: „Zwracam się do Obywatela Prezydenta z tą otwartością i zaufaniem, jakie jest nie tylko prawem, lecz także obowiązkiem każdego obywatela państwa rządzącego się ustrojem demokratycznym. Chodzi mi o uzyskanie możliwości wyjazdu na Zachód. [...] Przyczyną, która mnie skłania do wyjazdu na Zachód, jest przede wszystkim system cenzury, która – mimo że konstytucyjnie jest zagwarantowana wolność myśli i słowa – uniemożliwia wszelką swobodną działalność pisarską". Odpowiedzi nie było.

Władza zastanawiała się, co z nim zrobić, i po raz kolejny zdecydowano na najwyższym szczeblu o psychuszce. „Pierwotnie chciano, aby Bąkiem zajął się Urząd Bezpieczeństwa. W grę wchodziło aresztowanie, śledztwo i pokazowy proces. Ale obawiano się, że proces może okazać się dla poety doskonałą okazją do wykrzyczenia dramatu, w jakim się znaleźli polscy literaci, szerszej opinii publicznej" – pisze Tomasz Sikorski.

Latem 1952 roku Bąk został wezwany do poznańskiego oddziału ZUS. Tam czekało na niego trzech ubeków. Po krótkiej rozmowie na temat powojennego ustroju, który Bąk po swojemu skrytykował, został odwieziony do szpitala psychiatrycznego pod Gnieznem. Jak wynika z relacji, znowu „leczono" go tam, wywołując silne bóle głowy i wymioty. „Trzymano mnie przez kilka tygodni wśród obłąkanych, później zaś kilka miesięcy wśród kokainistów i alkoholików. Nie wolno mi było udać się do adwokata, zrobić kroku bez pielęgniarza" – pisał w liście do zarządu ZLP. Związek nie zamierzał mu pomóc, natomiast zarząd poznańskiego ZLP wystąpił o całkowite ubezwłasnowolnienie Bąka jako człowieka niezdolnego do podejmowania samodzielnych działań prawnych. Zaś jeden z pokoi mieszkania Bąka zajął „kolega Rospendowski" z Koła Młodych. 27 lutego 1953 roku sąd oddalił wniosek prokuratora o ubezwłasnowolnienie Wojciecha Bąka. W międzyczasie usunięto go z ZLP ze względu na „postawę moralno-polityczną". Egon Naganowski, prezes oddziału poznańskiego, przekonywał: „Zakłócając pracę nieodpowiedzialnym wystąpieniem, porównał do siebie hitleryzm i komunizm. Fakt ten, zresztą jeden z wielu, wskazuje jasno na nielojalny, wrogi stosunek kol. Bąka do Polski Ludowej, do ogromnego wysiłku mas pracujących, jak również metody realizmu socjalistycznego w twórczości literatów polskich".

Fikcyjna odwilż

Pisarze, którzy wzięli udział w zaszczuciu Bąka, na fali odwilży z 1956 roku zaczęli przedstawiać się jako reformatorzy. Kazimiera Iłłakowiczówna, która jako jedyna konsekwentnie występowała w jego obronie, zażądała od poznańskiego ZLP wycofania wniosku o ubezwłasnowolnienie Bąka. Napisała: „Wydaje się rzeczą niesłychaną, by grono kolegów zamiast bronić pisarza, przyczyniało się do zaszczuwania go. Rolą Związku winna być pomoc, zabezpieczenia praw ludzkich pisarza [...] Nie jest rzeczą Związku obserwować kolegów, badać ich stan psychiczny, zamykać ich i ubezwłasnowolniać". Nowy zarząd odciął się od poprzedników. I zaproponował mu powrót do związku. Odmówił. „Panoszące się od lat w Związku metody perfidii i gwałtu, których byłem ofiarą – które zaś mogły się dla mnie skończyć tragedią – zaufanie moje zburzyły. Zacząłem uważać Związek za instytucję w dużym stopniu niebezpieczną" – napisał.

Odwilż okazała się fikcją. W 1960 roku trafił do więzienia za niechęć do komunizmu. Iłłakowiczówna miała poprosić o interwencję w jego sprawie Annę Kowalską i został on wypuszczony.

30 kwietnia 1961 roku Bąk poszedł do poznańskiej knajpy „Metro", gdzie zamówił tatara. Po jego zjedzeniu osunął się i umarł. Jako przyczynę śmierci podano zawał serca, w co mało kto uwierzył. W jednym z wierszy pisał:

Ciężkie życie, lecz z Tobą jest łatwe i lekkie;
Ciężka śmierć, ale z Tobą czuła jest jak zorze –
Dobrze było, żeś życiem otwarł me powieki,
Dobrze będzie, gdy zamknę je, Stróżu mój – Boże. ■

eprasa.pl 2e2f033bb9

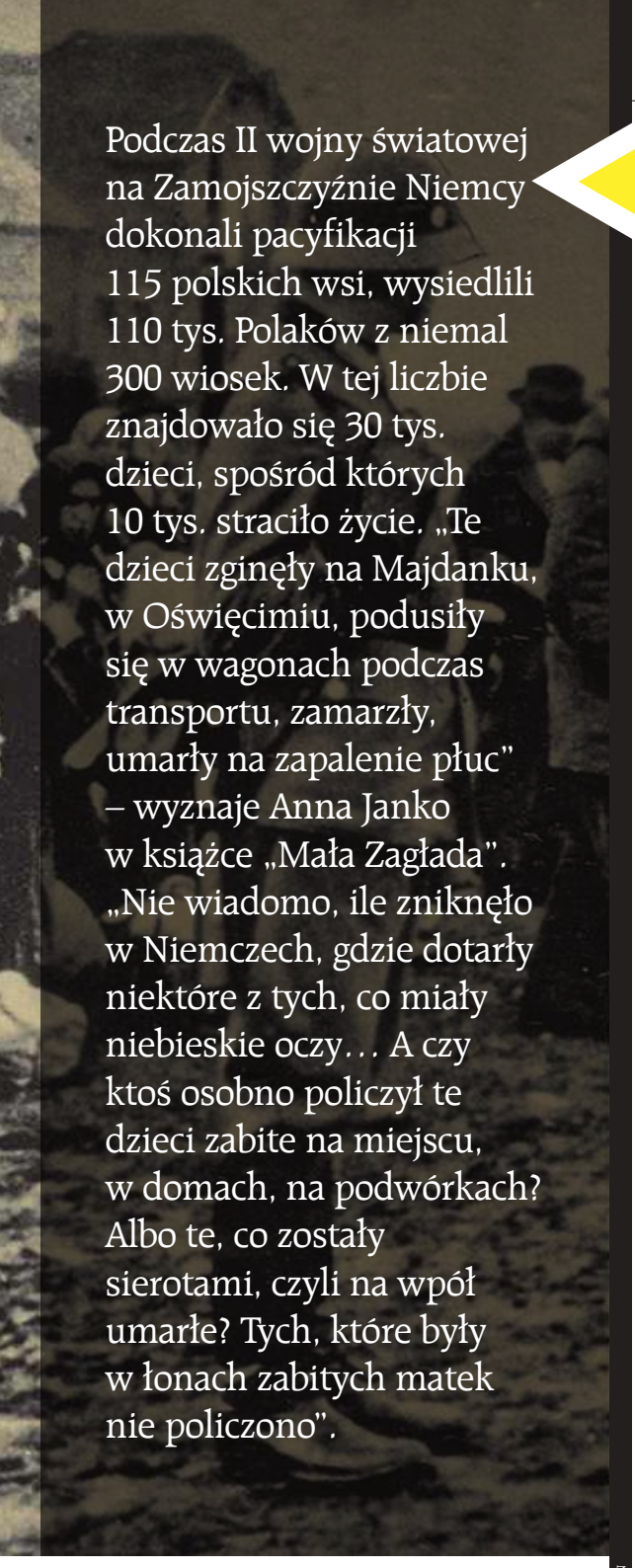


Dzieci Zamojszczyzny.

Trauma wydartego dzieciństwa

Agnieszka Kowalczyk

eprasa.pl 2e2f033bb9



Podczas II wojny światowej na Zamojszczyźnie Niemcy dokonali pacyfikacji 115 polskich wsi, wysiedlili 110 tys. Polaków z niemal 300 wiosek. W tej liczbie znajdowało się 30 tys. dzieci, spośród których 10 tys. straciło życie. „Te dzieci zginęły na Majdanku, w Oświęcimiu, podusiły się w wagonach podczas transportu, zamarzły, umarły na zapalenie płuc" – wyznaje Anna Janko w książce „Mała Zagłada". „Nie wiadomo, ile zniknęło w Niemczech, gdzie dotarły niektóre z tych, co miały niebieskie oczy… A czy ktoś osobno policzył te dzieci zabite na miejscu, w domach, na podwórkach? Albo te, co zostały sierotami, czyli na wpół umarłe? Tych, które były w łonach zabitych matek nie policzono".

FOT. IPN

Anna Janko, pisarka, felietonistka, laureatka wielu nagród i wyróżnień literackich, to córka Teresy Ferenc (1934–2022), cenionej poetki związanej ze środowiskiem literacko-artystycznym Wybrzeża, której świat runął w gruzach wraz z nadejściem Niemców 1 czerwca 1943 roku. Autorka „Małej Zagłady" w przejmujący sposób pisze o psychice okaleczonych wojną dzieci, które „nie potrafią wyrażać emocji słowami. […] miotają [się] w rozpaczy, duszą się strachem, dławią się łzami, życie psychiczne jest dla nich żywiołem o wiele bardziej niż dla dorosłych […]. Dziecięca przestrzeń poznania jest ciasna i gdy wypełni ją opresja, dziecko jest jak w żelaznej obręczy – nie ma dokąd uciec". Po latach od rodzinnej tragedii Anna Janko powraca w swej książce do wojennej historii, kiedy to na oczach jej matki Teresy jako dziewięcioletniej wówczas dziewczynki zostali zastrzeleni jej rodzice – Władysław i Józefa Ferencowie. Ona sama zaś wraz z młodszym rodzeństwem, choć zdołała uniknąć śmierci, znalazła się w samym centrum wojennej apokalipsy.

Jak rodzi się zbrodnia

Te dramatyczne wydarzenia Anna Janko przeżywała przez całe życie wraz z psychicznie okaleczoną matką, współodczuwając jakąś szczególną, jakby metafizyczną więź z jej światem wewnętrznym. Od zawsze też był w niej jakiś irracjonalny strach przed wojną. Każda z jej dziecięcych wypraw do domu dziadków kończyła się chorobą. Nie mogła przebywać na tamtej ziemi, w tamtych miejscach. Podróż do krainy dzieciństwa matki stała się możliwa dopiero po wielu latach, w 1998 roku. Przez całe życie Anna zgłębiała historię II wojny światowej, chcąc zbliżyć się do prawdy o przeszłości i usiłując przeniknąć tę mroczną stronę historii i ludzkiej natury. W swej książce z indywidualnej perspektywy odsłania wojenny dramat Teresy i jej rodziny po brutalnej pacyfikacji wsi Sochy. Rozmawia z mieszkańcami tej osady i sąsiednich miejscowości, z tymi, którzy przeżyli, oraz z tymi, którzy stoją na straży lokalnej historii. Anna Janko, oddając niejednokrotnie głos ocalonym i rekonstruując bieg wypadków z czerwca 1943 roku, poszukuje jednocześnie odpowiedzi na fundamentalne pytania – o zło tkwiące w człowieku, o to, jak rodzi się zbrodnia i jakie jest jej podłoże psychologiczne, jak człowiek może stać się mordercą niewinnych dzieci… Autorka „Małej Zagłady" pokazuje również, że konsekwencje zbrodni wojennej są długofalowe i głęboko destrukcyjne dla tych, którzy przeżyli, tym bardziej że rzeź dokonana przez Niemców w Sochach nigdy nie doczekała się sprawiedliwości – katów nie ukarano, a ofiary zostały skazane „na dalsze cierpienia", bo „gdy oprawca od-

eprasa.pl 2f033bb9

chodzi wolny, cykl się nie zamyka i ofiara nie uwalnia się od bólu".

Mała apokalipsa

Tamtego czerwcowego poranka 1943 roku Teresę Ferenc zbudziła przerażona matka. „Musimy wychodzić – zawołała – Niemcy są we wsi – słyszysz – palą domy, zabierają ludzi". Szybko ubrała Jasia i najmłodszą Kropkę. Teresie kazała zatykać okienka od piwnicy workami po kartoflach, bo tam ukryli cały swój dobytek – pierzyny, kołdry, poduszki, rower ojca, buty zimowe i koce. Zanim opuścili dom, Józefa zdjęła jeszcze ze ściany obraz św. Agaty, co chroni przed ogniem, i pobłogosławiła nim wszystkich domowników. Trójkę swych dzieci posypała także solą święconą, która, jak wierzono, zabezpiecza przed śmiercią. Na podwórzu słychać było strzały i krzyki, powietrze wypełniał dym…

W tym samym czasie podobne sceny rozgrywały się w sąsiedztwie. W domu pod numerem 83 mama dwunastoletniej Stefki Skóry nie mogła powtrzymać łez. Płacząc, krzyczała: „Szybko wstawajcie, coś złego się dzieje, szybko wstawajcie, Niemcy schodzą z góry". Gdy ojciec Stefki wybiegł na zewnątrz, natychmiast dosięgła go niemiecka kula. Na swoim podwórzu padł też stryj pięcioletniej Danusi Ziomki oraz sąsiad, który niósł właśnie na rękach małego synka. Dziecko upadło obok, wystraszone doczołgało się do ojca i trzymając się go kurczowo, błagało: „Wstań, wstań, wstań!". Ten jednak nie dawał już oznak życia.

Na okrzyk „Wieś się pali!" trzynastoletni Staszek Popowicz zerwał się na równe nogi, a wraz z nim trzyletni Edzio i pięcioletnia Marynia. Chłopiec miał przegonić bydło do sadu, ale sparaliżował go widok ciągnących ze wzgórz Niemców z bronią gotową do wystrzału. Ruszył jednak w drogę i dzięki temu się uratował. Z oddali widział, jak żołnierze podpalają jego dom, jak strzelają do matki, ojca, dziadka, siostry i jego malutkiego brata, którego „kula trafiła w głowę, tak że cała się rozpadła, a mózg rozbryznął się na kilka metrów".

Czternastoletnią Marysię Szawarę wyrwał ze snu rozdzierający powietrze dźwięk wystrzału karabinowego. Przez okno dostrzegła, jak sąsiad osuwa się na ziemię. Sama zaś wraz z przerażonymi siostrami uciekła i schroniła się w zbożu. „Dom osiemdziesiąty ósmy, tam czworo dzieci widziało, jak upada zastrzelona ich matka. Zaraz potem tata w wielkim gniewie rzuca się na tego Niemca, wyrywa mu karabin i roztrzaskuje o drzewo. Wtedy inny Niemiec zabija tatę i od razu troje z tych dzieci za jednym zamachem. Jednego małego Lencia zostawia…". W noc poprzedzającą eksterminację dwunastoletni Franek Szawara z rodziną nocował w stodole. Szawarów zbudził pożar. Płonął ich dom. Ojciec rzucił się gasić ogień, ale dosięgła go niemiecka kula. Ranna matka została dobita przez Niemca. Ten nie zawahał się zastrzelić jej szesnastoletniej córki Feli. Oddał też kilka strzałów do drugiej, osiemnastoletniej Justyny. Była wówczas w szóstym miesiącu ciąży. Przeżyła, urodziła później córeczkę Hanię, dziewczynkę umysłowo chorą (mówiono o niej „umysłowo nieszczęśliwa"). Tego poranka Justyna straciła również męża, który miał dopiero dwadzieścia lat.

Pogrom nie ominął też rodziny Niziów. Zginął mały Staś, przeżyły jego siostry – Marysia i piętnastoletnia Bronka, która w przyszłości została samorodną poetką ludową i w swych tekstach poetyckich zachowała pamięć o dniu zagłady. Stworzyła m.in. poemat o Sochach, w którym ponumerowała wszystkie spalone domy i opisała losy ich mieszkańców. Ona też opowiedziała Annie Janko o tym, co działo się w wiosce podczas pacyfikacji.

Tymczasem Ferencowie stali znieruchomiali i patrzyli, jak Niemcy podkładają ogień pod kowalowy dach. Ten sam los czekał ich nowo wybudowany dom ze sklepikiem. Władysław za zgodą żołnierza zdecydował się wrócić do środka po puszkę z utargiem. Myślał, że pieniądze pozwolą mu wykupić rodzinę z rąk wroga. Jakże się mylił. Niemiecka kula przeszyła jego ciało, przeleciała przez nową marynarkę w brązową jodełkę. Upadł na ścieżce. „I już podchodzą Niemcy – przywołuje tamten moment jego córka Teresa – dwóch, w mundurach wojskowych, zielonych, i w furażerkach. Ich twarzy nie pamiętam, tylko mundury na tle nieba. Jakby nie mieli twarzy. Pamiętam za to bardzo wyraźnie, […] jak jeden z tych żołnierzy mierzy z karabinu do mamy, która stoi po drugiej stronie ścieżki przy samym zbożu, z moją siostrą na rękach. I ten żołnierz, zanim jeszcze nogi się pod mamą ugięły, przesuwa lufę na dziecko. A wtedy ten drugi […] mu tę lufę w dół pchnął. Tylko ten gest mam w pamięci, strzałów nie, jakby dźwięku żadnego nie było. Matka się osuwa i karabin się osuwa, i strzela w ziemię. A my z bratem […] dwa metry dalej. […] Może ten drugi żołnierz sam miał małe dziecko i dlatego nie chciał, by dziecko zabić? – Może. Może czuł, że kto zabija jakieś dziecko, trochę też i swoje zabija…".

Ogień z nieba

To był moment przełomowy w życiu dziewięcioletniej Teresy Ferenc, która w jednej chwili została sierotą, tak samo jak młodszy Janek i trzyletnia Kropka. „Strasznie cicho było – mówi o swoich przeżyciach. – Jakby wszystko nagle przestało się dziać. Nie widzę mamy, choć wiem, że leży tuż-tuż. […] Wstaję i wtedy

eprasa.pl 2e2f033bb9

czuję, jakby wielka lodowata kropla przeleciała przez mnie w środku, i odtąd jestem kimś całkiem innym. Biorę za ręce brata i siostrę i idziemy ścieżką do drogi. Mijamy tatę. Leży na plecach i ma z prawej strony marynarki dziurkę, tam, gdzie wleciała kula. […] Jego gardło drgnęło, jakby przełknął ślinę. […] Jesteśmy sierotami, taka myśl zawisła nade mną, strasznie było cicho".

Nie był to jednak koniec gehenny. Pogrom dokonywany przez Niemców w Sochach trwał nadal. Dzieci dotarły do domu dziadka Ferenca, gdzie mieszkali też ich wujowie, bracia zabitego ojca – 42-letni kawaler Antoni oraz Stanisław, sołtys wsi Sochy, wraz ze swoją urodziwą żoną Anastazją i czwórką dzieci. Ratowali właśnie dobytek przed pożarem, który zbliżał się do nich nieuchronnie. Na wieść o zamordowaniu Władysława i Józefy cała rodzina rzuciła się do ucieczki. Wybiegli w pola. Dziadek Ferenc, siedemdziesięcioletni mężczyzna, z czarnym, węgierskim wąsem, chwycił małą Kropkę i co sił pobiegł z nią do sadu. Rzucił się z dzieckiem do dołu, w którym zwykle suszono len, nakrywając się szynelem z czasów pierwszej wojny. Wkrótce potem w tym miejscu zjawili się Niemcy. Jeden z nich zajrzał pod przykrycie, kopnął leżące ciała i pewnym głosem krzyknął do pozostałych: „kaputt". Kropka po raz drugi uniknęła śmierci.

Tymczasem Teresa ukryła się pod porzuconym wozem na polnej drodze. Nie była sama. Obok leżeli nieruchomo skryjenka Anastazja z córkami, Aniela z czworgiem swoich dzieci, Janina z synami… Wujów Stanisława i Antoniego oraz kowala Niemcy zabrali do sadu i rozstrzelali. Wszystko wokół płonęło, a kobiety z dziećmi modliły się o wybawienie. Nieopodal w życie schowały się kowalowa z rodziną, a także Władysława Szawara, piękna dziewczyna, która pracowała w Zwierzyńcu. Niemcy chcieli ją wziąć na zgwałcenie, ale pozostałe kobiety zasłoniły Władkę świętymi obrazami i własnymi ciałami. Niemcy odstąpili, tym bardziej że spieszyli się, by zdążyć do lasu, zanim nadlecą samoloty. Przerażone dziewczęta przytuliły się do siebie i płakały, bo lada chwila miał spłynąć na nie śmiercionośny ogień z nieba. Teresa przyczołgała się do nich. W końcu „nadleciały samoloty […], posypały się bomby, a potem pociski z kaemów. Raz jeden, raz drugi, raz trzeci samolot ze straszliwym wyciem obniżał lot i prawie że brzuchem ocierał się o zboże, które kładło się od podmuchu, a maszynowa broń pokładowa siekła ciała, martwe i żywe". Wszechogarniającej ciszy, która po tym nastąpiła, nie przerwał ani płacz dzieci, ani jęk rannych. Gdy wreszcie ocaleni odważyli się podnieść, poraził ich apokaliptyczny obraz absolutnego zniszczenia. Wśród zgliszczy sterczało tylko kilka kominów, które oparły się żywiołowi. „Wtedy dopiero jeden płacz, jeden krzyk wyrwał się z ust ocalałych".

Taki to los spotkał wieś Sochy, jedną ze 115 spacyfikowanych przez Niemców na Zamojszczyźnie. Jej mieszkańcy oskarżeni zostali przez okupanta o udzielanie pomocy partyzantom, a tym samym skazani nie na wysiedlenie, lecz na eksterminację. Prawie wszystkich rozstrzelano. Zginęło około 200 dorosłych i 45 dzieci.

▶ W płomieniach i za drutami

Tragedię w Sochach poprzedziły wydarzenia, jakie rozegrały się 18 maja 1943 roku w sąsiedniej wsi Szarajówka, gdzie niemieccy żołnierze w odwecie za wspieranie polskiego podziemia dokonali brutalnej pacyfikacji. Po przesłuchaniach i torturach na placu wiejskim schwytani Polacy zostali zamknięci w stajni, zaryglowani i… podpaleni. W ten bestialski sposób niemieccy żandarmi i ukraińscy nacjonaliści, stacjonujący w Biłgoraju i Tarnogrodzie, pozbawili życia 58 osób – „w tym dwumiesięcznego Jasia, roczną Julcię, dwuletnią Marysię, czteroletnią Anię; Bronek i Marysia mieli po pięć lat, Janinka o dwa lata więcej; […] Wandzia skończyła osiem lat, a Kostek dziesięć […]. Jeszcze jedna Jula, lat trzynaście, jeszcze jedna Ania, lat czternaście, jeszcze jedna Marysia, też czternastoletnia. Wszystkie te imiona są prawdziwe […]. Dzieci z Szarajówki, zabite, »wyjęte« z życia, a ich imiona włożone do książki ze spisami zamordowanych wsi".

Dzieci, które ocalały z pogromu w Sochach, spotkał różny los. Niektórymi zaopiekowali się dalsi krewni, inne jeszcze, załadowane przez kolejarzy do pociągu, brane były po drodze przez obcych ludzi, pozostałe trafiły do sierocińców. To, co najgorsze, spotkało chyba nastoletnią Stefanię Skórę, która po pacyfikacji Soch znalazła schronienie u swojej babci w pobliskim Aleksandrowie, gdzie wpadła w pułapkę zastawioną przez Niemców, którzy zorganizowali obławę na małych pastuszków. Stefania dobrze pamięta, jak zza każdego drzewa zaczęli wyłaniać się żołnierze z psami. Gnali oni dzieci przez łąki ku wsi i długo kazali czekać nad wykopanym dołem. Pochwycona czternastolatka została wywieziona do obozu w Zamościu, gdzie los zetknął ją z bratem. „W baraku na podłodze z Józiem spali na gołej ziemi. Potem transport do Lublina, potem bieg w upał przez ulicę Krochmalną i dalej, z płaczącym z głodu i pragnienia dzieckiem na rękach. Stefka, zdyszana i przerażona, ucisza chłopczyka, szepcze coś, obiecuje, byle nie krzyczał, bo Niemiec ich zabije. […] Myślała, że nie dojdzie z tym dzieckiem. Ale doszła, na Majdanek…". Tam przeszła prawdziwe piekło, narażona każdego dnia na ostre razy ze strony sadystycznych strażniczek, które smagały

eprasa.pl 2e2f033bb9

ją bezlitośnie pejczem, gdy tylko przebiegała między nimi z Józiem na rękach, kuląc się i osłaniając go własnym ciałem.

Te nieludzkie sceny wiodą Annę Janko do refleksji nad psychologicznym mechanizmem okrucieństwa, jakiego dorosły może dopuścić się wobec dziecka. Autorka pyta o jego psychologiczne uwarunkowania. „Igranie z przerażeniem dziecka – pisze – daje takim bestiom wiele radości. Bo dziecko ma bliżej do krawędzi otchłani i boi się zawsze ostatecznie. Wiadomo przecież, że przemoc, okrucieństwo to potężny afrodyzjak […]. Patrzenie na śmierć, którą się samemu zadaje, *in statu nascendi*, to jest dopiero wycieczka zagraniczna, to jest dopiero ekstremalna przygoda egzystencjalna. I zawsze dobrze się kończy – bo się ze śmiercią wygrywa, zabijając. Zwycięzca bierze wszystko i pozostaje z poczuciem nieśmiertelności".

Na Majdanku znaleźli się jednak i dobrzy ludzie, którzy uratowali Stefanię i jej brata od sadystów i od głodowej śmierci. Gdy dziewczyna zachorowała i była już bliska śmierci, potajemnie wywieźli ją wraz z Józefem do szpitala Jana Bożego w Lublinie. Małych więźniów ukryto na pace pod stosem brudnej pościeli, a do środka rzucono siatkę z bułkami. I tak wyruszyły w podróż ku ocaleniu „dwa dziecięce kościotrupy, większy i mniejszy szkielecik". W momencie gdy lekarze ratowali je od śmierci, pod drutami Majdanka błagała o spotkanie z dziećmi niczego nieświadoma, zrozpaczona matka. Wtedy już jednak nie było ich na terenie obozu koncentracyjnego. Ostatecznie Stefania wróciła do Soch. Urodziła syna, któremu dała na imię Józef. W przyszłości został on dziennikarzem i prowadził w Warszawie wydawnictwo specjalizujące się w publikowaniu książek i czasopism historycznych, którego właścicielem był paradoksalnie Niemiec.

Dramat wysiedlanych

Dramat dzieci Zamojszczyzny to przede wszystkim trauma wysiedlanych, wyrzucanych przez Niemców ze swoich domów i ze swojej ziemi w latach 1942–1943 w ramach tzw. Generalplan Ost – Generalnego Planu Wschodniego. Zakładał on, jak tłumaczy historyczka Agnieszka Jaczyńska, że w ciągu 20 lat z Europy Środkowo-Wschodniej, w tym również z Polski, zostanie wysiedlonych od 30 do 50 mln mieszkańców. Początkowo zamierzano wywieźć ich za Ural i tam rozproszyć. Ostatecznie postanowiono jednak zamknąć wygnanych w specjalnych obozach koncentracyjnych w celu ich biologicznej eksterminacji, która nastąpiłaby w efekcie nieludzkiej pracy, złego wyżywienia i wyniszczających warunków bytowych. Ziemie wysiedlonych miało zająć kilka tysięcy tzw. Niemców etnicznych, pochodzących nie tylko z terenów III Rzeszy, lecz także rozproszonych w innych krajach. W ten sposób miał dokonać się proces „odzyskiwania krwi niemieckiej". Na pierwszy zaś teren osiedleńczy w Generalnym Gubernatorstwie wytypowano Zamojszczyznę jako „jeden z obszarów mających zapewnić Niemcom przestrzeń życiową, a z III Rzeszy uczynić państwo czyste rasowo oraz ekonomicznie i rolniczo samowystarczalne".

Zamojszczyzna nadawała się do tego celu z kilku względów. Spełniała kryterium geograficzne jako ziemia leżąca między państwami bałtyckimi i Siedmiogrodem, a więc mogąca stać się pomostem i zarazem bastionem niemczyzny. Do tego była bogata w żyzne gleby, co z kolei stanowiło ważny atut z gospodarczego punktu widzenia. Jej atrakcyjność w oczach Niemców podnosił też fakt, że pod koniec XVIII wieku z inicjatywy Habsburgów sprowadzano na ten obszar kolonistów z Lotaryngii i Alzacji. Jedynym problemem, ale za to kluczowym, było to, że na Zamojszczyźnie znalezienie jakiegokolwiek Niemca graniczyło z cudem, a dawni potomkowie niemieckich kolonistów całkowicie zatracili swe germańskie cechy i czuli się już od dawna Polakami. Wykazała to m.in. niemiecka ekspedycja naukowa na Zamojszczyznę w 1941 roku, z której raport sporządzony przez Odilo Globocnika wskazywał jednoznacznie, że na tej ziemi „przypadki odnalezienia »Niemców« są incydentalne". Aby zadowolić Heinricha Himmlera, zagorzałego orędownika zbrodniczej polityki kolonizacyjnej, sporządzono spis ludności Zamojszczyzny, by na jego podstawie wytypować 8 tys. jej mieszkańców, którzy zgodnie z kryteriami opracowanymi przez nazistów mieli związki z dawnymi niemieckimi kolonistami. Ta nić pokrewieństwa była jednak na tyle nikła, że Globocnik wskazał na potrzebę regermanizacji tej ludności.

W lipcu 1941 roku, po wizycie Himmlera na Zamojszczyźnie, postanowiono, że stanie się ona polem wielkiego eksperymentu wysiedleńczo-kolonizacyjnego. Pierwsze próbne akcje Niemcy przeprowadzili już w listopadzie 1941 roku. Wysiedlono wówczas kilka wsi leżących wokół Zamościa. Prawdziwy exodus, pod nazwą Aktion Zamość, rozpoczął się jednak dopiero w następnym roku. W nocy z 27 na 28 listopada 1942 roku nastąpiła pierwsza faza wysiedleń, która trwała do końca grudnia i objęła wieś Skierbieszów wraz z sąsiednimi miejscowościami. Po niej nastąpiła kolejna, podczas której od połowy stycznia do połowy marca 1943 roku wypędzano z domów ludność powiatu hrubieszowskiego. Wreszcie trzecia faza tej akcji, przypadająca na miesiące letnie 1943 roku, wymierzona została w ludność zamieszkującą powiat biłgorajski. W wyniku realizacji Generalplan Ost wypędzono z Zamojszczyzny około 60 tys. jej mieszkańców. Wysiedlanych Polaków transportowano do obo-

eprasa.pl 2e2f033bb9

zu przesiedleńczego w Zamościu, gdzie stawali przed specjalną komisją lekarską, która decydowała o ich przyporządkowaniu do jednej z czterech kategorii: „WE oznaczało skierowanie do ponownego zniemczenia, AA – pracę na terenie Rzeszy, RD – skierowanie do wsi rentowych, AG – zatrudnienie w Generalnym Gubernatorstwie, a KL – obóz Auschwitz-Birkenau". Lekarze badali też dzieci pod kątem posiadania przez nie cech nordyckich. Te, które spełniały odpowiednie kryteria, zostały przeznaczone do germanizacji. Na szyi zawieszano im drewniane tabliczki z symbolem Ki (Kinderaktion) i wywożono w głąb III Rzeszy.

Zastrzyk fenolu prosto w serce

O tym, co działo się w Skierbieszowie, pierwszej miejscowości na wysiedleńczym szlaku Zamojszczyzny, opowiada Anna Janko. Otóż owej feralnej listopadowej nocy 1942 roku mieszkańcom wioski dano dwadzieścia minut na ubranie się i spakowanie niezbędnych rzeczy. Potem ładowano ich na furmanki i wywożono lasami do obozu w Zamościu. W tym samym czasie drogą do opustoszałej wsi zmierzali już niemieccy osadnicy, by zająć domy i gospodarstwa wygnańców, przesycone jeszcze atmosferą strachu i rozpaczy wyrywanych gwałtem ze swego miejsca. Wśród nowych przybyszów, mających osiedlić się w Skierbieszowie, znalazła się rodzina Köhlerów, w której za kilka miesięcy miał przyjść na świat Horst Köhler, przyszły prezydent zjednoczonych Niemiec. Urodzi się więc w ukradzionej Polakom wsi, gdzie przed wojną wychowywał się prezydent Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki. Dom, który wzięli w swe posiadanie Köhlerowie, należał wcześniej do rodziny Węcławików. „Ostatecznie Węcławikowie – jak pisze Anna Janko – trafili do baraków w Auschwitz. Żona Czesława Węcławika też była w ciąży, tak jak matka Horsta, urodziła w obozie. Jej dziecko zostało zaszpilowane, to znaczy otrzymało zastrzyk fenolu w serce. Ona też zaraz umarła po takim samym zastrzyku (barak numer 25, otoczony wysokim murem, okna zakratowane bez szyb, gołe prycze bez słomy). Miała dwadzieścia jeden lat, jasne oczy, prosty nos, pełne usta i na imię Zosia. […] To był początek maja 1943, gdy z dzieckiem na ręku weszła do bloku śmierci. Zabijał podoficer SS Hans Nierzwicki". Od zastrzyku z fenolu zginęło też w Auschwitz-Birkenau 48 chłopców ze Skierbieszowa. Mieli od dziewięciu do czternastu lat. Poddani segregacji w Zamościu zostali przeznaczeni na śmierć w obozie zagłady. W sumie za drutami KL Auschwitz życie straciła setka dzieci z tej zamojskiej wioski.

Zwrócony głos

Dla tych dzieci z Zamojszczyzny, które przeżyły wojnę i których udziałem stało się doświadczenie sierocтwa, dalsze życie okazywało się jeszcze większą torturą. Trauma wojenna nie opuściła ich już nigdy. Anna Janko obserwująca przez lata swoją matkę, widziała w niej jakby dwie osoby w jednym ciele – dorosłą kobietę i dziewięcioletnie dziecko, które płacze po stracie rodziców. Po tym, jak matka i ojciec zostali zamordowani na jej oczach, przez rok nie mówiła i płakała całymi godzinami. Po pacyfikacji Soch trafiła najpierw do dziadków Mielników ze Stolnikowizny, którzy cierpieli głód i wysyłali wnuczkę na żebry do sąsiadów. Potem przygarnęła Teresę ciotka, która źle ją traktowała i zmuszała do ciężkich prac. Wreszcie przytułek odnajdywała w kolejnych trzech domach dziecka. To jednak nie tułaczy, sierocy los był dla niej najbardziej dojmujący, ale przeżywane przez lata wywołane stanem depresji wewnętrzne katusze, coś, co trawiło ją od środka i nie pozwalało zaznać spokoju.

Ukojenie może przynieść tylko opowieść, a więc rodzaj osobistej spowiedzi, wypowiedzenia siebie w słowach, które może stać się rozliczeniem z samym sobą i z tym, co się wydarzyło. Słowo ma moc autoterapii. Anna, autorka książki o Teresie Ferenc, o tragedii, jaka spotkała ją i inne dzieci Zamojszczyzny, momentami prowadzi narrację tak, jakby rozmawiała ze swoją matką. Bo ten dialog o wojennych przeżyciach ma wyzwolić z pęt przeszłości obie kobiety – zbolałą matkę i córkę, która ma poczucie, że traumę wojenną odziedziczyła w chwili narodzin wraz z całym wewnętrznym balastem historii tragicznej. „Wszyscy ocaleni muszą dawać świadectwo – pisze. – Porzuceni pomiędzy światami, w wyrwie pomiędzy starym i nowym życiem, budują most ze słów, księżycową autostradę… I tam mieszkają; nawet jeśli mają jakiś inny, bardziej konkretny adres, numer telefonu, pracę i koligacje rodzinne, to i tak są pomiędzy, bez oparcia. Ty dawałaś świadectwo mnie. A gdy miałaś trzydzieści trzy lata, czyli po prawie ćwierćwieczu od pacyfikacji, szczęśliwie przeżyłaś […] operację […] i zaczęłaś pisać wiersze o tamtych wydarzeniach. […] Wiersze wymiatały z duszy wszystko, co niepożądane. To było jak »czystka duchowa« i budowanie z chaosu. Autoterapia przez twórczość". W efekcie autoterapii powstała i ta książka, która łączy świat dziecka i matki w jeden nierozerwalny wewnętrzny kosmos przeżyć i refleksji, pokazując, jak silne piętno pozostawia na człowieku dramat wojny i jak ważne jest dawanie świadectwa, poszukiwanie prawdy i ukazanie historii ofiar, które nigdy nie doczekały się zadośćuczynienia ze strony zbrodniarzy.

Źródła: A. Janko, „Mała Zagłada", Kraków 2015; E. Karpińska-Morek i in., „Teraz jesteście Niemcami. Wstrząsające losy zrabowanych polskich dzieci", Kraków 2018. ■

eprasa.pl 2e2f033bb9



Dariusz Jarosiński



Ppor. Franciszka Ramotowska „Iskra" i mjr Jan Tabortowski „Bruzda". Jedyna wspólna fotografia. Uroczysko Kobielne, lato 1944 roku
fot. z książki Sławomira Poleszaka pt. „Major Jan Taborowski »Bruzda«"

„Iskra" i „Bruzda" – historia bez happy endu

„Iskra" przez całe swoje życie zmagała się z traumatycznym wspomnieniem brutalnego śledztwa w katowni NKWD w Białymstoku. Oprawcy domagali się, aby dziewczyna wydała swego dowódcę, mjr. „Bruzdę". Odniosła zwycięstwo nad bolszewikami – pomimo potwornych tortur nie zdołali jej złamać. „Bruzda" był legendą podziemia niepodległościowego. 20 kwietnia 1945 roku odbił ze swoimi partyzantami „Iskrę" ze szpitala wojskowego w Białymstoku. I choć był w niej zakochany, ona – choć miała do niego ogromny szacunek – nie potrafiła odwzajemnić uczucia.

eprasa.pl 2e2f033bb9



Franciszka Ramotowska „Iskra”
fot. IPN



Major Jan Tabortowski „Bruzda”
fot. IPN

Iskra” miała 19 lat, kiedy została zaprzysiężona w czerwcu 1941 roku do Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej. Przeszła kurs sanitariuszek i łączniczek. „Bruzda” był przedwojennym oficerem Wojska Polskiego, doświadczonym w walce z okupantem niemieckim, 15 lat starszym od „Iskry”. Oboje pochodzili ze szlacheckich, patriotycznych rodzin, zasłużonych dla Rzeczypospolitej w polskich zrywach wolnościowych – ona z ziemi łomżyńskiej, on z Kresów, z ziemi nowogródzkiej. Ich drogi życiowe zetknęły się w marcu 1944 roku, kiedy mjr Jan Tabortowski „Bruzda”, inspektor Inspektoratu Łomżyńskiego Armii Krajowej, mianował Franciszkę Ramotowską „Iskrę” na łączniczkę Komendy Inspektoratu.

Ona i on

„Iskra” przez całe życie borykała się z problemami zdrowotnymi, będącymi konsekwencją urazów doznanych podczas próby ucieczki z katowni NKWD. Nigdy nie zaznała spokoju – do 1989 roku była prześladowana, upokarzana, inwigilowana. Jedynie głęboka wiara w Boga pozwoliła uchronić się jej przed demonami przeszłości i ich destrukcyjnym wpływem.

Spełniła swoje życiowe marzenie – skończyła studia, została profesorem z zakresu nauk humanistycznych i archiwistyki. Jej głównym tematem badawczym była historia powstania styczniowego. Dla przyjaciół i bliskich do końca życia pozostała Tolą. Nazywano ją zdrobnieniem od imienia Antonina, nie zdając sobie najczęściej sprawy z tego, że w czasie okupacji posługiwała się dokumentami na nazwisko Antonia Rutkowska. Choć była kobietą niezwykłej urody i miała wielu adoratorów, to nie wyszła za mąż.

Major Tabortowski „Bruzda” był wybitnym dowódcą partyzanckim, kawalerem Virtuti Militari, trzykrotnie odznaczonym Krzyżem Walecznych, uczestnikiem wojny obronnej w 1939 roku, od roku 1940 tworzył struktury zbrojnego podziemia niepodległościowego. Jego najbardziej głośną akcją było opanowanie miasta Grajewo w nocy z 8 na 9 maja 1945 roku. Od października 1945 do marca 1947 roku pełnił funkcję prezesa Rejonowego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość.

Mimo że ujawnił się w roku 1947, to nadal był prześladowany przez komunistów. Dla takich jak on, patriotów, nie było miejsca w Polsce komunistycznej, chyba że na cmentarzu – a i tam nie wszyscy mogli być pochowani. Bezskutecznie próbował ułożyć sobie życie, podjął nawet studia w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. W roku 1950, zagrożony aresztowaniem, zszedł ponownie do podziemia i wyjechał na ziemię łomżyńską. Zginął w roku 1954 w Przytułach w czasie ataku na posterunek MO, zaledwie kilka kilometrów od miejsca urodzenia

eprasa.pl 262f033bb9

„Iskry". Ciało mjr. „Bruzdy" zostało zabrane przez funkcjonariuszy UB. Nie jest znane miejsce jego pochówku.

Dodatkowej pikanterii historii dowódcy AK, WiN i jego łączniczki dodawał fakt, że „Bruzda" był zakochany bezgranicznie w pięknej „Iskrze" bez wzajemności. Ona, choć darzyła go szacunkiem, bardzo ceniła, nie potrafiła odwzajemnić tego uczucia. To był dramat nie tylko „Bruzdy", lecz także „Iskry".

W konspiracji nad Biebrzą

Franciszka Ramotowska urodziła się w 1922 roku w zaścianku szlacheckim Wagi Gnaty w gminie Przytuły w powiecie łomżyńskim. Jej rodzice, Jan i Anna z Chrostowskich, prowadzili gospodarstwo rolne. Ramotowscy herbu Rawicz stanowili starą i liczną rodzinę szlachecką zamieszkującą ziemię łomżyńską. Ich najbardziej znanym przodkiem był Józef Konstanty Ramotowski pseudonim „Wawer", pułkownik wojska polskiego i podpułkownik armii francuskiej, bohater polskich powstań – listopadowego oraz styczniowego, a także weteran wojny francusko-pruskiej, kawaler Orderu Virtuti Militari, uczestnik polskiej emigracji we Francji. Franciszka miała starszą siostrę Marię, już zamężną przed wojną, oraz młodszą siostrę Stanisławę. Do szkoły powszechnej chodziła w miasteczku Jedwabne, a do gimnazjum w Łomży.

Pierwsze struktury Służby Zwycięstwu Polski / Związku Walki Zbrojnej w nadbiebrzańskiej gminie Przytuły tworzył kuzyn Franciszki, nauczyciel z Przytuł, Józef Ramotowski „Kruk", „Rawicz". Do organizacji przystąpiło wówczas aż dwieście osób w gminie. W późniejszym czasie „Rawicz" był żołnierzem mjr. „Bruzdy", m.in. zastępcą prezesa Obwodu Łomżyńskiego WiN; w podziemiu działał do sierpnia 1952 roku. Ważną rolę w organizacji pierwszych struktur odgrywał szwagier Franciszki Ramotowskiej, mąż siostry Marii, Antoni Górski z Wag.

W czerwcu 1941 roku, po napaści Niemiec na Związek Sowiecki, Franciszka wstąpiła do Związku Walki Zbrojnej, przyjmując pseudonim „Iskra". Maria Turlińska, nauczycielka z Przytuł, przygotowywała swoje byłe uczennice do funkcji sanitariuszek i łączniczek. Oprócz Franciszki w kursie brały udział m.in. Irena Chodzicka „Chętna", Jadwiga Kosmaczewska. „Iskra" prowadziła też tajne nauczanie dla dzieci.

W marcu 1944 roku kpt. Jan Tabortowski „Bruzda" mianował ppor. Franciszkę Ramotowską „Iskrę" łączniczką Inspektoratu III Łomżyńskiego AK, w skład którego wchodziły obwody Łomża i Grajewo.

Pod koniec czerwca 1944 roku miała miejsce nieudana akcja odbicia aresztowanego Józefa Ramotowskiego „Kruka". To w czasie tej akcji ranny został Hipolit Waniewski „Huzar". Kula zraniła mu przedramię od nadgarstka do łokcia. Ciężko rannym przez wiele dni zajmowała się z poświęceniem „Iskra". „Huzar" okazał się zdrajcą, agentem NKWD – kilka miesięcy później wydał w ręce bolszewików „Iskrę".

Latem 1944 roku „Bruzda" i „Iskra", w ramach przygotowań do akcji „Burza", znaleźli się w bazie Kobielne na biebrzańskich bagnach, gdzie koncentrowały się oddziały AK. „Iskra" oprócz funkcji łączniczki obsługiwała też radiostację, redagowała komunikaty. Zwracała na siebie uwagę partyzantów wyjątkową urodą. „Bruzda" zapowiedział podkomendnym, że zastrzeli każdego, kto się do niej zbliży. W połowie sierpnia oddział „Bruzdy", po opuszczeniu atakowanej przez Niemców bazy Kobielne, został rozbrojony przez wojska sowieckie. Sowieci aresztowali mjr. Tabortowskiego, natomiast „Iskrze" udało się szczęśliwie uciec.

„Bruzda" również wkrótce zbiegł z aresztu. Początkowo ukrywał się, ale już na początku 1945 roku powrócił na ziemię łomżyńską, gdzie w nowej sytuacji politycznej zaczął odbudowywać struktury Komendy Inspektoratu Łomża w ramach Armii Krajowej Obywatelskiej.

„Byłam przekonana, że zginę"

Nauka była największym marzeniem życiowym „Iskry". Jesienią 1944 roku wyjechała do Białegostoku i tam poszła do szkoły średniej. Kiedy nasiliły się wsypy, a aresztowania żołnierzy podziemia niepodległościowego stały się masowe, zaniepokojony „Bruzda" przed świętami Bożego Narodzenia pojechał do Białegostoku i ostrzegł swoją byłą łączniczkę, by jak najszybciej wyjechała z miasta. Niestety, „Iskra" nie bardzo chciała rezygnować ze szkoły i odkładała termin wyjazdu. Zaplanowała go w końcu na 16 stycznia 1945 roku.

Funkcjonariusze NKWD zaangażowali do wytropienia „Bruzdy" dziesiątki agentów, m.in. byłego żołnierza majora, zwerbowanego przez NKWD, Hipolita Waniewskiego „Huzara". On znał doskonale nie tylko majora, lecz także „Iskrę", bo to ona spędziła przy nim wiele godzin, kiedy opatrywała mu ranę w bazie Kobielne w lipcu 1944 roku.

Waniewski ustalił, że „Iskra" mieszka u zaprzyjaźnionej rodziny w Białymstoku przy ulicy Augustowskiej 2. W nocy z 14 na 15 stycznia oddział uzbrojonych funkcjonariuszy NKWD otoczył dom. Do domu weszła, a właściwie wtargnęła, horda bolszewików wraz z Waniewskim „Huzarem". „To ta mniejsza" – wskazał „Huzar" na „Iskrę", która stała obok Ireny Kitkówny, córki właścicieli domu.

Przez ulice śpiącego miasta została doprowadzona pod liczną eskortą enkawudzistów do siedziby NKWD przy ulicy Ogrodowej. Nigdy nie chciała mówić o swoich przeżyciach w konspiracji, jednak dała się namówić bliskim i opowiedziała o tym, jak wyglądało przesłuchanie.

„Pierwsze pytanie brzmiało: »Gdzie jest 'Bruzda'?« Na moją odpowiedź, że nie wiem, bo rzeczywiście nie wiedziałam, spadły na mnie ciosy za ciosami – pięściami

eprasa.pl 2e2f033bb9

w twarz, jednocześnie z obu stron i kopanie. Polała się krew z ust. Wybuchnęłam spazmatycznym płaczem, którego nie mogłam powstrzymać. Oficer powtarzał wielokrotnie to samo pytanie i dorzucał nowe, żądając wskazania miejsca przebywania także komendanta »Mścisława« [płk Władysław Liniarski, komendant Okręgu Białystok ZWZ-AK – przyp. D.J.]. […] Milczałam bądź odpowiadałam: nie wiem. […] Przesłuchanie trwało cały dzień; parokrotnie zmieniali się tylko oficerowie śledczy. Byłam wyczerpana do omdlenia. Płaczu nie mogłam uciszyć. Sytuacja wydawała mi się najkoszmarniejszym, nierzeczywistym snem. Nie mogłam pojąć, że istnieje takie zło na świecie. Postanowienie miałam jedno: niczego nie powiem pomimo najstraszniejszych cierpień […]. Byłam przekonana, że zginę, ale nikogo nie wydam".

„Pozostałam wolna"

„O zmroku rozwścieczony oficer śledczy zaczął rzucać się na mnie z niedwuznacznymi zamiarami dokonania gwałtu. Gdy wyrwałam mu się z łap, ryczał, że znajdzie sposób na złamanie mego oporu i otwarcie ust. Obrzucał mnie najgorszymi wyzwiskami i groził okrutnymi torturami. W furii wybiegł do sąsiedniego pokoju, a ja w ogromnym napięciu i rozpaczy zdecydowałam się w ułamku sekundy na ucieczkę – jako jedynie możliwy, choć desperacki i ryzykowny krok w obronie godności osobistej. […] Przyciągnęłam bardzo ciężkie biurko do wysokiego okna, na biurko postawiłam również bardzo ciężki skórzany fotel (wstąpiła we mnie niezwykła siła!) i w okamgnieniu stanęłam na parapecie – nie z myślą popełnienia samobójstwa, lecz ucieczki. W tym momencie drzwi skrzypnęły, wrócił mój oprawca – starszy oficer z pałką, a ja z całą mocą uderzyłam rękami w grube szyby, które – o Boże! – nie chciały pęknąć. Uderzenie powtórzyłam z pomyślnym skutkiem w momencie, gdy oprawca z potwornymi przekleństwami podbiegał do okna. Zwyciężyłam! Skoczyłam w przekonaniu, że ucieknę (było to drugie piętro). […]

Upadłam na chodnik przed stojącym strażnikiem. Próbowałam poderwać się do ucieczki, ale strażnik pochwycił mnie […]. Natychmiast znaleźli się funkcjonariusze, którzy bijąc mnie i kopiąc, zawlekli do gabinetu na piętrze. […] Opasły rozwścieczony oficer, z którego rąk wyrwałam się, w obecności kilku innych funkcjonariuszy bił mnie drągiem i kopał leżącą na podłodze, obrzucał obelgami, plugawymi wyzwiskami, przekleństwami, pluł w twarz oraz charcząco pytał o miejsce przebywania »Bruzdy« i »Mścisława«. […] Pastwił się z potwornym sadyzmem i okrucieństwem. Funkcjonariusze stojący po lewej stronie kopali mnie również ze wściekłością […]. Ból tamował mi oddech; wiedziałam, że mnie zabiją, ale odczuwałam wielki triumf. Pozostałam wolna. Słona krew w ustach orzeźwiała mnie. Modliłam się żarliwie myślami: Boże, przyjmij ducha mego. Boże, daruj im, bo nie wiedzą, co czynią!

Gdy wciąż milczałam, opasły oficer z prawej strony zaczął bić mnie po głowie, doprowadzając do śmierci klinicznej. Wówczas przeżyłam niezwykłą chwilę, w której nie czułam bólu, a moja świadomość funkcjonowała jakby w pozaziemskich regionach. […] Przez cały czas tej okrutnej kaźni – trudno uwierzyć – odczuwałam litość nad moimi dzikimi oprawcami, tak bardzo zaślepionymi nienawiścią. Przytomności nie straciłam ani na chwilę. Nie mogłam tylko wykonać żadnego ruchu. Oficer nieustannie bijący mnie powiedział: »Uże padachła, wybrasit' polskuju suku w jamu« (Już zdechła, wyrzucić polską sukę do dołu) – słów tych nigdy nie zapomnę. Funkcjonariusze chwycili mnie za ręce i nogi i po schodach ściągnęli do piwnicy, rzucili na cement. […]".

„Iskrę" zawieziono do rosyjskiego szpitala wojskowego przy ulicy Mickiewicza. W szpitalu stwierdzono złamanie kręgosłupa, zmiażdżenie kręgów lędźwiowo-piersiowych, złamanie prawej nogi, wybicie bocznych zębów. Jak wspominała, w tych strasznych cierpieniach ulgę niosły jej dwie osoby: Matka Boża i mama – które widziała niemal fizycznie, pochylone nad nią, gdy tylko zamykała oczy. Postać Matki Bożej jawiła się taka, jak na obrazie otrzymanym na pamiątkę wstąpienia do Sodalicji Mariańskiej. Wszystkie jej myśli i uczucia były „jedną modlitwą". Stan był bardzo ciężki. Codziennie przychodził do „Iskry" enkawudzista w cywilnym ubraniu i prowadził śledztwo. Choć bardzo cierpiała, lekarze w żaden sposób jej nie pomogli. Była zaniedbana, niemyta, zawszona, pokryta zasuszoną krwią.

Po dwóch miesiącach przewieziono dziewczynę odkrytą ciężarówką do innego szpitala rosyjskiego przy ulicy Warszawskiej. Śledczy obiecywali, że jeżeli powie gdzie przebywa „Bruzda", zostanie wypuszczona na wolność. „Iskra" konsekwentnie cały czas milczała. W kwietniu 1945 roku trafiła do polskiego szpitala garnizonowego przy ulicy Lipowej.

Uwolnienie

O pobycie „Iskry" w szpitalu przy ulicy Lipowej „Bruzda" dowiedział się od rodziców dziewczyny. Natychmiast przystąpił do przygotowań do akcji odbicia swojej byłej łączniczki. Dwukrotnie jeździł do Białegostoku Witold Lipiński „Szczedroń", aby sporządzić plan sytuacyjny. Za drugim razem, na tydzień przed akcją, udało mu się nawet zobaczyć z „Iskrą" i uprzedzić ją o tym, co się szykuje. Do przeprowadzenia odbicia „Iskry" partyzanci zdobyli na szosie Grajewo–Białystok w Puszczy Knyszyńskiej ambulans poczty wojskowej. Za kierownicą samochodu siadł „Bruzda".

20 kwietnia 1945 roku siedmioosobowy oddział partyzantów Armii Krajowej Obywatelskiej podjechał pod szpi-

eprasa.pl 2e2f033bb9

tal zarekwirowanym samochodem. Oprócz mjr. „Bruzdy" byli: Stanisław Marchewka „Ryba", Piotr Kopacz „Sokolik", Stanisław Chojnowski „Komar", Witold Lipiński „Szczedroń", Władysław Wesołowski „Jastrząb" i NN „Cezar". W pierwszej kolejności zostali obezwładnieni wartownicy. „Szczedroń", „Sokolik" i „Cezar" poszli do sali po „Iskrę". Kiedy okazało się, że nosze są uszkodzone, znieśli dziewczynę na sienniku. Pozostali partyzanci ubezpieczali wejście i korytarz szpitalny. W samochodzie z włączonym silnikiem czekał za kierownicą „Bruzda". Ostatni do samochodu dotarł „Ryba" z dwoma rozbrojonymi żołnierzami w polskich mundurach, którzy pilnowali „Iskry". Dziewczyna dostała do ręki ampułkę z trucizną „na wszelki wypadek". Kiedy samochód ruszył, w szpitalu rozległ się alarm.

Kilka kilometrów za miastem żołnierze ze szpitala zostali uwolnieni, a do samochodu wsiadła młodsza siostra „Iskry", Stasia, co sprawiło „Iskrze" ogromną radość. Samochód poruszał się bocznymi drogami, na wybojach partyzanci podnosili siennik z ranną dziewczyną, aby chronić uszkodzony kręgosłup. Przez rzekę Narew przeprawiono się promem w okolicy Wizny. Ostatni odcinek drogi został pokonany furmanką.

„Iskra" była ukrywana w miejscowości Jeziorko koło Łomży. Nawet na moment nie odstępowała od niej siostra Stasia. Po miesiącu najbliższy współpracownik mjr. „Bruzdy", ppor. Stanisław Marchewka „Ryba", zawiózł „Iskrę" furmanką do Warszawy. Warto dodać, że ten nieustraszony partyzant nie znał ani drogi do Warszawy, ani miasta. Dziewczyna trafiła do szpitala na Pradze, gdzie zajął się nią lekarz ortopeda profesor Wiktor Dega. To on uratował kręgosłup „Iskry". Była to pierwsza profesjonalna pomoc medyczna udzielona po pół roku od urazu. Profesor Dega był nie tylko wybitnym lekarzem, lecz także patriotą – brał udział w wojnie bolszewicko-polskiej w 1920 roku, w wojnie obronnej w roku 1939, w Powstaniu Warszawskim.

Po pobycie w szpitalu „Iskra" zamieszkała w klasztorze sióstr józefinek przy ulicy Wilczej razem ze swoją nieodłączną opiekunką – siostrą Stasią. W 1946 roku, leżąc na noszach, zdała egzamin na Wydział Historii Uniwersytetu Warszawskiego. Miała wielkie szczęście słuchać w czasie studiów wykładów przedwojennych profesorów, m.in. Stanisława Herbsta, Władysława Tatarkiewicza, Tadeusza Kotarbińskiego, Stefana Świeżawskiego, Tadeusza Manteuffla. Jej mentorem był profesor Stefan Kieniewicz, z którym później przez kilkadziesiąt lat blisko współpracowała. Łączyły ich nie tylko wspólne zainteresowania historią powstania styczniowego, lecz także wspólnota wartości, prof. Kieniewicz, podobnie jak „Iskra", był człowiekiem głęboko wierzącym.

Gdy Europa Zachodnia świętowała dzień zwycięstwa nad Niemcami, w nocy z 8 na 9 maja 1945 roku z lasów niedaleko od strony Grajewa wyruszyli partyzanci poakowskiego podziemia. Około dwustuosobowe zbrojne zgrupowanie, dowodzone przez mjr. Tabortowskiego „Bruzdę", opanowało miasto Grajewo. Zdobyto budynki Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i Komendy Powiatowej Milicji Obywatelskiej. Z aresztu uwolniono ponad 60 więźniów. Zajęto siedziby Starostwa i Urzędu Skarbowego, skąd zabrano przydatne urządzenia, dokumenty oraz pieniądze. Całe miasto na kilka godzin znalazło się w rękach partyzantów. Akcja ta odbiła się szerokim echem na ziemiach nad Narwią i Biebrzą. Była to demonstracja siły organizacji niepodległościowej, niegodzącej się na okupację bolszewicką. W drodze powrotnej partyzanci mjr. „Bruzdy" rozbili posterunek MO w Szczuczynie.

Dwa dni później, 11 maja, sześcioosobowy patrol partyzantów pod dowództwem mjr. „Bruzdy" zaatakował jadącą samochodem grupę operacyjną Komendy Głównej MO z Warszawy. Oddział ten od marca uczestniczył w obławach, m.in. na terenie Obwodu Łomża. Z 20 funkcjonariuszy 16 zostało zabitych, czterech funkcjonariuszy rozebrano i puszczono wolno. Od października 1945 do marca 1947 roku „Bruzda" stał na czele łomżyńskiego Zrzeszenia WiN.

Z dedykacją od Herberta

„Bruzda" uważał, że w konspiracji powinni zostać tylko ci, którzy muszą, zagrożeni aresztowaniem. 25 marca 1947 roku ujawnił się w PUBP w Łomży, miesiąc później ujawniła się „Iskra". Jesienią 1947 roku „Bruzda" wyjechał do Warszawy z zamiarem ułożenia sobie życia poza partyzantką. 1 października rozpoczął studia w Szkole Głównej Handlowej, miał jednak kłopoty ze znalezieniem pracy, mieszkania. Pomieszkiwał kątem u różnych znajomych. Kilkakrotnie spotkał się z „Iskrą". W liście do matki mieszkającej w Szczecinie pisał: „[…] Jeśli chodzi o F. [Franciszkę – przyp. D.J.], to widujemy się dość rzadko, bezwzględnie jest to moja jedyna przyjemność […]". Z zachowanych listów do matki i siostry przebijały przygnębienie i smutek. Nie utrzymywał kontaktów towarzyskich. Czterdziestokilkuletni mężczyzna, do niedawna pełen energii, coraz bardziej popadał w apatię. Żył w niepewności, dowiadując się o aresztowaniach kolegów z partyzantki. Inwigilowany przez komunistów i zagrożony aresztowaniem, wiosną 1950 roku podjął decyzję o powrocie do podziemia.

Wyjechał w Łomżyńskie i w rejonie bagien biebrzańskich zorganizował obóz partyzancki. Przez cztery lata żył z kilkoma towarzyszami walki niczym zwierzyna łowna. Zginął podczas ataku na posterunek milicji w Przytułach w sierpniu 1954 roku. Ciało „Bruzdy" zostało zabrane przez funkcjonariuszy UB do Białegostoku i pochowane w nieznanym miejscu. Dowództwo nad kilkuosobową grupą partyzantów przejął po „Bruździe" jego przyjaciel i żołnierz, por. Stanisław Marchewka „Ryba", który zginął trzy lata później, w 1959 roku.

eprasa.pl 2e2f033bb9

Franciszka Ramotowska, nazywana przez bliskich Tolą, w roku 1950 obroniła pracę magisterską na temat „Polityka włościańska Stronnictwa Ruchu w latach 1861–1862".

W latach 50. zawiązała bliskie relacje ze Zbigniewem Herbertem. Mieszkał niedaleko, przy ulicy Wiejskiej. Poetę i archiwistkę zbliżyły do siebie bieda i jednakowy stosunek do bolszewii. Podobno Herbert podkochiwał się w pięknej Toli, zwykł był kupować u warszawskich kwiaciarek bukieciki stokrotek i klękając na chodniku oświadczać się, mówiąc: „Pani Tolu, kocham Panią". Podarował jej swój pierwszy tomik wierszy „Struna światła" (1956) z dedykacją: „Pani Franciszce Marii Ramotowskiej w dowód przyjaźni pamiętającej jeszcze powstanie styczniowe – wdzięczny autor".

1 marca 1951 roku „Iska" rozpoczęła pracę w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie. Pracowała tutaj do 31 sierpnia 2001 roku, czyli przez 50 lat. Pracę w archiwum poznała, jeszcze będąc na studiach. Miejscem pracy była ciasna kuchenka w Pałacu pod Blachą. Z ruin Warszawy zwożono worki z dokumentami wraz z gruzem i śmieciami. Podstawowymi narzędziami pracy były ścierki i nadłamane szczotki. W kuchence nie było prądu, więc wieczorami pracowała przy świetle karbidówki.

„Przeszłość akowska odbiła się bardzo negatywnie na przebiegu mojej pracy zawodowej i naukowej, jak i na życiu osobistym" – wspominała Franciszka Ramotowska. „Łączyły się z tym bezpośrednio dwa fakty: wytropienie mnie w 1951 r. przez władze bezpieczeństwa (w tym to roku po raz pierwszy zauważyłam, że jestem śledzona, ale prawdopodobnie byłam pod obserwacją polityczną znacznie wcześniej, tylko o tym nie wiedziałam) oraz utrata zdrowia w następstwie przeżyć więziennych w Białymstoku i późniejszych badań przez funkcjonariuszy UB. Nieszczęścia te było mi tym trudniej znosić, że nikt (lub prawie nikt) z mego najbliższego otoczenia w miejscu zamieszkania, w archiwum, na uniwersytecie i w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk o nich nie wiedział. Mimo cierpień fizycznych i moralnych musiałam na zewnątrz pozorować stan normalności, a głęboki smutek ukrywać i maskować. Nie zawsze mi się to udawało, toteż w opinii niektórych osób uchodziłam czasami za osobę »dziwną«, »ponurą«".

Pani Profesor Tola

Dosłownie po kilku pierwszych dniach pracy w Archiwum Franciszka Ramotowska została porwana z ulicy do samochodu i przez ponad dobę, bez jedzenia i picia, przesłuchiwana w budynku przy ulicy Różanej na Mokotowie. Jedynie w odróżnieniu od śledztwa NKWD, ubecy nie stosowali fizycznych tortur. Pytali o „Bruzdę", o to, kto ją wykradł ze szpitala, u kogo ją ukrywano. Podobnie jak w Białymstoku – nie odpowiadała na zadawane pytania.

Kiedyś ubecy urządzili jej zimą, przy trzydziestostopniowym mrozie, „spacer" nocą nad Wisłą. Jak zwykle pytali, gdzie jest „Bruzda". Notabene o „Bruzdę" pytali nawet wówczas, kiedy zginął. Po „spacerze" dostała zapalenia płuc i omal nie przypłaciła tego życiem. Przyplątały się też inne choroby. Przez wiele miesięcy nie mogła dojść do zdrowia.

Zdarzało się, że nawet dwa–trzy razy w tygodniu zabierana była na przesłuchania, więc nosiła ze sobą środki higieny, bieliznę osobistą i sweter. Franciszka Ramotowska doświadczała istnienia Służby Bezpieczeństwa do1989 roku.

W pracy naukowej do końca życia pozostała wierna tematowi polskich powstań narodowych XIX wieku, a szczególnie epoce powstania styczniowego. Nie sposób tu nie dostrzec inspiracji własną działalnością konspiracyjną, patriotyczną, a także działalnością wybitnego przodka, powstańca listopadowego i styczniowego, wspomnianego już Józefa Konstantego Ramotowskiego ps. „Wawer". Prace naukowe powstawały równolegle do opracowań pomocy archiwalnych.

W 1966 roku Rada Wydziału Historycznego UW przyznała jej tytuł doktora nauk humanistycznych za rozprawę napisaną pod kierunkiem jej mistrza, prof. Stefana Kieniewicza, pt. „Rząd carski wobec ruchu narodowego w Polsce w okresie manifestacji 1861/1862". Na podstawie dorobku naukowego i rozprawy habilitacyjnej „Rząd Narodowy Polski w latach 1863–1864 (skład, organizacja, kancelaria)" Rada Naukowa Instytutu Historii PAN nadała jej tytuł doktora habilitowanego. W 1986 roku uchwałą Rady Państwa przyznano jej tytuł profesora nadzwyczajnego nauk humanistycznych, w tym samym też roku otrzymała mianowanie na profesora nadzwyczajnego w Archiwum Głównym Akt Dawnych.

Opus vitae Franciszki Ramotowskiej to monografia pt. „Tajemne państwo polskie w Powstaniu Styczniowym 1863–1864. Struktura organizacyjna".

Słowa Klemensa Górskiego, siostrzeńca Franciszki Ramotowskiej, najlepiej chyba ją określają: „[…] Tola pozostawała osobą mało znaną, żyjącą odludnie, utrzymującą niewiele bliższych kontaktów towarzyskich, nieskazitelnie uprzejmą i uczynną, a przy tym niesamowicie wprost pracowitą – jakby cała pragnęła się ukryć i spełnić w tej pracowitości".

Ostatnie lata życia Franciszka Ramotowska „Iskra" spędziła u siostry Stanisławy w Białymstoku. Zmarła 25 października 2003 roku. ■

Źródła: Sławomir Poleszak, „Jeden z wyklętych Major Jan Tabortowski »Bruzda«", Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 1998; Franciszka Ramotowska, „W szponach NKWD (Fragment Wspomnień)", Miscellanea Historico-Archivistica, t. XV-XVI ISSN 0860-1054 VI; Klemens Górski, „Postscriptum: Tola nieznana", Miscellanea Historico-Archivistica, t. XV-XVI ISSN 0860-1054.

eprasa.pl 2e2f033bb9

Piotr Lisiewicz

Drodzy Moskale! Przyjaciele Moskale, opiekunowie Moskale, bracia Moskale! – Bodaj was syfilis jadł, a cholera zamykała powieki, bodaj każde dziecko wasze rodziło się bez mózgu, bodaj wasze żony szczenięta rodziły" – pisał Stefan Żeromski w swoim osobistym dzienniku, nieprzeznaczonym ówcześnie do druku. Żeromski nazywany był rusofobem, dlatego że Rosję znał i rozumiał. Dziś w dziale Retrospekcje mały wybór tekstów pisarza o Rosji, Rosjanach i Polakach z Rosją kolaborujących. Pierwszy to artykuł „Sędzia »Obrusitiel«", mówiący o antypolskim charakterze rosyjskiej literatury, także tej „postępowej". Później mamy dwa fragmenty z „Przedwiośnia". Pierwszy to genialny obrazek, jak na mających zdobywać Warszawę bolszewików przeklina i pomstuje „Jejmość przedpraska", czyli starsza, prosta kobieta, czująca wyższość wobec nadchodzącej kacapskiej hołoty. Kolejny fragment „Przedwiośnia" to Rosja w oczach ojca Cezarego Baryki, XIX-wiecznego inteligenta, rosyjskiego urzędnika, który pozostał gorącym polskim patriotą. Rosja cuchnąca zbrodnią. Na koniec najlepsze: genialne i arcyaktualne fragmenty opowiadania Żeromskiego „Na probostwie w Wyszkowie", na temat Polaków gotowych służyć obcej władzy.

Stefan Żeromski

Sędzia „Obrusitiel"

„W Rosyi ojczyzna znaczy stanowoj pristaw (żandarm okręgowy)" – szydził Szczedrin. Takie właśnie rozumienie ojczyzny rozciągnęło się tam i na umysły najbardziej rozwidnione, wsiąkło w nie, jak zarazek, i jako integralna część organizmów psychicznych, przechodzi dziedzicznie z pokoleń na pokolenia.

Ci nawet z pomiędzy beletrystów rosyjskich, którzy szlachetnie walczą pod hasłem sprawiedliwości społecznej i humanizmu, nie zdradzają bynajmniej współczucia i sympatyi względem idej, podtrzymujących oddech narodu polskiego. Z wyjątkiem jednego bodaj Włodzimierza Sołowjewa, śmiało i bezwzględnie nawołującego społeczeństwo rosyjskie do wymierzenia sprawiedliwości skrzywdzonej Polsce (Kwestya nacyonalizmu w Rosyi) – nie można wskazać żadnego pisarza, któryby stawał w obronie naszej, wobec niezliczonej zgrai prokuratorów niszczenia i wynaradawiania. Genialny melancholik północy Iwan Turgieniew mówił o sobie umierając, że był zawsze „prawdiw i czestien" (prawdomówny i szlachetny) – miał jednak tyle tej szlachetności, że pisał broszury, popierające system wynaradawiania w Królestwie. Wprawdzie szkicował czasami tendencyjnie dodatnie sylwetki Polaków i Polek (Kwieciński w powieści Stiepnoj Korol Lir, bohaterka pow[ieści] Now'), lecz są to raczej kontrasty, pomysły przygodne i środki artystyczne do oświetlenia niedołęstwa lub małostkowości w postaciach rdzennie rosyjskich. Dostojewskij – ten mistyk altruizmu, poeta litości, jak go nazywa Brandes, nienawidził Polaków nie gorzej od Katkowa i wyszydzał wady tych nawet, którzy ginęli w kopalniach sybirskich. Szczedrin – najbardziej może oryginalny, niedoceniony pisarz naszego wieku, nieskazitelny rzecznik praw człowieka, dalekowidzący mędrzec, chłostał aż do zaciekłości swym dowcipem, subtelniejszym bez wątpienia, niż dowcip Dickensa, i zjadliwszym ,niż dowcip Heinego, – ten „szereg kolosalnych nieporozumień", jakim, według niego, jest Rosya współczesna, – dla nas jednak nie miał w swym niewyczerpanym arsenale ani jednej skałki. Inni, młodsi, jak Gleb Uspienskij, Wsiewołod Garszin, Macztiet, Korolenko i t.d., jeśli nie utrzymują się w tonie Dostojewskiego, – to milczą. Nie lepiej traktuje sprawę naszą wolny od cenzury, poza granicami caratu istniejący odłam piśmiennictwa rosyjskiego. Programaty najbardziej nieprawdopodobne i od rzeczywistości dalekie wspominają o „całości państwa" i nie zwracają uwagi na różnice narodowe i historyczne.

Jeżeli w beletrystyce rosyjskiej zjawiają się kiedykolwiek mdłe, półszczere i półświadome sympatie względem uciśnionych politycznie, to noszą na sobie zawsze pewną charakterystyczną cechę. Zachodzi pod tym względem analogia między poglądami mistyków północy wszelkich odcieni a poglądami socyalistów międzynarodowych; pierwsi i drudzy zwracają uwagę na ucisk narodowościowy o tyle, o ile ich do tego zmuszą niejako szematy teoryi społecznych. Trzeba, ażeby im dowiedziono, że nie idzie o prawa rozwoju narodu, lecz o ucisk takiej grupy etnicznej, która stała się supra-organizmem, pewnego rodzaju

eprasa.pl 2e2f033bb9

klasą społeczną – i wówczas dopiero zyskuje się ich uwagę. Przed kilkoma laty ukazała się powieść Łanskoja p. t. Obrusitieli (Rusyfikatorowie), zohydzająca sfory wyrzutków moskiewskich, działające w miasteczku podolskiem.

Satyra ta, nawiasem mówiąc, pisana bez talentu, odznaczała się takiem właśnie wtłoczeniem kwestyi w ramy zagadnień społecznych.

Na jesieni w roku zeszłym zawitała na wystawy księgarni rosyjskich w Warszawie powieść p.t. Blednow, lecz znikła stamtąd wkrótce. Czemu przypisać należy kwarantannę wobec tak niewinnych utworów – zrozumieć trudno, powieść ta bowiem nie przyniosła żadnych owoców z drzewa wiadomości złego i dobrego, wyśmiewa tylko, daleko niedołężniej, niż to czyni Szczedrin lub Macztiet, – świat urzędniczy, lecz bohater działa w Warszawie [...] Najciekawszą jednak jest przebijająca między wierszami książki myśl autora. Myśl ta należy zapewne do kategoryi względnie uczciwych, ale pokazuje zarazem wydatnie ów grzech pierworodny altruizmu północnego: nieświadome hołdowanie niewoli.

„W Rosyi ojczyzna znaczy stanowoj pristaw (żandarm okręgowy)" – szydził Szczedrin. Takie właśnie rozumienie ojczyzny rozciągnęło się tam i na umysły najbardziej rozwidnione, wsiąkło w nie, jak zarazek, i jako integralna część organizmów psychicznych, przechodzi dziedzicznie z pokoleń na pokolenia.

Ci ludzie nie rozumieją absolutnie „chowania w sercu ognia świętego", nie kochają ojczyzny dla niej samej, jako największego na ziemi dobra, nie mogą też należycie ocenić wartości głuchej, zaciekłej i skrytej obrony swego kulturalnego typu, swej mowy, swego obyczaju, jaką spotykają w Warszawie. Pokrowskij nie może odtworzyć polskości warszawskiej, istnienie której i piękność przeczuwa w tyradach adw. Barzęckiego i w myślach ucznia Kędzierskiego, – bo i dla niego choć o tem nie wie, ojczyzna – to stanowoj pristaw. ■

Przedruk za: Stefan Żeromski, „Elegie i inne pisma literackie i społeczne", J. Mortkowicz, 1928.

Stefan Żeromski

Przyszedłeś Warszawę zdobywać, śmierdziuchu moskiewski?

Kiszki ci się skręcają, boś cztery dni w gębie nic nie miał. Dobrze ci tak, świnio nieoskrobana! Nie chodź w cudzy groch, bo to nie twój, świński ryju, tylko cudzy. Rozumiesz mię, jeden z drugim?... Żebym tak miała z parę koszyków ziemniaków, jak nie mam, tobym nagotowała w łupinach i dała wam w korycie żreć, świnie wygłodniałe!...

Aliści z ostatniego przydrożnego domku, z niskiej przedmiejskiej sadyby, wściekle odmalowanej na kolor niebieski, gdzie mieścił się szynczek, ostatni pocieszyciel dla opuszczających miasto i pierwszy wielkiej stolicy na tej szosie zwiastun – wytoczyła się jejmość niska a pękata, gruba jak komoda. Długo przypatrywała się mijającym szóstkom bolszewickich żołnierzy. Aż nie mogła wytrzymać: podparła się w boczki, wyskoczyła przed front jeńców i jęła wygrażać im pięściami. Jak opętana od diabła, miotając się tu i tam, krzyczała:

– Przyszedłeś Warszawę zdobywać, śmierdziuchu moskiewski, jeden z drugim?...

Dawno cię tu nie widzieli, mordo sobacza? Jużeś naszych zwyciężył?...

Idziesz zasiadać w kucki na złotej sali w królewskim zamku?...

Jeńcy spoglądali na tę przykrótką wiedźmę z powagą, a nie bez obawy w oczach. Nie wiedzieli przecie, do czego taka poczwara może zachęcać żołnierzy z karabinami u nogi. A nuż do rzezi? Babsko miotało się przed szeregiem, coraz głośniej wywrzaskując:

– Co to za mordy astrachańskie, moje państwo kochane! Jakie to mają cylinderki morowe, ciepłe na tę porę! E – franty! A dopiero buty na nich – klasa! Jakimi to ślepkami na nas kłapią! A buzie jakie to poczciwe! Każdy jakby z dzbanuszka wyliżał. A wszystko, moje państwo kochane – z głodu.

Przedefilowała przed kolumną jak generał idąc w stronę Radzymina – zlustrowała szeregi i znowu zawrzeszczała:

eprasa.pl 2e2f033bb9

– Żarłbyś jeden z drugim własne guziki od portek, żebyś je tak miał, jak nie masz, kałmuku z krzywymi ślepiami! Boś nawet jeszcze do noszenia portek nie doszedł. Kiszki ci się skręcają, boś cztery dni w gębie nic nie miał. Dobrze ci tak, świnio nieoskrobana! Nie chodź w cudzy groch, bo to nie twój, świński ryju, tylko cudzy. Rozumiesz mię, jeden z drugim?

Ostatnie zapytanie wykrzyknęła najgłośniej, jakby w oczekiwaniu odpowiedzi. Gdy zaś nikt nie odpowiedział, a szeregi szły dalej za szeregami, wyjaśniła tajemnicę groźnego pytania:

– Żebym tak miała z parę koszyków ziemniaków, jak nie mam, tobym nagotowała w łupinach i dała wam w korycie żreć, świnie wygłodniałe!… Nie mogę, moje państwo kochane, patrzeć na te głodne ryje. No, nie mogę!

W istocie jejmość przedpraska cofnęła się nieco w tył, bo też i kurzawa bijąca spod nóg jeńców zawaliła wszystko. Czoło kolumny było już pewnie na moście wiślanym, a koniec jej jeszcze nie wkroczył na przedmieście praskie. Nareszcie się przewalili. Pył opadł. Oddziałek, w którym tkwił Cezary Baryka, wyruszył w drogę. Miało się pod wieczór. Ciemna i chmurna noc schodziła na szosę, gdy wymijano ostatnie umocnienia z drutu i szeregi rowów na pobrzeżu lasów. Szerokie błotne rozlewiska ciągnęły się tutaj po obydwu stronach szosy, zagradzając nieprzyjacielowi drogę do stolicy. Lecz nigdzie tu już nieprzyjaciela nie było. Tylko po obydwu stronach bitej drogi widniały ciemne doły, każdy z osłoną skierowaną w stronę Warszawy. Były to najdalej ku niej wysunięte forpoczty Moskwy, równolegle i symetrycznie wybrane w mazowieckiej ziemi. ■

Przedruk za: Stefan Żeromski, „Przedwiośnie", J. Mortkowicz, 1928.

Stefan Żeromski

Moskwa cuchnie zbrodnią

W Moskwie cuchnie zbrodnią. Tam wszystko poczęte jest ze zbrodni, a skończy się na wielkich i świetnych karierach nowych panów Rosji, którzy zamieszkają w pałacach carskich i jusupowskich, odzieją się w miękkie szaty i stworzą nową, czynowniczą i komisarską arystokrację, nową nawet plutokrację, lubującą się w zbytku i zepsuciu starej.

Czyż ten ojciec był burżujem, stronnikiem bogaczów i pochlebców bogaczów? – Nie. Czy był stronnikiem starego porządku rzeczy? – Nie. Jakże tedy – dlaczego nie chciał współpracować w sprawie przewrotu? Znał przecie tę potęgę, która wyzwalała robotników świata z pęt ucisku przemysłowców i zdzierców. Bywał na wszelakich wiecach w Moskwie i słuchał najciekawszych referentów. Nie tylko tyle; w drodze swej do Baku przewędrował całą Rosję, przewiercił ją jak ów małż niepozorny, skałotocz-palczak, który w ciemności swej przeszywa potężne skały. Znał nie tylko zewnętrzne agitacyjne mityngi i półzewnętrzne urzędy, na starych oparte śmieciach, lecz i tajne kancelarie nowych despotów, szpiegowskie zakamarki i obmierzłe więzienia, gdzie wskutek podejrzeń i na zasadzie szpiegowskich doniesień siadywał ramię w ramię z tymi, których po to wyprowadzano na światło, ażeby ich zgładzić. Znał piwnice zalane i zachlastane krwią i cuchnące od trupów. Powiadał, iż ten to trupi zaduch przeszkadza, żeby moskiewskie powietrze można było wciągnąć wolnymi i szczęśliwymi płucami. W tym zaduchu po masowych i sekretnych morderstwach, pośród krwawych orgii nie można się modlić wielkim tłumem: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie…" „W Moskwie – mówił – cuchnie zbrodnią. Tam wszystko poczęte jest ze zbrodni, a skończy się na wielkich i świetnych karierach nowych panów Rosji, którzy zamieszkają w pałacach carskich i jusupowskich, odzieją się w miękkie szaty i stworzą nową, czynowniczą i komisarską arystokrację, nową nawet plutokrację, lubującą się w zbytku i zepsuciu starej. Plebs będzie mieszkał po norach i smrodliwych izbach. Tam nie zaczęło się od budowania, od przetwarzania rzeczy lichych na lepsze, lecz od niszczenia, nie z miłości, lecz z pychy i zemsty. Nadaremnie znakomici komisarze będą odwaniać zapach morderstwa perfumami postępu". ■

Przedruk za: Stefan Żeromski, „Przedwiośnie", J. Mortkowicz, 1928.

eprasa.pl 2e2f033bb9

Stefan Żeromski

Na probostwie w Wyszkowie

Kto na ziemię ojczystą, chociażby grzeszną i złą, wroga odwiecznego naprowadził, zdeptał ją, stratował, splądrował, spalił, złupił rękoma cudzoziemskiego żołdactwa, ten się wyzuł z ojczyzny. Nie może ona być dla niego już nigdy domem, ni miejscem spoczynku. Na ziemi polskiej niema dla tych ludzi już ani tyle miejsca, ile zajmą stopy człowieka, ani tyle, ile zajmie mogiła.

Któż to byli ci trzej goście, którzy w tych izbach mienili się rządem polskim? Czy ich lud polski wybrał, czy ich ktokolwiek na tej ziemi mianował? Lud polski, czy naród polski, tak rozumiany, jak to jest w ich zwyczaju, nie naznaczał żadnego z nich na godność, którą sobie wybrali. Naznaczeni zostali przez kogoś zwyższa, w obcym kraju, w swym zespole, w swej partyi. Jako takich możnaby ich nazywać tylko komisarzami w znaczeniu, jakiego ten wyraz nabrał w opinii ludowej polskiej podczas długoletniej działalności komisarzy „po krestjańskim diełam", za poprzedniej inwazyi carów moskiewskich na ziemię polską. I tamci stawali przecie w obronie ludu polskiego wobec ucisku szlachty. Tamci także opierali pomoc swoją dla chłopów polskich na nieprzeliczonej ilości bagnetów. Jedna tylko różnica: tamci komisarze nie byli z naszego rodu. Krew polska nie płynęła w ich żyłach. Ci rodacy dla poparcia swej władzy przyprowadzili na nasze pola, na nędzne miasteczka, na dwory i chałupy posiedzicieli, na miasta przywalone brudem i zdruzgotane tyloletnią wojną – obcą armię, masę, złożoną z ludzi ciemnych, zgłodniałych, żądnych obłowienia się i sołdackiej rozpusty. W pierwszym dniu wolności, kiedyśmy po tak strasznie długiej niewoli ledwie głowy podnieśli, całą Moskwę na nas zwalili. Na ich sumieniu leżą zgwałcenia przez dzicz sołdacką naszych dziewcząt i kobiet. Na ich sumieniu leży zniweczenie nie zasobów i skarbów materyalnych, bo te mają wartość względną i mogą być powetowane, lecz zniszczenie zabytków przeszłości, unikatów, pamiątek po pradziadach, ojcach, dzieciach, potłuczenie kulami witraży i dzieł sztuki, bezmiernym trudem artystów wykonanych w kamieniu, drzewie, metalu, malowideł i tworów ludzkiego marzenia, utrwalonych w opornym materyale, które rzesza ciemna z moskiewskich rozłogów tutaj przygnana zdruzgotała, rozkradła, uszkodziła i uniosła, a które już nigdy ludzkich oczu cieszyć nie będą. Są bowiem przedmioty nie zbytku, lecz czystego artyzmu, które mają wartość wyższą, niż wszystko, które winny być niedotykalne, niedostępne, ponieważ mówią do nas z wieczności o wieczności, zamkniętej w nas samych. Za zniszczenie tych przedmiotów ci komisarze są odpowiedzialni. Oni to te wszystkie pisma, druki, zabytki i rzeczy sztuki podali do rąk nic niewiedzącego motłochu.

Zachodzi pytanie, jakim się to mogło stać sposobem, że, jak niegdyś carscy komisarze, tak obecnie sowieccy komisarze, znaleźli drogę do naszych miast i wsi, do naszych kościołów, domów i skarbów sztuki? Jakim się to stało sposobem, że zarówno tamci, jak ci, to tu, to tam znaleźli posłuch u naszego ludu? Trzeba to wyznać otwarcie i bez osłony, że lenistwo ducha Polski, cudem z martwych wskrzeszonej, ściągnęło na tego ducha batog bolszewicki. Polska żyła w lenistwie ducha, oplątana przez wszelakie gałgaństwo, paskarstwo, łapownictwo, dorobkiewiczowstwo kosztem ogółu, przez jałowy biurokratyzm, dążenie do karyery i nieodpowiedzialnej władzy […]

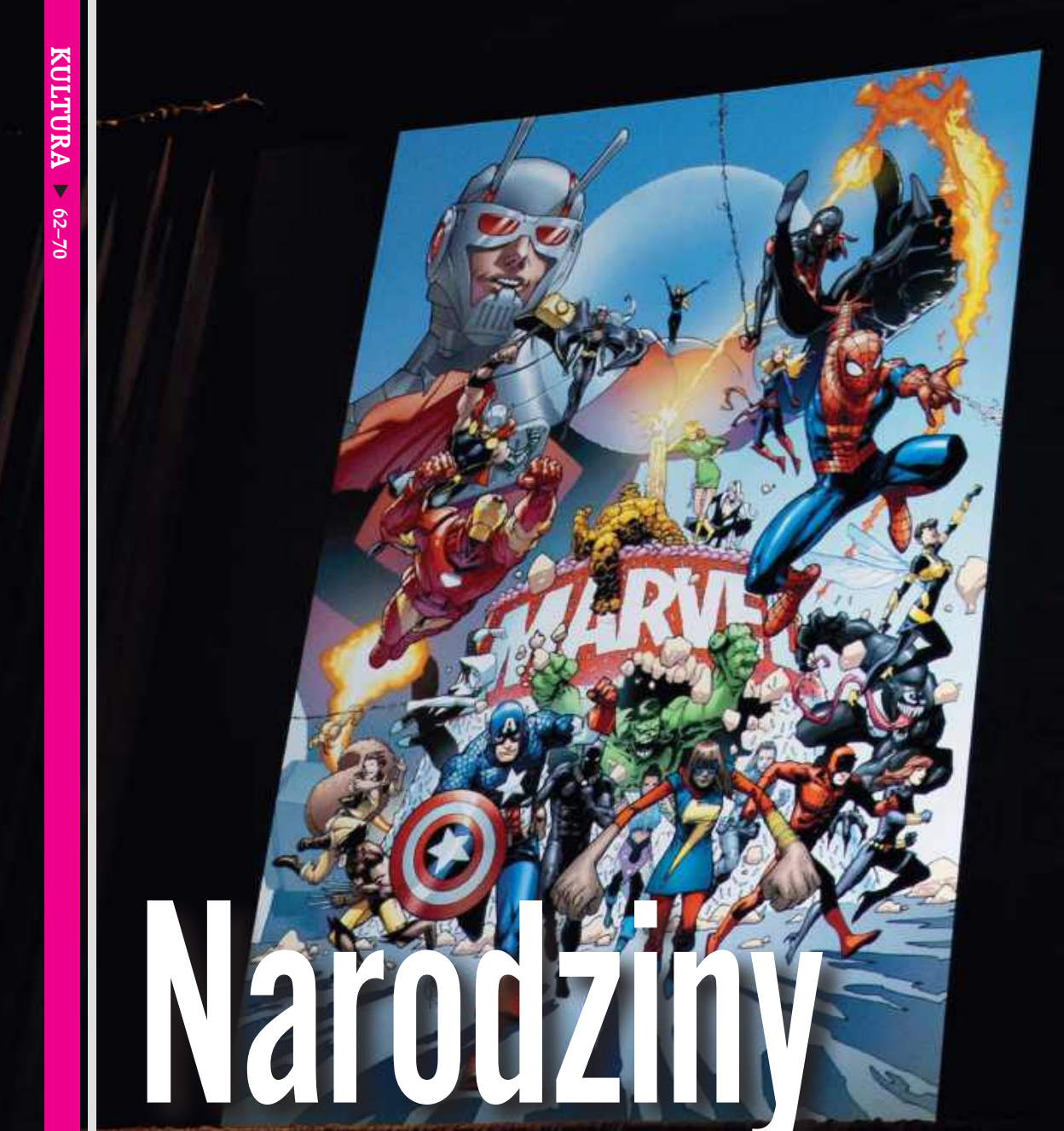
Na odgłos strzałów, rozlegających się za Bugiem dr Julian Marchlewski, jego kolega Feliks Dzierżyński pomazany od stóp do głów krwią ludzką, i szanowny weteran socyalizmu Feliks Kohn – dali drapaka z Wyszkowa. Pozostał po nich tylko wielki swąd spalonej benzyny, trocha cukru, oraz wspomnienie dyskursów, prowadzonych przy stole i pod jabłoniami cienistego sadu. Przed wyjazdem dr. Julian Marchlewski powtarzał raz wraz melancholijnie:

„Miałeś, chłopie, złoty róg,
Miałeś, chłopie, czapkę z piór…
Został ci się ino sznur"…

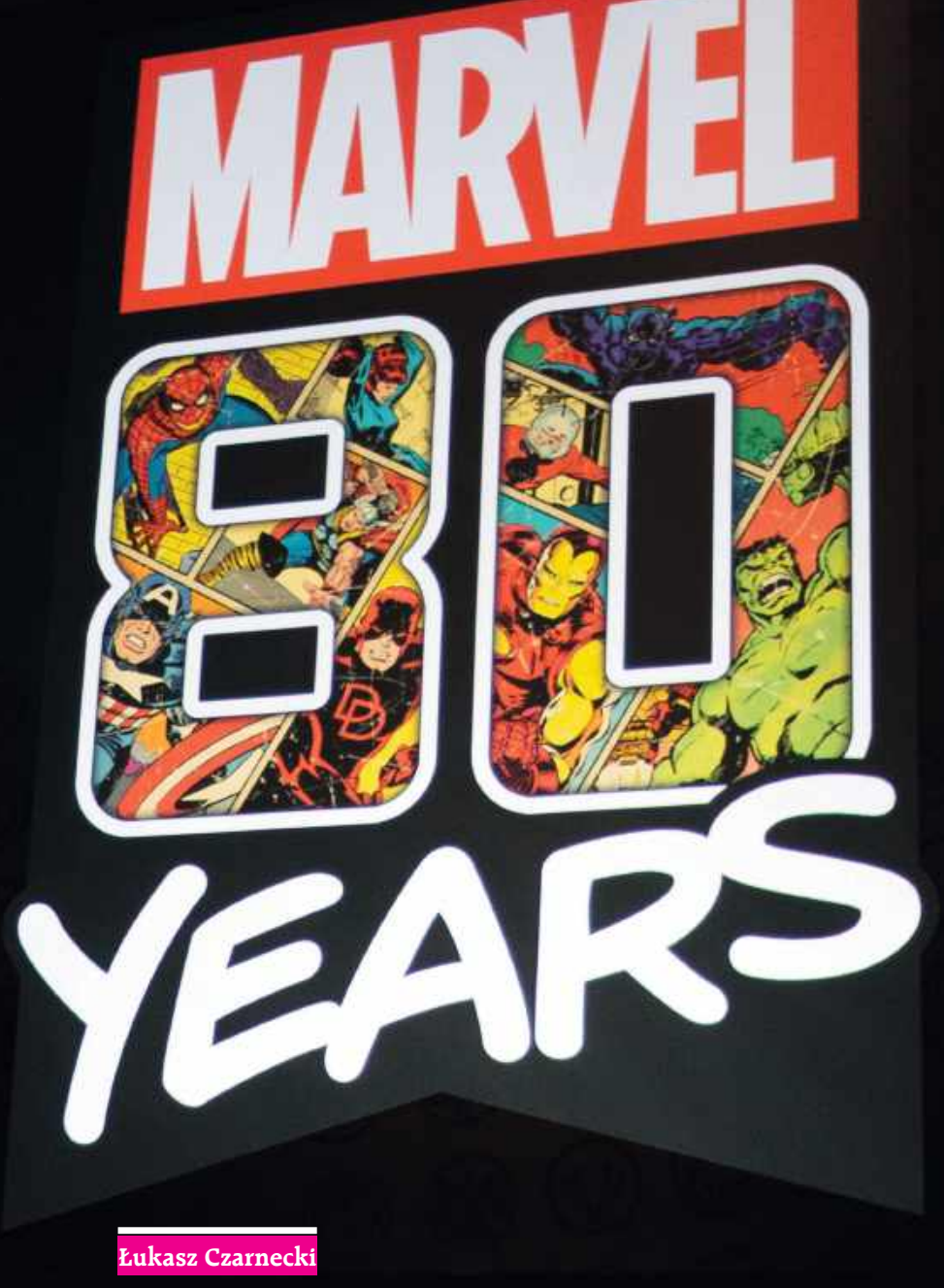
Jak w wielu innych rzeczach, tak i tutaj, niedoszły władca mylił się zasadniczo. Złotego rogu Polski, wcale w ręku nie trzymał. Czapka krakowska również mu nie przystoi. Jeżeli jaki strój, to już chyba okrągła, aksamitna czapeczka moskiewska, obstawiona wokoło pawiemi piórami prędzej mu będzie pasowała. Tę już do końca życia nosić mu wypadnie. Nawet do biednego sznura od polskiego złotego rogu nie ma prawa ten najeźdźca. Kto na ziemię ojczystą, chociażby grzeszną i złą, wroga odwiecznego naprowadził, zdeptał ją, stratował, splądrował, spalił, złupił rękoma cudzoziemskiego żołdactwa, ten się wyzuł z ojczyzny. Nie może ona być dla niego już nigdy domem, ni miejscem spoczynku. Na ziemi polskiej niema dla tych ludzi już ani tyle miejsca, ile zajmą stopy człowieka, ani tyle, ile zajmie mogiła. Złoty róg Polski trzyma w ręku z przepotężnej swej siły młode narodu pokolenie. I zadmie weń lada dzień lada godzina pobudkę nową, nową pieśń życia, od której rozradują się kości pradziadów, dziadów i ojców, rozraduje się młoda krew, co za tej burzy sierpniowej spłynęła z ran w biedną polską ziemię. ■

Przedruk za: Stefan Żeromski, „Na probostwie w Wyszkowie", Pisma Stefana Żeromskiego, J. Mortkowicz 1928.

eprasa.pl 2e2f033bb9



Narodziny herosów



FOT. ADAM S DAVIS/PAP/EPA

Łukasz Czarnecki

W drugiej i trzeciej dekadzie XXI wieku żadne filmy nie gromadzą w kinach tyle widzów co ekranizacje amerykańskich komiksów. Produkcje te stanowią kulturowy fenomen. Zanim jednak ich bohaterowie zagościli na ekranach, przez całe dekady egzystowali na kartach komiksów. Skąd się jednak wzięli?

W latach 20. i 30. olbrzymią popularnością wśród czytelników amerykańskich gazet cieszyły się publikowane na ich stronach paski komiksowe. Te krótkie, zabawne historyjki dawały odetchnąć po lekturze poważnych wiadomości. A było to potrzebne, bo wielki kryzys, rozwój faszyzmu i komunizmu oraz wiszące nad światem widmo nowej wojny sprawiały, że łamy dzienników nie przynosiły zbyt wielu powodów do radości.

W roku 1933 nowojorski biznesmen Max Gaines wpadł na prosty pomył, dzięki któremu można było zarobić grube pieniądze. Doszedł do wniosku, że skoro ludzie czytają komiksy ukazujące się w gazetach, to z wielką przyjemnością sięgną po antologie gromadzące w jednym tomie wszystkie przygody ulubionych postaci. W efekcie na rynek trafiło 35 tys. egzemplarzy pierwszego albumu „Famous Funnies". Rozeszły się błyskawicznie, a pomysł podchwyciła konkurencja – koncerny wydawnicze prześcigały się w produkcji kolejnych antologii. Szybko cały dostępny na rynku materiał został wykorzystany.

Trzech panów, alkohol i naga kobieta

Rok 1935 przyniósł kolejny przełomowy krok w dziejach komiksu. Wtedy to właśnie były oficer amerykańskiej kawalerii – major Malcolm Wheeler-Nicholson – założył firmę Nation Allied Publications i wypuścił na rynek magazyn „New Fun Comics". Na jego łamach nie odgrzewał starych kotletów, lecz serwował zupełnie nowe wymyślone specjalnie na potrzeby czasopisma historie obrazkowe. Sęk w tym, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju i choć może się to wydawać zaskakujące, major kokosów na swoim pomyśle nie zbił. Mało tego, opublikowawszy pięć numerów, znalazł się na skraju bankructwa i musiał szukać inwestorów. Tych znalazł zaś w niezwykłym duecie – Harrym Donenfeldzie i Jacku Liebowitzu.

Dżentelmeni ci znali się od dziecka, razem wyrośli w żydowskiej dzielnicy Nowego Yorku. Obaj byli też niezwykle zaradni, choć w wypadku pierwszego z nich zaradność owa nie budziła zbytniej sympatii. Donenfeld stworzył pod nazwą Independent News imperium wydawnicze specjalizujące się w druku szmirowatych magazynów z sensacyjnymi opowiastkami i pornografii. Zbił na tym ogromny majątek, który jeszcze powiększył w czasie prohibicji, gdy zajął się działalnością przestępczą – stworzony przez niego gang przemycał w należących do wydawnictwa ciężarówkach kanadyjski alkohol, który obrotny Harry sprzedawał wiecznie spragnionym procentów nowojorczykom. Donenfeld lubił przy tym światowe życie, często widywano go w towarzystwie ówczesnych celebrytów i w modnych lokalach. U jego ramienia zawsze wisiały ładne młode dziewczyny, z którymi zwykł się zabawiać, podczas gdy jego żona siedziała sama w ich luksusowym domu.

Jack Liebowitz był o wiele sympatyczniejszą postacią niż jego przyjaciel. Ten zdolny księgowy przez wiele lat pracował jako manager finansowy amerykańskiego oddziału Międzynarodowego Związku Zawodowego Pracowników Branży Odzieżowej, walcząc o prawa robotników. Po latach działalności na rzecz pokrzywdzonych dał się namówić kumplowi z dzieciństwa na wejście w spółkę.

W drugiej połowie lat 30. Donenfeldowi zaczął palić się grunt pod nogami. Prohibicja się skończyła, a obrońcy publicznej moralności wzięli na cel jego biznesowe imperium, ogłaszając krucjatę przeciwko wydawanym przezeń bezeceństwom. Aktywistom udzielił poparcia burmistrz Nowego Yorku, a prezes Independent News znalazł się pod pręgierzem po opublikowaniu na łamach jednego ze swoich tytułów zdjęcia kobiety nagiej jak Pan Bóg stworzył, za to dumnie prezentującej włosy łonowe. Chcąc odciąć się od swej szemranej przeszłości, sprytny Harry postanowił zdywersyfikować swoją działalność i wprowadzić firmę na nowy rynek. Jako że komiksy cieszyły się popularnością wśród dzieciaków, nowojorczyk zdecydował się wejść w ten biznes. Razem z Liebowitzem powołali do życia nowy segment firmy – Detective Comics.

Pomysł dwóch „nerdów"

Wheeler-Nicholson po pewnym czasie odsprzedał swoje udziały wspólnikom i wycofał się z branży. Właściciele DC wypuszczali na rynek kolejne komiksy, a tymczasem w Cleveland dwóch młodych ludzi – Jerry Siegel i Joe Shuster – desperacko poszukiwało pracy. Podobnie jak poznani już przez nas biznesmeni, młodzieńcy znali się od dziecka. Obaj należeli do tego typu osób, które dziś nazywa się „nerdami". Dość wątli i nieśmiali, w szkole nie brali udziału w życiu towarzyskim i szukali ucieczki przed światem w lekturze magazynów z opowiadaniami SF. Siegela życie ciężko doświadczyło, gdyż krótko przed ukończeniem liceum jego ojciec zginął w trakcie napadu na prowadzony przez siebie sklep z używaną odzieżą. Rodziny chłopaków nie miały pieniędzy, by wysłać ich na studia, więc po uroczystości wręczenia dyplomów musieli zacząć szukać pracy. Wówczas postanowili przekuć swoją pasję w zawód i zaczęli karierę twórców komiksów – Jerry pisał scenariusze, a Joe rysował. Próbowali zainteresować swoją twórczością amerykańskie dzienniki, wysyłając do nich próbne komiksowe paski. Niestety, kolejni wydawcy odrzucali pomysły młodych obywateli Cleveland. Jeden z redaktorów uznał wręcz, że pomysł opowieści o obdarzonym nadludzką mocą przybyszu z in-

eprasa.pl 2e2f033bb9

nej planety, walczącym ze złem w niebieskim kostiumie i czerwonej pelerynie, świadczy o żałosnej niedojrzałości twórców. Całkiem możliwe, że człowiek ten niedługo potem rwał sobie włosy z głowy, gdy zrozumiał, jak wielka fortuna przeszła mu koło nosa.

Siegel i Shuster wysłali również koncepcję historii o Supermanie (bo tak zwał się wymyślony przez nich heros) do DC. Początkowo Donenfeld i Liebowitz odrzucili ją, aczkolwiek tyle dobrego z tego wyszło, że od czasu do czasu z ich firmy przychodziły zlecenia dla chłopaków.

Wiosną 1938 roku nasi bohaterowie otrzymali list z informacją, że DC planuje wypuścić na rynek nowy komiksowy magazyn „Action Comics". Sęk w tym, że trzeba go było czymś zapełnić. Odpowiedzialny za to zadanie redaktor postanowił iść na łatwiznę, przejrzał zawartość szuflady z odrzuconymi pomysłami. Znalazł tam skrypt Supermana i próbne ilustracje. W obliczu goniącego terminu, zdecydował się zaryzykować i dał zawalenia! W późniejszych numerach, gdy bohater zaczął latać, jego ulubioną taktyką stało się porywanie przestępców w przestworza i grożenie im zrzuceniem na dół, o ile nie przyznają się do popełnionych zbrodni.

Pierwszy numer „Action Comics" wydrukowano w 200 tys. egzemplarzy i okazał się on ogromnym hitem. Wydawca nie był pewien, która z ośmiu historii prezentowanych na łamach magazynu tak bardzo złapała czytelników za serce i przeprowadził ankietę. Większość odbiorców wskazała historię o Supermanie.

Początek złotej ery

Sukces Siegela i Shustera uważany jest za początek tzw. złotej ery komiksu. Wkrótce Superman był wszędzie, Donenfeld i Liebowitz, chcąc jak najwięcej zarobić na jego popularności, założyli firmę córkę – Superman Inc., której głównym zadaniem było udzielanie licencji. „Obrońca uciśnionych" pojawiał się zatem na kubkach,

Popularność Kapitana Ameryki rosła proporcjonalnie do lęku Amerykanów przed wojną. W komiksach ten niestrudzony rycerz demokracji wymierzał sprawiedliwość nazistom i był zaciekłym nieprzyjacielem państw osi.

młodzieńcom z Cleveland zielone światło. Jerry i Joe natychmiast rzucili się do roboty, ostatecznie tworząc trzynastostronicową historię, prezentującą pochodzenie, moce i działalność bohatera. W zamian za to otrzymali honorarium wysokości 130 dolarów i podpisali umowę, w której zrzekali się praw autorskich na rzecz wydawnictwa. Jak miało się okazać, był to najgorszy interes w historii.

W czerwcu 1938 roku do kiosków trafił pierwszy numer „Action Comics", na którego okładce Superman na oczach poruszonych gapiów podnosił nad głową samochód. Heros opisany został m.in. jako „obrońca uciśnionych", a wewnątrz czytelnicy znajdowali historię jego życia. Warto zauważyć, że pierwsze sprawy, którymi się zajmował, były dość przyziemne. Superman doprowadzał do uniewinnienia fałszywie uznanej za morderczynię i skazanej na śmierć kobiety, uczył moresu mężczyznę znęcającego się nad żoną, ratował uwięzionego w podziemiach górnika, po czym wrzucał do kopalni jej właściciela i jego przyjaciół porwanych wprost z przyjęcia. Co więcej, by ukarać biznesmena za niedbanie o bezpieczeństwo pracowników, heros obalił słup podpierający strop szybu, doprowadzając do jego

czapkach, płatkach śniadaniowych, a nawet w formie balonu unosił się nad nowojorską paradą z okazji Dnia Niepodległości. Jego przygody ukazywały się w dwóch magazynach, bo oprócz „Action Comics" heros dostał też własny tytuł. Każdy numer rozchodził się w astronomicznym nakładzie miliona egzemplarzy, a do kieszeni właścicieli DC płynął nieprzerwany strumień pieniędzy. Najmniej na całym tym szaleństwie zarobili twórcy postaci, co prawda podpisali z wydawnictwem dziesięcioletnią umowę, która gwarantowała im stały (i spory) dochód, zyskali sławę, a Shuster, pokonawszy nieśmiałość, podrywał dziewczyny, mówiąc im, że jest autorem przygód Supermana, ale w porównaniu z grubą kasą, jaką zbijali Donenfeld i Liebowitz, to były ochłapy. W późniejszych latach sfrustrowani nieuczciwym podziałem zysków przyjaciele z Cleveland mieli wystąpić przeciw DC na drogę sądową.

Sukces Supermana przyniósł wysyp innych bohaterów. Wydawcy widząc w opowieściach o zamaskowanych herosach żyłę złota, przedstawiali czytelnikom coraz to inne postaci. I tak w roku 1939 do przybysza z Kryptona dołączył Batman, czyli multimilioner za dnia, a pogromca przestępców nocą, zaś dwa lata póź-

eprasa.pl 2e2f033bb9

niej drużynę DC zasiliła Wonder Woman. Historia powstania tej ostatniej brzmi zresztą jak scenariusz filmowy (i film taki rzeczywiście powstał), bo pomysłodawcą wojowniczej księżniczki Amazonek był… uniwersytecki profesor psychologii – William Moulton Marston, który zanim zajął się tworzeniem komiksów, zdążył wynaleźć pierwszą wersję wykrywacza kłamstw. Niestety, pod koniec życia stał się bohaterem skandalu, który zakończył jego karierę uniwersytecką – rada wydziału zatrudniającej go uczelni przeżyła zbyt wielki szok, gdy na jaw wyszło, iż naukowiec żyje w trójkącie z żoną i kochanką, razem mieszkają pod jednym dachem, wychowują wspólnie dzieci i oddają się erotycznym zabawom w stylu sado-maso. Marstonowi grzecznie podziękowano za współpracę. Szybko znalazł sobie zajęcie w branży komiksowej. Tworząc Wonder Woman, czerpał z własnych doświadczeń – ta silna i niezależna kobieta wymuszała na przestępcach mówienie prawdy, krępując łotrów magicznym lasso i okładając ich pejczem.

Choć w złotej erze wydawnictwo stworzyło jeszcze wiele innych postaci, większość z nich z czasem straciła na popularności. Przez następne dekady ich losy układały się na kształt sinusoidy, pod koniec lat 40. spory odsetek bohaterów stracił własne magazyny, trafiając do antologii lub wręcz całkowicie znikał. Superman, Batman i Wonder Woman mieli się jednak okazać nad wyraz odporni na zmienne koleje losu branży komiksowej.

Kapitan Ameryka idzie na wojnę

Na przełomie lat 30. i 40. w USA zaroiło się od wydawnictw komiksowych. Sukces Supermana rozbudził wyobraźnię i wielu biznesmenów chciało iść w ślady Donenfelda i Liebowitza. O skali zjawiska najlepiej świadczy fakt, że po wojnie Stowarzyszenie Wydawców Komiksów liczyło 26 członków. Z tej liczby do dziś przetrwały tylko trzy firmy: DC, Marvel i Archie Comics. A skoro już o Marvelu wspomnieliśmy…

Podczas gdy Superman, Batman i reszta drużyny królowali w wyobraźni dzieciaków, nowojorski biznesmen Martin Goodman zdecydował się wejść na rynek komiksów. W roku 1939 założył wydawnictwo Timely Comics, które po latach miało stać się znane jako Marvel. Jego twórca pomysł na sukces miał bardzo prosty – skoro ktoś sprzedawał cieszący się popularnością produkt, należało stworzyć podróbkę i opchnąć ją, zanim ludzie się zorientują. W efekcie Goodman kopiował idee innych wydawców, czego najbardziej jaskrawym przykładem były przygody Homera Wesołego Duszka i Szalonego Kaczora, którzy pojawili się znienacka, gdy czytelnicy pokochali Kacpra Przyjaznego Duszka i Kaczora Daffy'ego ze Zwariowanych Melodii. Co więcej, biznesmen nie darzył czytelników komiksów zbytnim szacunkiem, uważając, że historyjki obrazkowe czytają dzieci i idioci. Miał jednak to szczęście, że w jego firmie pracował wówczas Jack Kirby – jeden z najważniejszych twórców komiksowych XX wieku. W roku 1940 wraz ze scenarzystą Joe Simonem wymyślili postać, która odniosła sukces porównywalny z Supermanem. 20 grudnia 1940 roku do sklepów trafił komiks „Kapitan Ameryka", na którego okładce tytułowy bohater potężnym ciosem w szczękę nokautował Hitlera. Tym samym narodził się heros, który jak żaden inny ucieleśniał amerykańskie ideały. Nie mogło być inaczej, skoro biegał w kostiumie uszytym z narodowej flagi.

Popularność Kapitana Ameryki rosła proporcjonalnie do lęku Amerykanów przed wojną. W komiksach ten niestrudzony rycerz demokracji wymierzał sprawiedliwość nazistom i był zaciekłym nieprzyjacielem państw osi. Łatwo wyobrazić sobie, co odczuwali żyjący w Stanach zwolennicy nazizmu, widząc rzesze dzieciaków czytających historie, w których głównymi złymi byli Niemcy. Po pierwszym numerze ambasada niemiecka złożyła oficjalny protest w Waszyngtonie, oskarżając wydawcę o obrazę głowy państwa. Przedstawiciele III Rzeszy niewiele jednak zdziałali, za to członkowie Amerykańsko-Niemieckiego Bundu, czyli nazistowskiej organizacji aktywnie dążącej do wprowadzenia w USA porządków wzorowanych na niemieckich, postanowili nie bawić się w ceregiele. Pewnego dnia w biurze Timley Comics zadzwonił telefon. Gdy sekretarka podniosła słuchawkę, usłyszała, żeby twórca Kapitana Ameryki wyszedł na ulicę, to dwóch czekających tam jegomościów pokaże mu, co prawdziwi naziści zrobiliby z jego postacią. Pracownicy pobledli prawdopodobnie ze strachu, ale nie Jack Kirby. Rysownik spokojnie opuścił swój gabinet i uczynił zadość prośbie chuliganów z Bundu. Gdy nazistowscy bandyci go zobaczyli, z przerażenia natychmiast dali nogę. Kirby miał posturę atlety.

Po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny popularność Kapitana Ameryki poszybowała, każdy kolejny numer sprzedawał się w nakładzie miliona egzemplarzy. Twórcy promowali wspieranie wysiłku wojennego, namawiając choćby młodzież do zbierania złomu lub dokonywania wpłat na wojsko. Trochę mniej chwalebne było hasło, jakim reklamowano to ostatnie, brzmiało ono bowiem: „Pamiętaj, że to pocisk, który powstanie dzięki twoim 10 centom, może wykończyć ostatniego Japońca!". Japończycy przewijali się przez łamy komiksu zresztą regularnie, prezentowani w sposób odbierający im jakiekolwiek człowieczeństwo – w ich wyglądzie sumowały się wszelkie rasistowskie stereotypy, a niekiedy bywali tak zdeformowani, że trudno było dostrzec w nich istoty ludzkie. Autorzy przygód Kapitana mieli też problem z odróżnianiem

eprasa.pl 2e2f033bb9

wrogich Japończyków od będących sojusznikami USA Chińczyków – dość rzec, że bazy japońskich agentów umieszczali w chińskich dzielnicach amerykańskich miast.

O skali popularności czempiona amerykańskiej demokracji najlepiej świadczy fakt, że w roku 1944 doczekał się własnego filmu, a raczej serialu kinowego. Seriale te były produkcjami, których format wyszedł z mody wraz z początkami telewizji – co weekend puszczano na wielkim ekranie kolejne odcinki. W okresie wojny w ten sposób trafił do kin także Batman. W adaptacji swych przygód z samotnego mściciela stał się rządowym agentem walczącym z demonicznym japońskim naukowcem – doktorem Tito Daką, który bez ogródek mówił, iż „przybył zniszczyć demokrację i zniewolić naród amerykański".

Kończąc kwestię wojennego komiksowego boomu, warto zaznaczyć, że znaczną liczbę egzemplarzy kupowała… armia amerykańska, która oficjalnie uznała magazyny o przygodach Supermana za dobro strategiczne! Na front płynęły tysiące komiksów pozwalających zmęczonym żołnierzem oderwać się od pełnej grozy i śmierci codzienności.

W czerwcu 1938 roku do kiosków trafił pierwszy numer „Action Comics", na którego okładce Superman na oczach poruszonych gapiów podnosił nad głową samochód. Heros opisany został m.in. jako „obrońca uciśnionych".

Bohaterowie (i czytelnicy) są zmęczeni

Po roku 1945 popularność superbohaterów zaczęła spadać. Boleśnie przekonało się o tym Timely Comics, próbujące podtrzymywać zainteresowanie Kapitanem Ameryką. Niestety, okazało się, że w czasach pokoju ten heros jest już niepotrzebny. W okresie maccartyzmu czempion znalazł nowego wroga w osobie komunistów i reklamowano go jako „pogromcę komuchów", ale ludzie byli już zmęczeni i w roku 1954 najbardziej patriotyczny z amerykańskich bohaterów trafił do wydawniczego limbo. Powrócić miał dopiero dziesięć lat później w czasie tzw. srebrnej ery komiksów.

Prawdziwa katastrofa miała jednak dopiero nadejść. W latach 50. moraliści znaleźli sobie wroga w postaci komiksów. W przestrzeni publicznej coraz głośniej słychać było wezwania do rozprawienia się z branżą, którą oskarżano o demoralizowanie nieletnich. Zarzuty nie były nowe, po raz pierwszy pojawiły się w prasie w roku 1940, ale teraz weszły do mainstreamu. W roku 1954 do księgarń trafiła biblia wrogów komiksu „Uwiedzenie niewinności" – psychiatry Frederica Werthama. Autor, specjalista w dziedzinie psychiatrii dziecięcej, rozpisywał się na kartach swego dzieła o rzekomej szkodliwości komiksów, mających sprowadzać dzieci na złą drogę. Tezę tę opierał na wieloletnich badaniach nad swymi pacjentami, tyle że z punktu widzenia dzisiejszej psychologii metodologia Werthama pozostawiała wiele do życzenia – przeprowadzał wywiady tylko z dziećmi pochodzącymi z patologicznych rodzin, nie biorąc pod uwagę, że to właśnie wychowanie (a raczej jego brak), jakie otrzymały w domu, pchnęły je na drogę przestępstwa. Komiksy czytały miliony dzieciaków i większość z nich stanowili chłopcy i dziewczęta grzeczni, dobrze ułożeni i odnoszący sukcesy w szkole. Autor „Uwiedzenia niewinności" miał jednak swoją tezę i gotów był manipulować faktami, byleby tylko ją uwiarygodnić. Dziś gdy czyta się jego wywody, trudno się nie śmiać, bo Batmana oskarżał o… promocję homoseksualizmu. Gorzej, że w 1954 nikomu nie było w USA do śmiechu, a opinia społeczna i rząd brały te bzdury na poważnie.

W Stanach rozpętała się nagonka na komiksy, w trakcie której przed szkołami usypywano z nich ogromne stosy i je palono. Kapitan Ameryka prawdopodobnie przewróciłby się w grobie na wieść o tym, że jego rodacy przejmują obyczaje rodem z III Rzeszy. Tymczasem branży komiksowej zaczął przyglądać się rząd. Wydawcy woleli nie czekać, aż chcący zapewnić sobie wyborców politycy w nich uderzą. W roku 1954 członkowie Stowarzyszenia Wydawców Komiksów stworzyli Komiksowy kodeks, który miał regulować wydawane przez nich treści. Dokument zawierał ogromną liczbę zakazów, a prezesi firm wydawniczych, którzy je podpisali, zobowiązali się do surowego ich przestrzegania. Od tej pory na rynek trafiać miały wyłącznie komiksy oznaczone pieczątką potwierdzającą ich zgodność z kodeksem. Tym samym rysownikom i scenarzystom nałożono kaganiec, ograniczając ich wolność artystyczną. Złota era dobiegła końca. ■

eprasa.pl 2e2f033bb9



Krzysztof Karnkowski

Z bagna na szczyt. Trudna droga J.D. Vance'a



Kim jest J.D. Vance – wciąż młody konserwatywny polityk, kiedyś przeciwnik, a dziś wielki admirator i współpracownik, a może i następca Trumpa? Wiemy o nim być może więcej niż o jakimkolwiek amerykańskim polityku, ponieważ nim zaszedł tak wysoko, pozwolił nam poznać się przez autobiograficzną książkę i jej późniejszą ekranizację.

FOT. MAT. PRAS.

15 lipca, przyjmując nominację Partii Republikańskiej do roli kandydata na prezydenta Stanów Zjednoczonych, Donald Trump wskazał swego zastępcę. Jeśli Trumpowi uda się po czteroletniej przerwie powrócić na fotel, wiceprezydentem zostanie James David Vance, nazywany przez wszystkich J.D. Vancem.

Historia wyrwania się z patologii

Choć „Hillbilly elegy" ukazała się również na polskim rynku, trudno ją dziś dostać. Na okładce polskiego wydania „Elegii dla bidoków" widnieje reklamowa informacja, że to pozycja zekranizowana przez Netflix. Gdyby wydawnictwo pokusiło się o dodruk, dziś trzeba byłoby dodać, że również spowiedź-manifest czołowego amerykańskiego polityka w jednym. Polityka, który ma szansę stać się wiceprezydentem, a w przyszłości prezydentem Stanów Zjednoczonych. O książkę nie jest łatwo, natomiast film… Niedługo po ogłoszeniu kandydatury Vance'a w polskim internecie pojawiła się plotka, że Netflix zdecydował się na usunięcie tego tytułu ze swojej biblioteki. Gdy piszę ten artykuł, wciąż pozostaje jednak dostępny. Warto go obejrzeć, co więcej, z powodów, o których poniżej, to wersja filmowa lepiej nadaje się na pierwsze spojrzenie na życie amerykańskiego polityka niż ta drukowana. Z książką jednak również warto się zapoznać. Jeśli interesujemy się Stanami Zjednoczonymi, jest to wręcz pozycja obowiązkowa.

Zacznijmy jednak od samego słowa „Hillbilly". To określenie amerykańskiej biedoty, wywodzącej się przede wszystkim z rejonu Appalachów, która w poszukiwaniu pracy rozlała się na inne tereny Stanów, przede wszystkim te, które znamy dziś jako „pas rdzy". W ubiegłym roku wielką furorę w Stanach zrobił nagrany przez Christophera Anthony'ego Lunsforda utwór „Rich Men North of Richmond", opisujący podobne do tych znanych z opowieści Vance'a kontekstów społecznych i lokalnych. Wydany samodzielnie singiel stał się numerem jeden list sprzedaży, a na YouTube jego podstawowe wykonanie obejrzało do dziś prawie 200 mln osób. Co ciekawe, nie przewidując jeszcze tak mocnego wdarcia się Vance'a na szczyty polityki, niektóre media określiły Lunsforda właśnie „nowym J.D. Vancem". Piosenka bardzo trafnie opisała nastroje i życie sporej części Amerykanów (łącząc je z krytyką współczesności i ograniczania wolności), co potwierdza jej popularność, tak jak wcześniej ze swoją historią zrobił to polityk. Jednak opowieść J.D. to historia nie tylko biedy i patologii, lecz także wyrwania się z niej. Jak to w amerykańskim micie – przede wszystkim własną ciężką pracą, która jednak na wiele by się nie zdała lub nie miała szansy zaistnieć, gdyby nie kilka okoliczności i kilkoro odpowiednich ludzi, którzy stanęli na drodze chłopaka z biednej dzielnicy lub wręcz drogę tę większość cza-

Egzemplarz prywatny 202f033bb9

su dzielili. I wbrew jednej, przede wszystkim jednej osobie, która, choć Vance i jej oddaje sprawiedliwość, częściej szkodziła niż pomagała, jego własnej matce. Nauczyciele, przedstawiciele armii, mentorzy, narzeczona, a później żona – to ważni bohaterowie czasów wejścia w dorosłość i szalonego awansu społecznego i kulturowego Vance'a. Wcześniej kluczowi są najbliżsi. Starsze pokolenie, w tym ukochani dziadkowie, nazywani Mamaw i Papaw, a także liczne rodzeństwo Mamaw, trzymają jakoś pion, mają swoje zasady i są im wierni. Dopóki mogli pracować, mieli też pracę, ta jednak, choć dawała złudzenie stałości pewnego poziomu życia, się skończyła.

Los nie do pozazdroszczenia

Przez zmiany własnościowe i ekonomicznie całe rodziny i miasta wpadły w biedę (skąd my to znamy!), zarazem bardzo łatwo godząc się z tym stanem rzeczy, ulegając mu i pogrążając się w upadek. Często też skazując na podobny los swoje dzieci, dziedziczenie biedy nie jest przecież wymysłem klasycznej lewicy społecznej. Vance właściwie nie używa tego określenia, a jednak bardzo porządnie maluje jego tło. Matka początkowo ma pracę i trzyma się na powierzchni, choć nie panuje nad swoim życiem uczuciowym. Czytelnik w pewnym momencie przestaje liczyć kolejnych mężów, którzy mają stać się „tatusiami" J.D., i chyba on sam też już ich nie liczy. Tym bardziej nie liczy na to, że któryś z nich naprawdę zostanie jego ojcem. Prawdziwego ojca zresztą również na swej drodze spotyka, łapie z nim nawet pewien kontakt, kluczowi są jednak dziadkowie (później już tylko babcia) i starsza siostra, która musi zastępować często matkę. Ta bowiem po śmierci Papaw odkrywa, jak wspaniale działają na nią leki przeciwbólowe, i szybko uzależnia się od nich. Prowadzi to do utraty pracy w szpitalu i coraz ostrzejszych zaburzeń psychicznych. Zatem i narastających problemów w życiu dzieci, które coraz częściej szukać muszą pomocy u dziadków, padają ofiarą przemocy i są świadkami rozmaitych ataków i przygód przeżywanych przez matkę, w tym licznych interwencji policji i opieki społecznej. Los nie do pozazdroszczenia.

Czy dzieciom uda się wyrwać z tego piekła? W przypadku naszego bohatera znamy odpowiedź – pomoc babci, szkoły, potem marynarka i służba wojskowa, wreszcie studia i ukochana dziewczyna pozwalają mu sięgnąć po zupełnie inne życie i zdobyć je. To ciekawe, że pomoc udaje się znaleźć w tym systemie, który w dużym stopniu obwiniany jest o taki, a nie inny los biedoty. Film nie za bardzo ma się jak nad tym pochylić, w książce jest jednak miejsce na diagnozowanie tego stanu rzeczy.

Jak niezaplanowana wyborcza reklamówka

Kultura światowa zna pojęcie „pornografii nędzy". Określenie to dotyczy dzieł, zwłaszcza filmów, które epatują pokazanym naturalistycznie, z bliska i w dużej ostrości ubóstwa, beznadziei ludzkich losów w niewłaściwym otoczeniu społecznym. Przodują w tym kraje będące na dorobku lub po prostu egzotyczne dla Zachodu: twórcy dostarczają dzieł bogatym elitom, te mogą poczuć się lepsze i moralnie, i ekonomicznie, parząc na upadek żyjących na drugim końcu świata lub przynajmniej kontynentu. Blisko tej kategorii, choć oczywiście bezdyskusyjnie znakomity artystycznie, był choćby oscarowy „Parasite" Koreańczyka Joon-ho Bong'a. Mieliśmy ten nurt również w Polsce, choćby w pamiętnym dokumencie Ewy Borzęckiej „Arizona". „Elegia dla bidoków", zwłaszcza przeniesiona na ekran, ma w sobie coś z tego gatunku – widzimy tu rozpad rodziny, upokarzające przejścia matki, dramat jej dzieci. Zarazem jednak wymyka się z tej kategoryzacji, ponieważ wszystko widzimy jednak z perspektywy kogoś, kto wyrwał się spod topora. Ale też, w czym tkwi siła J.D., pokazując drogi ucieczki, czyni to ze współczuciem i zrozumieniem, jakiego próżno szukać zarówno u klasycznych liberałów, jak i lewicowców. Ani wędka, ani ryba nie są w stanie pomóc bez zrozumienia całego społecznego tła. Zarówno przez chcących pomóc, jak i potrzebujących pomocy.

I znów – film w dużym stopniu to wszystko pomija, skupia się na ciepłym ukazaniu problemów prowincji i jej mieszkańców. Choć sam reżyser Ron Howard uznawany jest za klasycznego hollywoodzkiego liberała, liberałowie krytykowali jego dzieło jako zbyt życzliwe wobec wyborców Trumpa. „Howard wszystko zamyka w »kanapce ze smażoną mortadelą z Wallmarta«. Popadł w sentymentalizm i to największy problem tego filmu. Niestety nie wybrzmiewa to, co powinno w nim wybrzmieć" – tłumaczył to spojrzenie po premierze krytyk filmowy Łukasz Adamski.

W każdym innym momencie można by uznać to za spory minus, wszystko zmienia się jednak wówczas, gdy Vance chce sięgać po największe zaszczyty. O ile bowiem książka jest, jak już wspomniałem, manifestem, film ma potencjał niezaplanowanej wcześniej kilkudziesięciominutowej reklamówki wyborczej, która może zrobić na Amerykanach duże wrażenie. Uznany hollywoodzki reżyser (mający na koncie takie pozycje, jak choćby „Piękny umysł" czy „Kod da Vinci"), gwiazdorska obsada (przede wszystkim Betty Adams jako matka), sprawnie pokazana opowieść, mogąca wycisnąć niejedną łzę. Historia, po filmowemu udramatyzowana, została tu przedstawiona nieliniowo – dramaty i wstydliwe rodzinne sekrety dopadają Vance'a, gdy bierze udział w kolacji, od której zależeć może jego kariera. Światy zderzają się, a on wychodzi z tego starcia zwycięstwo, może być symbolem nadziei i wcieleniem amerykańskiego snu. Czy tak się stanie, przekonamy się na pewno. Jeśli nie w tym roku, to za kilka lat. J.D. ma przecież czas, potrafi też planować swoją karierę z dużym wyprzedzeniem. ■

eprasa.pl 2e2f033bb9

Marek Kalinowski

Cekiny, Dylan i Taylor Swift

Trzy koncerty z rzędu na wypchanym po brzegi Stadionie Narodowym w Warszawie to zaledwie jeden ze 150 przystanków na trasie koncertowej Taylor Swift promujących jej najnowszą płytę „The Tortured Poets Department" . Czy mamy do czynienia z fenomenem na miarę The Beatles?

Porównania amerykańskiej gwiazdy do sukcesów zespołu Lennona i McCartneya nie są chyba przesadzone, skoro Liverpool – rodzinne miasto Beatlesów – zmienia swoją nazwę na Taylor Town, wprawdzie tylko na czas koncertów, ale jednak… Taylor Swift w wieku 35 lat ma już na koncie aż 14 nagród Grammy, w tym cztery za najlepszy album, co jest absolutnym rekordem.

Rozpoczynanie przygody z muzyką Swift od jej ostatniego albumu wydaje się jednak nie najlepszym pomysłem. Na wydanym w kwietniu „The Tortured Poets Department" znajdziemy przede wszystkim pamiętnikarską opowieść o byłych chłopakach artystki, w której połapią się wyłącznie najbardziej zaangażowani fani. Dla osób, które nie są zainteresowane prywatnością Swift, przebrnięcie przez cały album będzie doświadczeniem dość nużącym, bo wśród trzydziestu nowych piosenek często powieje nudą i powtarzalnością. Album wcale nie jest też tak nowoczesny, jakby się wydawało, myśląc zwłaszcza o młodej publiczności. Jest jednak co najmniej kilka bardzo udanych momentów. Należy do nich bez wątpienia piosenka „Florida!!!" – duet z Florence + The Machine – czy otwierające album przebojowe „Fortnight", również duet, choć tym razem z piosenkarzem Post Malone. To ostatnie zanim wpadnie w szybszy rytm, może bardzo przypominać manierę innej amerykańskiej gwiazdy Lany del Ray. Skojarzenie jest tym silniejsze, gdy odkryjemy, że artystki dzielą tego samego producenta – Jacka Antonoffa.

I myliłby się ktoś, myśląc, że muzyka Swift skierowana jest wyłącznie dla nastolatków. Wystarczył rzut oka na publiczność Stadionu Narodowego, aby zrozumieć, że nie tylko młodzież znakomicie bawiła się w ozdobionych brokatem i cekinami strojach (nieoficjalnym dresscode trasy „The Eras Tour"). Muzyka Swift jest na tyle chwytliwa dla ucha, że z łatwością łączy pokolenia. Tak jak choćby melodyjna ballada „Cassandra", „But Daddy I Love Him" albo zahaczająca o country „Chloe or Sam or Sophia or Marcus", muzyczny gatunek, od którego nastoletnia Taylor rozpoczynała karierę.



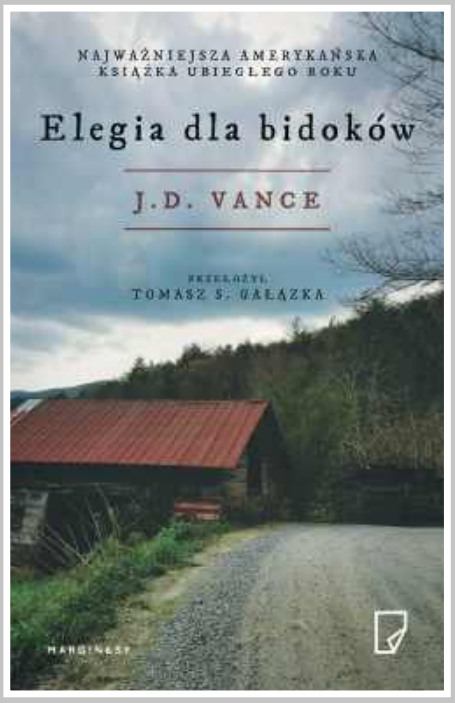
Taylor Swift, THE TORTURED POETS DEPARTMENT, Republic Records

Wpływ piosenkarki na odbiorców jest zresztą tak duży, że pracownie badań społecznych coraz wnikliwiej sprawdzają, kto jest odbiorcą twórczości Swift. Artystka przy wsparciu fanów potrafi ruszyć na wojnę z dużymi korporacjami i jak dotąd z każdej potyczki wychodzi zwycięsko. Przekonali się już o tym jej były wydawca, a także biletowy potentat Ticketmaster czy medialny gigant Spotify. Okazuje się więc, że poparcie Swift dla jednego z kandydatów może też sporo namieszać w nadchodzących wyborach prezydenckich w USA, zwłaszcza przy tak wyrównanych sondażach.

Tymczasem to nie żaden polityk, ale właśnie Taylor Swift została uznana przez „Time" za najważniejszą osobę roku 2023. Wcześniej magazyn porównywał jej twórczość do dorobku Boba Dylana. Trzeba przyznać, że literacka sprawność Swift zasługuje na uwagę, artystka uwielbia gry słowne, bawi się ich znaczeniem i brzmieniem, potrafi wrzucić błyskotliwą puentę i literacki trop, za którym podążą jej fani. Czy to wystarczy, by porównywać ją do sędziwego barda? No cóż, jakie czasy, taki Dylan. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 2e2f033bb9



Krzysztof Wołodźko



„Biedacy, ogarnijcie się!”. Vance i biali ubodzy w USA

Nie wiadomo, dlaczego dość powszechny osąd każe wierzyć, że amerykański populizm co do joty odzwierciedla europejskie wzorce. Na Starym Kontynencie populizm łączy prawicowe, tożsamościowe elementy z socjalnymi, etatystycznymi i społecznymi hasłami, które niegdyś znacznie bliższe były socjaldemokracji. Populizm zza Atlantyku próbuje dowartościować „rednacków”, „białe śmieci”, „wieśniaków żyjących w samym środku niczego”, a równocześnie jest mocno libertariański i mocno krytyczny wobec własnych bohaterów. Doskonale pokazuje to „Elegia dla bidoków” J.D. Vance’a.

eprasa.pl 2e2f033bb9

O „Elegii dla bidoków" J.D. Vance'a polska opinia publiczna przypomniała sobie, gdy 15 lipca Donald Trump oficjalnie przyjął nominację republikanów na kandydata na prezydenta USA – a jako swojego kandydata na wiceprezydenta wskazał Jamesa Davida Vance'a. Andrzej Dąbrowski w analizie dla Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych wskazał, że „nominacja dla Vance'a jest [między innymi] podyktowana chęcią zabezpieczenia głosów wyborców z tzw. Pasa Rdzy, gdzie jest on popularny". Pas Rdzy to niegdysiejszy Stalowy Pas („Steel Belt"), upadłe eldorado amerykańskiego przemysłu motoryzacyjnego, miasta i ziemie Michigan, Indiany, Ohio i Pensylwanii. Dekadę temu Charlie LeDuff w „Detroit" tak pisał o mieście symbolizującym „Rust Belt": „Należało do awangardy [Ameryki] w jej drodze ku chwale, tak samo jak teraz należy do awangardy w naszej drodze do klęski. […] To tu narodziła się produkcja masowa, dobrze płatne posady robotnicze, kupowanie na własność domów i zaciąganie kredytów na masową skalę. […] Dzisiaj to miasto sukcesu jest miastem plajty. Jest upiornym i groźnym miejscem, pełnym opuszczonych fabryk i domów oraz zapomnianych ludzi […], stolicą nieruchomości zajętych przez komorników".

▶ J.D. Vance o Pasie Rdzy: Jak otwarta rana

J.D. Vance wydał drukiem ekshibicjonistyczną, ponurą „Elegię dla bidoków" w 2016 roku. W Polsce jego książka ukazała się cztery lata później. Wtedy też premierę miał film fabularny pod tym samym tytułem, stworzony na podstawie książki Vance'a, dziś do obejrzenia na Netflixie. Produkcja zebrała kilka nominacji do Złotych Malin, choć trafiły się też nominacje do Oscara, Złotych Globów i kilku nagród Gildii Aktorów Ekranowych. I książka, i film nie pozostawiają złudzeń co do współczesnych USA. Vance mówi bez ogródek: amerykańska biała biedota to byli jego przyjaciele i sąsiedzi. To jego rodzina, głęboko zakorzeniona w szkocko-irlandzkiej wspólnocie, która zakorzeniła się w Ameryce i stała się częścią amerykańskiego ludu i narodu.

Często zapominamy o tej dwuznaczności – demokracja amerykańska, która zdaniem wielu dawno przerosła w oligarchię, zbudowana jest na niejednoznaczności zawołania: „We, the People". „People" to zarazem naród i lud. Lud spychany coraz niżej i niżej w dół społecznych hierarchii, choć Stany są państwem krezusów kapitalizmu ery cyfrowych technologii. Lud skłócony i podzielony nie tylko ekonomicznie. Vance wspomina: „[…] wychowałem się w biedzie, w hutniczym miasteczku w Ohio, jednym z wielu w tak zwanym Pasie Rdzy, skąd jak z otwartej rany, od kiedy pamiętam, wyciekały miejsca pracy i nadzieja". I dodaje rzecz niekoniecznie dla nas czytelną: „Może i jestem biały, ale nie utożsamiam się z anglosaską protestancką elitą ze stanów północnego wschodu. Nie, moi pobratymcy to miliony białych Amerykanów wywodzących się ze Szkoto-Irlandczyków, robociarzy bez wyższego wykształcenia. Dla nich bieda to rodzinna tradycja – ich przodkowie byli najmitami w czasach, gdy gospodarka na Południu opierała się na niewolnictwie, potem połownikami, później kopali węgiel, a w nieodległej przeszłości pracowali w hutach i fabrykach maszyn".

Nazwałem wyżej książkę Vance'a ekshibicjonistyczną. W USA wszystko jest na sprzedaż, zatem „kultura wstydu" też się świetnie monetyzuje; można tam sprzedać nawet własne rodzinne upokorzenie. W tamtejszych talk show ludzie mówią o sobie i swoich bliskich naprawdę dużo i jeszcze więcej. Nic dziwnego, że najsłynniejsze medialne formaty wywodzące się z reality show zza oceanu mutują w wersje coraz mocniej eksploatujące i ingerujące w prywatność. W tym kontekście trochę mniej szokuje opowieść J.D. Vance'a o najpaskudniejszych słabościach jego najbliższych, opisanych w werystycznym stylu. Ameryka przyzwyczaiła nas, że tak można i trzeba. Jest w tym coś więcej – Amerykanów nie szokują historie zaćpanych najbliższych, którzy załatwiają się pod siebie, nie radzą sobie z przemocą, balansują o krok od dna, bo to istotna część społecznego doświadczenia USA. Nie da się jej ukryć za pięknymi drapaczami chmur.

▶ Głęboki kryzys amerykańskiej rodziny

Nie bez powodu w książce „Biedni w bogatym kraju. Przebudzenie z amerykańskiego snu" Nicholas D. Kristoff i Sheryl WuDunn piszą: „Średnia długość życia amerykańskich mężczyzn osiągających niskie dochody jest porównywalna ze średnią długością życia mężczyzn w Sudanie albo Pakistanie, podczas gdy zamożni amerykańscy mężczyźni żyją dłużej, niż wynosi średnia w jakimkolwiek kraju na świecie". I jeszcze jedno – na spadek średniej długości życia u Amerykanów ma wpływ umieralność białych z najwyżej średnim wykształceniem. Społeczna, kulturowa, moralna nędza w USA jest jak długi cień narodu i państwa, o którym w Polsce utarło się mówić i myśleć w niemal samych superlatywach. Myślimy o Stanach przez pryzmat naszych marzeń z czasów PRL i zachwytu naszych krewnych, którzy wędrując tam za chlebem i ciężko pracując fizycznie, pobudowali domy dla rodzin od Bałtyku po Tatry. Tylko że ta historia już się w dużej mierze zdezaktualizowała. A pytania o amerykańską spójność społeczną stają się dla nas dramatycznie ważne ze względu na rosnące wyzwania geopolityczne.

Wróćmy do J.D. Vance'a. Jego wspomnienia biednej przeszłości to szerokie spektrum ponurej grote-

eprasa.pl 2e2f033bb9

ski. Od rzeczy z pozoru błahych: „[…] miałem dziewięć miesięcy, gdy Mamaw [matka matki autora – K.W.] po raz pierwszy zauważyła, że mama leje mi pepsi do butelki ze smoczkiem", po pełne przemocy sceny rodzinne i sąsiedzkie, a także publiczny wstyd za nacpanych najbliższych. Rozłąka, rozbicie więzi, niepewność jutra, poczucie zażenowania, złość, frustracja, wściekłość, przyciasne cztery ściany uchodzące za dom jako zaprzeczenie miejsca, które daje poczucie bezpieczeństwa, nieustanna świadomość zagrożenia. Wszechobecność narkotyków – w życiu młodych matek z niemowlętami u piersi i przedwcześnie postarzałych sezonowych robotników.

Na marginesie: w Polsce przez dekady spotykałem piewców amerykańskiej mobilności, zachwyconych tym, że tamtejsze rodziny są nieustannie w drodze. Nie przyjmowali do wiadomości, że może istnieć bardzo słona cena za patchworkowe relacje, nieustannie zrywane więzi, ciągły psychiczny stres i poczucie niezakorzenienia. Lektura „Elegii dla bidoków" to odtrutka na wiele złudzeń, które zbyt łatwo wpisywaliśmy w Polsce po stronie plusów w czasie dyskusji o amerykańskiej drodze życia. Dziś to często życie nowych nomadów, nie tylko wśród pracujących ubogich. Raz jeszcze Vance: „Porównanie niemal wszystkich wskaźników dowodzi, że amerykańskie rodziny z klasy robotniczej doświadczają niestabilności na skalę niespotykaną nigdzie indziej na świecie". Niemal za każdym razem taki ogólny opis przechodzi u niego w rodzinną historię. Albo jest jej zwieńczeniem.

Pejzaże rozpadającej się Ameryki

Pejzaże coraz szybciej rozpadającej się wokół dziecka/nastolatka Ameryki. Gdy Vance opisuje Middletown w Ohio, mówi o mieście, które jeszcze w latach 80. miało porządne centrum z galeriami handlowymi, restauracjami i pubami, w których robotnicy piwkowali po harówce w stalowni. Ale rdza zwyciężyła: „[…] obecnie ów ciąg handlowy stoi niemal zupełnie pusty". Centrum miasta to ulice z powybijanymi witrynami sklepów, gdzie nie przetrwał nawet lombard. A dalej, gdzie żyli bogaci i najbogatsi, też rządzi bieda z nędzą; wystawne niegdyś domy podzielono na ciasne mieszkania dla bidoków: „Ulica, która była niegdyś chlubą miasta, obecnie służy jako miejsce spotkań ćpunów z dilerami". Vance tłumaczy: „Ta zmiana to oznaka nowej rzeczywistości ekonomicznej. […] Rośnie liczba białych przedstawicieli klasy robotniczej w dzielnicach najbardziej dotkniętych nędzą". Pauperyzacja dotyczy nie tylko ich. Autor „Elegii dla bidoków" powołuje się na badania Instytutu Brookinsa z 2011 roku: „[…] w porównaniu z rokiem 2000 w latach 2005–2009 częściej zdarzało się, że w dzielnicach skrajnej nędzy mieszkali biali, urodzeni w USA absolwenci szkół średnich lub uniwersytetów, właściciele domów, nieotrzymujący pomocy państwa". Michael Kazin w książce „Amerykańscy marzyciele. Jak lewica zmieniła Amerykę" przypomina jeszcze jedną nieoczywistą dla nas rzecz. Stany Zjednoczone też mają swoje robotnicze, lewicowe tradycje. Paradoksalnie ta książka pokazuje, jak zasadne stało się pytanie: dlaczego w USA nie ma socjalizmu? Idee osobistej wolności, nieufności wobec władzy, głębokiego przekonania, że nie ma demokracji bez kapitalizmu, sprawiły, że socjalizm w europejskim stylu nie miał szans na polityczny triumf. Po dekadach wywarło to głęboki wpływ również na amerykański populizm – jedna z najbardziej prospołecznych książek o mroczniejącym amerykańskim śnie, czyli wspomniane „Detroit", wyszło spod pióra zdeklarowanego libertarianina. J.D. Vance w „Elegii dla bidoków" idzie jeszcze dalej: LeDuff był więcej niż bardzo oszczędny w krytyce swoich bohaterów, „strażaków bez butów i policjantów bez samochodów".

Vance mówi coś innego: sytuacja zapomnianych białych przegrywów jest straszna, elity niesłusznie zepchnęły ich na śmietnik, w każdym konkretnym przypadku należy rozważyć, czy państwo mogłoby im pomóc, ale chętnie dodaje coś w ten deseń: „Ogarnijcie się, moi biedni biali przyjaciele, bo i z wami coś jest nie w porządku". Dla potencjalnego wiceprezydenta USA strukturalnym elementem ubóstwa są psychospołeczne predyspozycje, głęboko wżarte w społeczno-egzystencjalną tkankę pariasów współczesnej Ameryki. Autor „Elegii dla bidoków" chętnie mówi o młodych, silnych, białych mężczyznach, którym „nie chce się robić", albo bez ogródek opowiada: „[…] znałem wiele wózkar, królowych socjalu: niektóre mieszkały niedaleko mnie, wszystkie były białe". I podsumowuje: „[…] widać brak chęci; poczucie, że ma się nad własnym życiem niewielką kontrolę, jak też skłonność do obwiniania wszystkich, tylko nie siebie". Z pewnością istnieje problem wyuczonej bezradności, który czyni ludzi niezdolnymi poradzić sobie z wyzwaniami, które mogłyby im pomóc odbić się od dna. Ale znam się trochę na tzw. dyskursach społecznych i doskonale wiem, że podobną argumentację w czasach terapii szokowej chętnie stosowali zaprzysięgli zwolennicy Leszka Balcerowicza. Biorę jednak poprawkę na amerykański kontekst, który dowartościowuje ludzką wolę (albo prześlepia nieformalną niewolę) nawet w zderzeniu z „żelaznymi ekonomicznymi koniecznościami" i strukturalnymi ograniczeniami czasów, miejsca i okoliczności.

Podkreślmy, że dla Vance'a „ogarnięcie się" białych, biednych Amerykanów nie jest cudownym remedium na ich kłopoty – istotnym elementem zmiany powinna być polityczna troska o odnowienie potę-

eprasa.pl 2e2f033bb9

gi amerykańskiego kapitalizmu. Gospodarczy interwencjonizm zdecydowanie kłóci się z libertariańską wizją ekonomii, ale na tym właśnie polega nowa nauka polityki – w drugiej dekadzie XXI wieku zachodni świat znów mówi o potrzebie odbudowywania fabryk i zakładów przemysłowych we własnych krajach. Mówi o tym Ameryka, mówi Europa. Z czasem się dowiemy, kto poprzestał na gadaninie.

▶ Bidoki, chrześcijaństwo i nawrócenie

W lipcu 2024 roku na łamach „The Times" ukazał się tekst Jamesa Marriotta poświęcony konwersji na katolicyzm J.D. Vance'a. Marriott pisze: „Amerykańscy politycy niegdyś sygnalizowali chrześcijańską wiarę jako sposób na podkreślenie swojskiej normalności. Dla Vance'a atrakcyjność religii polega na jej niezwykłości, jej dysydenckim uroku". Tradycyjna religijność katolicka okazuje się kontrkulturową alternatywą nie tylko dla „katolicyzmu otwartego", lecz także dla protestanckich, liberalnych kongregacji/denominacji – argumentuje publicysta opiniotwórczego brytyjskiego dziennika. Warto zwrócić uwagę, że Vance jeszcze przed swoim nawróceniem na katolicyzm opisywał protestanckie Kościoły północnej Ameryki. I to w mało korzystnym dla nich świetle. Wskazywał, że religijność w USA „skupia się wokół Kościołów silnych emocjonalną retoryką, ale nieskorych do budowania wsparcia społecznego tego rodzaju, którego potrzebują ubogie dzieci, żeby do czegoś dojść".

Autor „Elegii dla bidoków" przyznaje co prawda, że religijne, protestanckie wspólnoty służą pomocą potrzebującym (ubogim, alkoholikom, ciężarnym kobietom w potrzebie), ale dodaje: „[…] instytucje religijne wciąż mają pozytywny wpływ na życie ludzi, ale w tym rejonie kraju, na który zwaliły się wygaszana produkcja przemysłowa, bezrobocie, nałogi i porozbijane rodziny, zmniejszyła się także frekwencja w kościołach". Swoje nastoletnie doświadczenia z protestancką wspólnotą ojca opisuje krótko: „Zaczytywałem się w książkach o kreacjonizmie, jak millenaryści wierzyłem, że w 2007 roku nadejdzie koniec świata i wyrzuciłem swoje płyty z nagraniami Black Sabbath". I dodaje: „[…] poglądy religijne, które wykształciłem w sobie za młodu u boku taty, były ziarnem późniejszego całkowitego odrzucenia chrześcijaństwa".

Ostatecznie religijność jest wartością, która w bardzo wielu kontekstach pojawia się u Vance'a jako pozytywna wartość. Także wtedy, gdy raz za razem opisuje ludzi, spośród których wyszedł: „Nie wszyscy w białej klasie robotniczej walczą o przetrwanie. Już od dzieciaka wiedziałem, że istnieją dwa odrębne kodeksy obyczajowe, dwa warianty presji otoczenia. Moi dziadkowie reprezentowali jeden z nich: staromodni, nieostentacyjnie pobożni, wierzący we własne siły, ciężko pracujący. Moja matka i stopniowo cała dzielnica ucieleśniali ten drugi: skupieni na konsumpcji, odosobnieni, gniewni, nieufni". Religijność i patriotyzm, który łączy lokalne sentymenty i tożsamości z wolą walki za ojczyznę – chętnie podkreśla autor „Elegii dla bidoków".

Lektura „Elegii dla bidoków" to odtrutka na wiele złudzeń, które zbyt łatwo wpisywaliśmy w Polsce po stronie plusów w czasie dyskusji o amerykańskiej drodze życia. Dziś to często życie nowych nomadów, nie tylko wśród pracujących ubogich.

Nie wszyscy wierzą w karierę Vance'a. Wyjście z głębokiego mroku, stopniowa droga na szczyt – kontrast między jego dzieciństwem i nastoletnimi latami a dojrzewaniem i dorosłością jest zdumiewający. Nikt jednak jak dotąd nie zanegował autentyczności jego biografii, a przecież dziś jest na ustach nie tylko całej Ameryki. Korpus Piechoty Morskiej był dla niego trampoliną do lepszego życia. Ostatnie kilkadziesiąt stron książki to opowieść o studiach, harówce, samozaparciu, bogaceniu się. Dostajemy happy end i gorące apele, by bogaci Amerykanie nie zapominali o swoich biednych rodakach. I jeszcze gorętsze wezwanie: „[…] my, bidoki, musimy się wreszcie, k..., ogarnąć". Mam spore obawy, czy „wyciąganie się z kłopotów za własne cholewki" wystarczy Ameryce za program społeczno-polityczny, jeśli republikanie wrócą do władzy. Nie jestem pewien, czy wystarczy im gniew na liberalne elity, jeśli nic się głęboko nie zmieni systemowo w tamtejszym ładzie ekonomicznym. Ale także dzięki książce Vance'a nikt już nie może udawać, że amerykański koszmar to czyjś złośliwy wymysł. Szczególnie że także w naszym interesie jest, by amerykańskim bidokom zaczęło się lepiej żyć. ■

eprasa.pl 2e2f033bb9



Chiny: diabelski przemysł grabieży organów

Hanna Shen



eprasa.pl 2e2f033bb9



58-letni Cheng Pei Ming to pierwszy znany obywatel Chin, który ocalał mimo przeprowadzenia na nim procedury przymusowego pobrania organów. Teraz chce, aby świat usłyszał, jakiego zła dopuszcza się Komunistyczna Partia Chin.

FOT. WIKIMEDIA/ CREATIVE COMMONS CC0 1.0

9 sierpnia na konferencji prasowej w Waszyngtonie Cheng Pei Ming opowiedział przerażającą historię swojego życia w Chinach. Jego relacja to opis tego, przez jakie koszmary przechodzą więźniowie sumienia w Państwie Środka, szczególnie ci praktykujący Falun Gong; zeznania Chenga to dowód na to, jak Komunistyczna Partia Chin (KPCh) zbudowała diabelski przemysł grabieży i handlu organami.

„Torturowanie sprawia nam przyjemność"

Cheng pochodzi z małej wioski w prowincji Szantung. Był wielokrotnie zatrzymywany i torturowany w latach 1999–2004 za bycie członkiem ruchu Falun Gong. Falun Gong to praktyka duchowa zakorzeniona w tradycji buddyjskiej, w której wyznawcy dążą do samodoskonalenia m.in. przez medytację i ćwiczenia. W latach 90. ruch zaczął się cieszyć dużą popularnością w Chinach. KPCh szybko więc uznała go za groźnego rywala w walce o serca i dusze Chińczyków, ogłosiła niebezpiecznym kultem i w 1999 roku rozpoczęła najbardziej brutalną i do dziś nieprzerwaną kampanię przeciw wyznawcom Falun Gong. To oni stali się głównymi ofiarami chińskiego przemysłu grabieży organów.

Cheng Pei Ming po raz pierwszy został aresztowany we wrześniu 1999 roku. Był torturowany i kazano mu podpisać oświadczenie, że występuje z ruchu Falun Gong. Odmówił i władze wydaliły go wraz z rodziną z jego domu we wschodniej prowincji Szantung. W kolejnych latach Cheng był pięciokrotnie „porywany przez KPCh" i za każdym razem poddawany torturom, które sam określił jako „nie do zniesienia". Wielokrotnie podczas nich tracił przytomność. „Pamiętam, jak pytałem: Dlaczego mnie nie zabijecie? A oni powiedzieli: To zbyt łatwe, torturowanie was sprawia nam wielką przyjemność" – powiedział Cheng na konferencji. W 2002 roku został skazany na osiem lat więzienia. Był wówczas poddawany przymusowym badaniom krwi – sprawdzano w ten sposób przydatność jego organów do przeszczepów. Nie ustały także tortury. „Tortury w więzieniu były bardzo systematyczne. Były te psychiczne i te fizyczne. Wywierali presję psychiczną na mnie i członków mojej rodziny, ponieważ chcieli, abym zrezygnował z wiary w Falun Gong, a jeśli tego nie zrobię, mówili, że zmuszą moją żonę do rozwodu, gdy będę w więzieniu" – mówił Cheng. 16 listopada 2004 roku po godzinach tortur zwanych „wielkie rozciąganie", podczas których jego kończyny były boleśnie rozciągane ze wszystkich stron, Cheng połknął mały zardzewiały gwóźdź i tępe ostrze, które znalazł w sali tortur. Mimo że nie wykazywał natychmiastowych oznak złego

eprasa.pl 2f033bb9

stanu zdrowia, został siłą zabrany do szpitala. Rodzinę Chenga poinformowano, że operacja usunięcia przedmiotów, które połknął, jest bardzo niebezpieczna i że takie zabiegi przeżywa tylko 20 proc. pacjentów. Pracownicy Biura 610, określanego też mianem „chińskiego Gestapo", próbowali zmusić go do podpisania zgody na operację.

Chińskie Gestapo

Artykuł z 2011 roku w renomowanym chińskim periodyku „Caixin" przedstawił Biuro 610 jako kluczowy element „pracy na rzecz zachowania stabilności" prowadzonej przez KPCh. Oficjalna nazwa tej instytucji pochodzi od daty jego utworzenia – 10 czerwca 1999 roku. Biuro 610 to cywilna siła bezpieczeństwa skupiona na tłumieniu działalności Falun Gong. W momencie jej tworzenia ówczesny sekretarz generalny KPCh Jiang Zemin powiedział kadrom partyjnym, że „muszą ściśle współpracować" z 610 i jej oddziałami, a samemu biuru wydał rozkaz stosowania „wszelkich niezbędnych środków", by zniszczyć Falun Gong. Bicie ciężkimi przedmiotami, rażenie wrażliwych części ciała elektrycznymi pałkami, wyrywanie paznokci, karmienie na siłę ludzkimi odchodami, pozbawianie snu przez dni, a nawet tygodnie – to tylko niektóre z najczęstszych technik tortur, które personel 610 stosuje lub nadzoruje. „Niemoralnym czynem, który najbardziej mną wstrząsnął, są regularne napaści na kobiece genitalia przez Biuro 610 i policjantów" – napisał pekiński prawnik ds. praw człowieka Gao Zhisheng po dochodzeniu w sprawie nadużyć wobec Falun Gong w północno-wschodnich Chinach w 2005 roku. „Spośród prześladowanych niemal wszystkie kobiece genitalia i piersi oraz intymne części ciała każdego mężczyzny są obiektami seksualnych ataków, i to przeprowadzonych w najbardziej wulgarny sposób. Prawie wszyscy prześladowani, niezależnie od płci, są rozebrani do naga przed torturami" – raportował Gao, który za pomoc prześladowanym w ChRL sam doświadczył represji. Najpierw od 2007 roku spędził w więzieniu ponad 7 lat, a potem w 2017 roku po ucieczce z aresztu domowego został ponownie zatrzymany przez bezpiekę i do dziś nie wiadomo, gdzie przebywa. W 2018 roku KPCh ogłosiła, że rozwiązała Biuro 610, jednak dokumenty partyjne, do których dotarli dziennikarze amerykańskiej stacji NTD TV, wskazują, że jego funkcje są nadal aktywnie realizowane w Chinach, tyle że pod inną nazwą.

Ucieczka ze szpitala

Kiedy Cheng Pei Ming obudził się po operacji, przy której obecni byli urzędnicy Biura 610, był przykuty do łóżka, a na klatce piersiowej miał 35-centymetrowe nacięcie. Później w USA eksperci od transplantacji na podstawie badań potwierdzili, że części wątroby i lewego płuca Chenga zostały usunięte chirurgicznie. I to nie miał być koniec grabieży. W 2006 roku strażnicy więzienni znowu przewieźli go do szpitala. Jego rodzinie powiedziano, że połknął nóż i że będzie operowany, choć raczej nie ma szans na jego uratowanie. Wszystko to oczywiście było kłamstwem. Cheng tym razem niczego nie połknął i czuł się dobrze. W nocy przed planowaną operacją poprosił o rozkucie, aby móc skorzystać z toalety po drugiej stronie korytarza. Gdy wrócił do pokoju szpitalnego, strażnik zapomniał go skuć ponownie i zasnął. „Idąc do toalety, zauważyłem schody przeciwpożarowe. Wiedziałem więc, gdzie się znajdują, i mogłem ich użyć, aby spróbować uciec ze szpitala". Gdy Cheng opuścił teren szpitala, udał się do miasta Tianjin. Przez dziewięć lat żył jak uciekinier i ukrywał się pod fałszywymi nazwiskami. Wiedział, że KPCh szukała ludzi, którzy mogliby go zabić, „żeby ukryć to, co zrobili". Z czasem udało mu się uciec do Tajlandii, ale dobrze wiedział, że tam także może zostać zabity.

Karząca ręka KPCh sięga daleko

Sun Yi był także praktykującym Falun Gong schwytanym przez chińskie władze. Nie pobrano od niego organów, ale trafił do Masanjia, obozu reedukacji przez pracę w rejonie Yuhong niedaleko miasta Shenyang w prowincji Liaoning. W 2010 roku Julie Keith, Amerykanka mieszkająca w Oregonie, kupiła w Kmarcie [amerykańska sieć marketów – przyp. red.] kilka dekoracji na Halloween. Nie wykorzystała ich wszystkich i niektóre z pudełek otworzyła dopiero dwa lata później. Wtedy znalazła tam list:

„Jeśli przypadkowo kupił Pan ten produkt, proszę o ponowne przesłanie tego listu do Światowej Organizacji Praw Człowieka. Tysiące ludzi tutaj, którzy są prześladowani przez rząd Komunistycznej Partii Chin, będą Panu dziękować i pamiętać o Panu. […] Ludzie, którzy tu pracują, muszą pracować 15 godzin dziennie bez przerw w soboty, niedziele i święta. W przeciwnym razie będą narażeni na tortury, bicie i niegrzeczne uwagi. Prawie brak wynagrodzenia (10 juanów/1 miesiąc). Ludzie, którzy tu pracują, odbywają karę średnio od roku do trzech lat, ale bez wyroku sądu (kara bezprawna). Wielu z nich to praktykujący Falun Gong, którzy są ludźmi całkowicie niewinnymi i są tu tylko dlatego, że mają inne przekonania niż KPCh. Często ponoszą karę większą niż inni".

Kobieta natychmiast przesłała kopię listu do organizacji Human Rights Watch i do lokalnej ga-

eprasa.pl 2e2f033bb9

zety. Historię prawie natychmiast podchwyciły „The New York Times" i CNN. List napisał właśnie Sun Yi, któremu w 2016 roku udało się uciec z Chin do Indonezji. Tam spotkał Julie Keith i się zaprzyjaźnili. Niestety w 2017 roku oczekując na przyznanie mu statusu uchodźcy, zmarł w Dżakarcie. Oficjalną przyczyną śmierci była niewydolność nerek, ale ani jego rodzina, ani osoby, które mu pomagały, w to nie wierzą. Julie Keith nie ma wątpliwości, że został zamordowany przez chińską bezpiekę.

Przeżył, by opowiedzieć o zbrodni KPCh

Cheng Pei Min miał więcej szczęścia. W 2020 roku trafił do Stanów Zjednoczonych. W czerwcu br. Izba Reprezentantów USA przyjęła ustawę tzw. Falun Gong Protection Act, której celem jest wymuszenie zakończenia kampanii prześladowań prowadzonej przez chiński reżim przeciwko Falun Gong. Inicjatorem ustawy jest członek Izby Reprezentantów Scott Perry (republikanin z Pensylwanii), który powiedział, że „grabież organów – forma masowego morderstwa – to coś podobnego do tego, co robił Josef Mengele, ale dzieje się to dzisiaj". Dodał, że „w Chinach, jeśli masz pieniądze, nie ma listy oczekujących na organy. […] Organy są dostępne od ręki". Jeśli Falun Gong Protection Act zostanie przyjęty przez senat i podpisany przez prezydenta USA, będzie to oznaczało, że nałożone zostaną sankcje na chińskich oficjeli, przywódców wojskowych lub inne osoby, które są „świadomie odpowiedzialne za grabież organów w Chinach, współdziałają w tym procederze lub są w niego bezpośrednio lub pośrednio zaangażowane". Każda osoba objęta sankcjami nie będzie mogła wjechać do USA ani uczestniczyć w amerykańskich transakcjach, a jej obecna wiza zostanie cofnięta. Ustawa przewiduje również karę cywilną w wysokości do 250 tys. dolarów oraz karę kryminalną w wysokości 1 mln dolarów i 20 lat więzienia dla przestępców zamieszanych w ten proceder. Podjęcie sprawy grabieży organów w Chinach przez amerykański kongres ośmieliło Cheng Pei Mina. Uznał on, że nadszedł czas, by świat usłyszał jego historię. Cheng przeżył, aby być żywym dowodem na tę usankcjonowaną przez chińskie państwo diabelską formę prześladowań.

Wśród ofiar także chrześcijanie

Opublikowany w 2006 roku przez Kanadyjczyków Davida Matasa, prawnika zajmującego się prawami człowieka, i Davida Kilgoura, byłego sekretarza stanu tego kraju, raport dotyczący roli, jaką odgrywają chińskie władze w pobieraniu organów od więźniów sumienia, pokazuje, że ofiarami tej zbrodniczej praktyki KPCh są nie tylko członkowie ruchu Falun Gong, lecz także chrześcijanie, Tybetańczycy i Ujgurzy. 10 lat później Matas i Kilgour we współpracy z Ethanem Gutmannem, amerykańskim dziennikarzem śledczym i autorem książki pt. „Rzeź – masowe morderstwa, nielegalne pobieranie organów a sekretne rozwiązanie problemu dysydentów w Chinach", przygotowali drugą część raportu. Nosi ona tytuł „Krwawe żniwo. Oficjalne dane chińskie mówią o 10 tys. transplantacji dokonywanych w Państwie Środka w ciągu roku. Twórcy raportu twierdzą, że liczba ta wynosi 60–100 tys. Autorzy raportu piszą, że dużo większe liczby od tych oficjalnych, publikowanych przez władze, można otrzymać po zsumowaniu danych pochodzących z chińskich szpitali, w których przeprowadza się transplantacje. I tak dane rządowe mówią tylko o ponad 100 szpitalach, gdzie dokonuje się przeszczepów, tymczasem autorzy raportu skontaktowali się z ponad 700 tego typu placówkami. Te nieprawdziwe statystyki rządowe mają po prostu ukryć fakt, że na potrzeby większości zabiegów narządy pobiera się od więźniów. A na całym procederze zarabiają partyjni aparatczycy, szpitale i lekarze.

A klienci są na całym świecie. Narządy skazanych dysydentów są sprzedawane tzw. turystom – oczekującym na przeszczepy chorym z innych państw Azji, USA i Europy, a także bogatym obywatelom ChRL. Pobrane w prawidłowy sposób organy mogą przynieść zysk w granicach 200–300 tys. dolarów od każdej ofiary. Na stronie jednego ze szpitali Armii Ludowo-Wyzwoleńczej czytamy, że w ostatnich latach ośrodek transplantacji znajdujący się w tej jednostce „stał się głównym zakładem opieki zdrowotnej przynoszącym zyski z dochodem brutto 30 mln juanów [około 17,8 mln zł] w 2006 roku, a w 2010 roku już 230 mln juanów [około 136 mln zł] – co jest niemal ośmiokrotnym wzrostem w ciągu pięciu lat". Ważnymi klientami przemysłu grabieży organów są także wysocy chińscy oficjele. Enver Tohti, kiedyś chirurg z Xinjiangu, który zmuszony został do przeprowadzenia operacji na więźniu po to, by pobrać od niego organy, a dziś mieszkający w Wielkiej Brytanii, zwraca uwagę, że „specjalny system opieki zdrowotnej w Chinach jest przeznaczony dla wysokich rangą urzędników. Opracowano program, który ma zapewnić, że wysocy rangą urzędnicy będą żyć dłużej". I do tego także przydają się organy od więźniów sumienia, którzy – jak twierdzi Tohti – są traktowani przez KPCh „tylko jako aktywa państwowe, a nie jako istoty ludzkie". ■

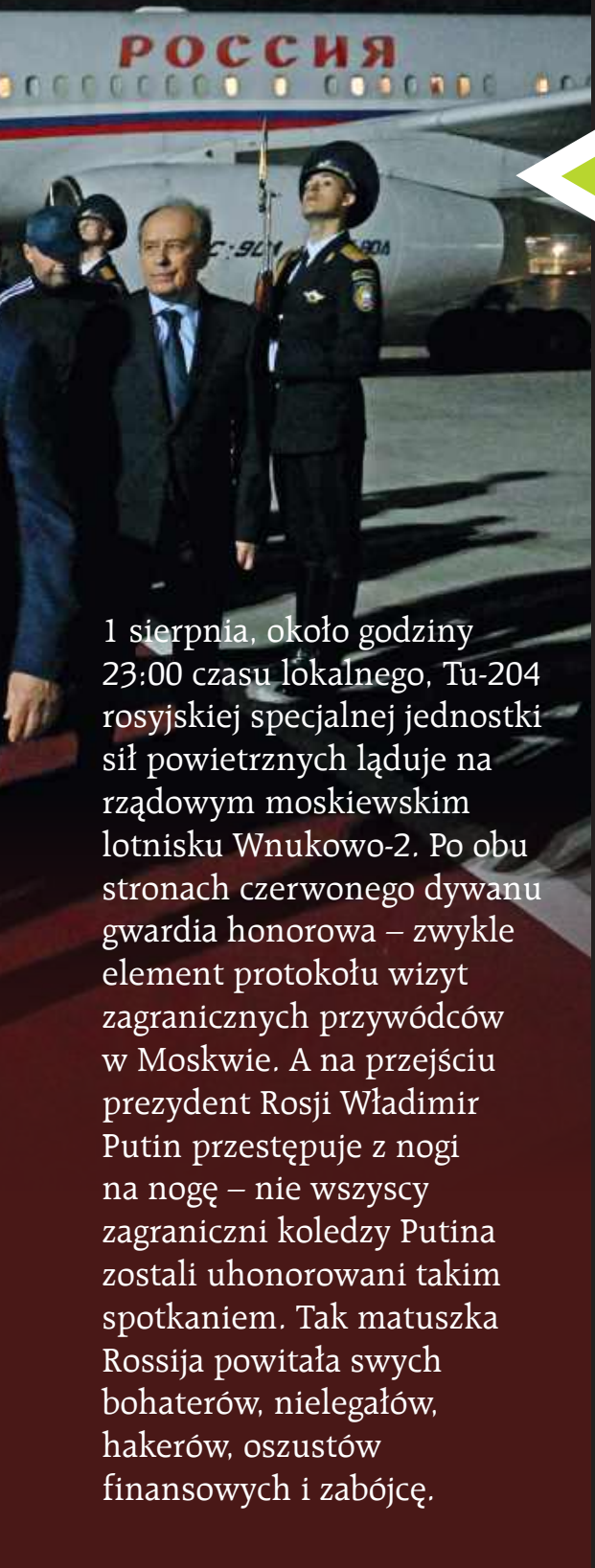
eprasa.pl 2e2f033bb9



Antoni Rybczyński

Szpiedzy za zakładników. Putin znów wygrał

eprasa.pl 2e2f033bb9



1 sierpnia, około godziny 23:00 czasu lokalnego, Tu-204 rosyjskiej specjalnej jednostki sił powietrznych ląduje na rządowym moskiewskim lotnisku Wnukowo-2. Po obu stronach czerwonego dywanu gwardia honorowa – zwykle element protokołu wizyt zagranicznych przywódców w Moskwie. A na przejściu prezydent Rosji Władimir Putin przestępuje z nogi na nogę – nie wszyscy zagraniczni koledzy Putina zostali uhonorowani takim spotkaniem. Tak matuszka Rossija powitała swych bohaterów, nielegałów, hakerów, oszustów finansowych i zabójcę.

FOT. PAP/EPA/MIKHAIL VOSKRESENSKIY/SPUTNIK/KREMLIN POOL

W drugiej połowie lipca pojawiły się doniesienia, że Rosja przygotowuje się do wielkiej wymiany więźniów z Zachodem. Transakcja była przygotowywana od ponad sześciu miesięcy z udziałem Białego Domu, Departamentu Stanu USA i CIA i utrzymywano ją w ścisłej tajemnicy. Świat zobaczył tę wymianę na płycie lotniska z Ankarze, 1 sierpnia.

Liczba to nie wszystko

To była największa wymiana więźniów między Rosją a Zachodem od czasów zimnej wojny. W zamian za Wadima Krasikowa, który zabił czeczeńskiego emigranta w Berlinie, oraz kilku innych oficerów wywiadu i agentów Kremla, Moskwa przekazała Zachodowi zgromadzonych wcześniej zakładników: 10 więźniów politycznych, w tym Władimira Kara-Murzę i Ilję Jaszyna, oraz kilku obywateli USA i Niemiec skazanych w Rosji za szpiegostwo, z których najbardziej znanym był dziennikarz „The Wall Street Journal" Evan Gershkovich. Jak zauważa Andriej Sołdatow, znawca tematyki rosyjskiego aparatu bezpieczeństwa i służb specjalnych, ta wymiana była wyjątkowa, bo po raz pierwsza objęła nie tylko szpiegów lub osoby oskarżone o szpiegostwo lub zdradę, lecz także działaczy politycznych.

W sumie uwolniono 26 więźniów, w tym 16 zatrzymanych w Rosji i Białorusi oraz ośmiu zatrzymanych i dwóch nieletnich (dzieci pary nielegałów) ze Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Polski, Słowenii i Norwegii. Rosja powitała swoich więźniów z otwartymi ramionami i zorganizowała osobiste spotkanie z prezydentem Rosji Władimirem Putinem. Dwóch za jednego – na korzyść Zachodu. Porażka Putina? Na pewno nie. Zanim przejdziemy do konsekwencji tej wymiany, rzućmy okiem na to, kto z której strony zyskał wolność.

Rosja wydała trzy osoby z paszportem USA (w tym jedną także z obywatelstwem Rosji): dwójkę dziennikarzy i byłego żołnierza marines. Do tego znanych opozycjonistów Władimira Kara-Murzę i Ilję Jaszyna. Ten drugi związany był z Nawalnym. Podobnie jak trzy inne osoby. Warto zwrócić uwagę na pięć osób z obywatelstwem niemieckim, w tym trzy mające też paszport Rosji. Kogo Putin odzyskał? Agenta jednostki specjalnej Alfa FSB, Wadima Krasikowa, który w centrum Berlina zamordował byłego czeczeńskiego komendanta polowego. Troje nielegałów, zdemaskowanych w Norwegii i Słowenii (nielegałowie to najcenniejsza kategoria szpiegów, inwestuje się w nich przez

eprasa.pl 202f033bb9

wiele lat). Oszust finansowy, syn znanego deputowanego Dumy. Haker związany z GRU, inny agent GRU, wreszcie pracujący także dla wywiadu wojskowego pod przykryciem dziennikarza „Hiszpan". Późnym wieczorem w Moskwie Putin w towarzystwie szefów FSB, SWR i ministra obrony powitał odzyskanych agentów na lotnisku. Podziękował im za wierność przysiędze i obiecał wręczyć odznaczenia państwowe.

Natychmiast pojawiły się opinie, że to Rosja przegrała na tej wymianie, bo wypuściła 16 osób w zamian za osiem. Nic bardziej błędnego. Tak, wymiana była 2:1, tyle że to Kreml odzyskał niebezpiecznych agentów w zamian za wrobionych cywilów z Zachodu i działaczy opozycji, która w Rosji ma marginalne znaczenie obecnie. Andrew Payne, wykładowca polityki zagranicznej na City University of London, powiedział Business Insider, że Putin wygrał tę historyczną transakcję (największą od zakończenia zimnej wojny). „Więźniowie, których Putin chciał odzyskać, byli zabójcami, oficerami wywiadu, osobami piorącymi pieniądze i wieloma ludźmi, którzy służyli bezpośrednim interesom Kremla" – powiedział Payne. Kto w zamian? Głównie dziennikarze lub ludzie, „którzy zostali aresztowani na podstawie stosunkowo wątłych i znacznie mniej poważnych zarzutów".

Dychotomia między reakcjami Kremla na powrót swoich więźniów w porównaniu z reakcjami Zachodu i rodzajem wymienianych więźniów – uwolnienie przez Rosję dziennikarzy, aktywistów i opozycjonistów w porównaniu z uwolnieniem przez Zachód niebezpiecznych przestępców – pokazuje, jak Kreml Putina nadal nielegalnie przetrzymuje opozycjonistów i obcokrajowców dla własnych korzyści. Charakter wymiany wskazuje również na różnicę w celach obu stron: Zachód dąży do uwolnienia swoich obywateli, podczas gdy Kreml ma nadzieję na repatriację przestępców i ponowne wykorzystanie ich do osiągnięcia własnych interesów. Nierówny status wymienianych osób potwierdził skuteczność strategii Moskwy. Kreml odzyskał ważnych szpiegów-nielegałów, hakerów i zabójcę w zamian za grupę więźniów politycznych i dziennikarzy uwięzionych pod zmyślonymi zarzutami. Co więcej, retoryka niektórych uwolnionych liderów rosyjskiej opozycji na temat wpływu zachodnich sankcji może działać na korzyść Kremla. Moskwa otrzymała potwierdzenie, że jej strategia wykorzystywania zagranicznych, podwójnych lub rosyjskich obywateli sprzeciwiających się reżimowi jako atutu do uwolnienia znanych międzynarodowych przestępców działa. Strategia ta została pomyślnie przetestowana pod koniec 2022 roku, kiedy to międzynarodowy przestępca i handlarz bronią Wiktor But został wymieniony na bezprawnie zatrzymaną amerykańską koszykarkę Brittney Griner.

Kiler, kolega Putina

Putin poinstruował rosyjskie służby bezpieczeństwa, aby negocjowały wymianę Wadima Krasikowa, który został aresztowany w Berlinie za morderstwo, jeszcze w 2021 roku. Do tego czasu Rosja miała tylko jednego odpowiedniego kandydata na wymianę: byłego żołnierza piechoty morskiej USA Paula Whelana, który rok wcześniej został skazany za szpiegostwo. Wymiana zależała jednak całkowicie od stanowiska Niemiec, które nie miały ani podstaw prawnych, ani chęci uwolnienia Krasikowa, biorąc pod uwagę okoliczności morderstwa. Ale Putin nalegał na wymianę Amerykanina na Krasikowa. Stanowisko to zostało potwierdzone jego amerykańskiemu odpowiednikowi przez dyrektora FSB Aleksandra Bortnikowa jeszcze przed aresztowaniem Gershkovicha, w marcu 2022 roku. Kreml był przekonany, że USA z łatwością rozkażą Niemcom, aby przekazali właściwego więźnia. Pomysł wymiany Krasikowa na Aleksieja Nawalnego (wraz z grupą innych więźniów) zaczął być poważnie rozważany w 2022 roku. W Niemczech spotkało się to ze zrozumieniem ze strony kanclerza Olafa Scholza, który był bardzo przychylny Nawalnemu i spotkał się z nim osobiście. Ale minister spraw zagranicznych Annalena Baerbock była zdecydowanie przeciwna.

Publicznie Putin po raz pierwszy zwrócił uwagę na Krasikowa w wywiadzie dla Tuckera Carlsona opublikowanym 9 lutego 2024 roku, tydzień przed śmiercią Aleksieja Nawalnego w kolonii. „W jednym kraju, kraju sprzymierzonym ze Stanami Zjednoczonymi, siedzi człowiek, który z pobudek patriotycznych zlikwidował bandytę w jednej z europejskich stolic" – powiedział w wywiadzie. Kilka miesięcy wcześniej Roman Abramowicz, który działał jako pośrednik, przekazał przywódcom USA za pośrednictwem Rogera Carstensa, że Putin nie był przeciwny wymianie Krasikowa na Nawalnego. Tego samego dnia, w którym ukazał się wywiad Putina z Carlsonem, Scholz poleciał do Waszyngtonu, gdzie spotkał się z Bidenem w cztery oczy, bez doradców i sekretarzy, i powiedział, że Niemcy byłyby skłonne oddać Krasikowa. Podczas tego spotkania wymiana została już szeroko uzgodniona – Biden i Scholz uzgodnili, że umowa obejmie Nawalnego, Gershkovicha i Whelana po

eprasa.pl 2e2f033bb9

stronie rosyjskiej oraz Krasikowa i rosyjskich szpiegów skazanych w Norwegii i Słowenii po stronie zachodniej.

Jednak dokładnie tydzień później służba więzienna FSIN ogłosiła, że Nawalny zmarł w kolonii. To przerwało wszelkie negocjacje w sprawie wymiany. W tym samym czasie przygotowania do wymiany stały się publicznie znane – ogłosili to współpracownicy Nawalnego. Natychmiast powiedzieli, że Putin zabił Nawalnego, ponieważ nie chciał go wydać. Ale przerwa nie trwała długo. Już od maja służby wywiadowcze Rosji prowadziły zażarte spory o listę więźniów politycznych do wymiany, nie ukrywając, że celem jest uwolnienie jak największej liczby osób. Szczegóły uzgodniono w czerwcu i lipcu podczas serii spotkań w bliskowschodnich stolicach. Wyznacznikiem porozumienia był szybko toczący się proces Gershkovicha i wyrok z 19 lipca: 16 lat surowego reżimu. Bez wyroku ułaskawienie i wymiana były niemożliwe.

Kiedy Putin spotkał się z uwolnionymi Rosjanami na lotnisku, dziennikarze natychmiast zauważyli jego oczywistą osobistą znajomość z Krasikowem, którego Putin przyjaźnie uściskał i pozdrowił. Publicznie dostępna biografia Krasikowa jest skąpa. Urodził się w 1965 roku, walczył w Afganistanie w specnazie Sił Powietrznodesantowych i jest oficerem FSB, ale możliwe, że również oficerem FSO. Zyskał światową sławę po tym, jak w sierpniu 2019 roku zastrzelił byłego czeczeńskiego dowódcę polowego Zelimchana Changoszwilego w samym sercu berlińskiego parku Tiergarten, po tym jak podjechał za nim na rowerze. Został zatrzymany dzięki czujności osób postronnych i szybkiej akcji policji. Dwa lata później Krasikow, który podróżował do Niemiec na fałszywych dokumentach na nazwisko Wadim Sokołow, został skazany na dożywocie. Prokuratura uznała zabójstwo Changoszwilego za zemstę, a władze rosyjskie za zleceniodawcę.

Śledztwo przeprowadzone przez The Insider i Bellingcat oraz „Der Spiegel" w sprawie Krasikowa ujawniło, że jest on doświadczonym zabójcą. W 2007 roku był zamieszany w sprawy zastrzelenia karelskiego biznesmena i deputowanego miejskiego Jurija Kozłowa oraz biznesmena Alberta Nazranowa w Moskwie w 2013 roku. „WSJ" w swoim dużym artykule pisze, że zachodnie agencje wywiadowcze uważają, że Krasikow był osobistym ochroniarzem Putina. Dmitrij Pieskow powiedział o uwolnionym zabójcy: „Krasikow jest pracownikiem FSB. Służył w Alfa. Co ciekawe, kiedy służył w Alfa, służył razem z kilkoma członkami ochrony prezydenta". Krasikow jest rzeczywiście kolegą Putina i daleko mu do zwykłego ochroniarza, jak twierdzi artykuł niemieckiego tabloidu „Bild". Nie jest możliwe zweryfikowanie informacji zawartych w publikacji, która powołuje się również na zachodnie agencje wywiadowcze, ale twierdzi, że Krasikow został sprzedany za tak wysoką cenę, ponieważ mógł powiedzieć zbyt wiele. Bild twierdzi, że Krasikow znał przyszłego prezydenta, gdy Putin pracował w biurze mera Petersburga, i odegrał rolę w dojściu Putina do władzy – a nawet mógł być zamieszany w śmierć byłego gubernatora Petersburga Anatolija Sobczaka w 2000 roku. Nie ma jednak sposobu, aby zweryfikować te informacje, a w artykule „Bilda" nie ma żadnych wiarygodnych szczegółów.

▶ Rosja broni swoich

Krasikow to tylko jeden z cennych agentów Putina odzyskanych w ramach wymiany więźniów. Pablo Gonzalez vel Paweł Rubcow został aresztowany w Polsce w lutym 2022 roku pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Rosji. ABW podała wówczas, że zidentyfikowała go jako agenta rosyjskiego wywiadu wojskowego (GRU). Gonzalez vel Rubcow został oskarżony o „prowadzenie działalności na rzecz Rosji z wykorzystaniem swojego statusu dziennikarskiego", w tym w „strefach dotkniętych konfliktami zbrojnymi i obszarach napięć politycznych". Od lat działał jako hiszpański dziennikarz-freelancer. Wkrótce po jego aresztowaniu niezależne rosyjskie media informowały, że sporządził on raporty na temat córki Niemcowa, Żanny, po tym jak się z nią zaprzyjaźnił. To, że Gonzalez vel Rubcow pojawił się na niezbyt długiej liście osób, których zwolnienia Rosja zażądała w ramach „historycznej" wymiany, potwierdza sukces, jakim było jego zatrzymanie w 2022 roku przez ABW i zarazem do cna kompromituje wielu działaczy ówczesnej opozycji oraz „działaczy praw człowieka", którzy wystąpili w obronie szpiega. Choćby takiego „fachowca" PO od służb, jak Piotr Niemczyk, czy taką „ekspertkę" od dezinformacji, jak Anna Mierzyńska. Od razu przypomniano im, co wypisywali w obronie Gonzaleza i w krytyce polskich służb specjalnych.

Kogo zaś wypuściła Rosja, obok aresztowanych czy nawet skazanych za błahe przewinienia obywateli USA i Niemiec? Kilku Rosjan, którzy zostali uwięzieni we własnym kraju, zostało skazanych w procesach postrzeganych na Zachodzie jako całkowicie motywowane politycznie, za zdradę lub zaangażowanie w rzekome działania „ekstremistyczne". Inni zostali uznani za winnych dyskredytowania rosyjskiej

eprasa.pl 2e2f033bb9

armii lub rozpowszechniania tego, co rząd Putina uważa za fałszywe informacje na temat wojny przeciwko Ukrainie. Ich wydanie Zachodowi staje się niejako potwierdzeniem, że byli „agentami Zachodu", ludźmi, do których Putin jeszcze w marcu 2022 roku odniósł się, mówiąc, że Rosjanie „zawsze będą w stanie odróżnić prawdziwych patriotów od szumowin i zdrajców i po prostu wyplują ich jak muchę, która przypadkowo wleciała im do ust". Putin pokazał swoim agentom i wszystkim innym osobom działającym w interesie Kremla za granicą, że nie ma zamiaru nikogo porzucać i zrobi wszystko, co konieczne, aby ich odzyskać, nawet w obliczu ostrej konfrontacji z Zachodem. „W obliczu toczącej się wojny, a nawet wcześniej, wizerunek Putina wśród osób wewnątrz agencji bezpieczeństwa jest niezwykle ważny. W tym przypadku pokazuje, że staje w obronie swoich ludzi, którzy wykonują świętą pracę, mści się za ich kolegów i zapłaci każdą cenę, aby wyciągnąć ich z kłopotów" – skomentował wymianę znawca tematyki służb specjalnych Rosji, Andriej Sołdatow.

Dla przeciwników rosyjskiego reżimu mieszkających w Europie wiadomość o wymianie to zły sygnał. Udowodniła, że można zabić przeciwnika Putina w centrum Berlina i stosunkowo szybko wrócić do domu. Putin raz jeszcze, i to w sposób niezwykle mocny, pokazał Rosjanom, że lojalność popłaca. Bądź lojalny wobec reżimu, a reżim o tobie nigdy nie zapomni. Putin jest pamiętliwy nie tylko w stosunku do wrogów. Może rzucać tysiące rodaków pod ogień ukraiński w roli mięsa armatniego, ale ludzi pracujących dla służb, wykonujących elitarne działania, niejako medialnych, nie zostawi w biedzie. Stąd tak naprawdę najważniejszą postacią, którą Putin uwolnił, jest Wadim Krasikow, agent FSB, który odsiadywał wyrok dożywocia w Niemczech za zamordowanie w 2019 roku, w biały dzień w znanym berlińskim parku, Zelimchana Changoszwilego, obywatela Gruzji i byłego komendanta polowego walczącego w Czeczenii z Rosjanami.

Nie ma też wątpliwości, że i po stronie amerykańskiej ważną rolę odegrały partykularne interesy rządzącej ekipy. Mówiący od dawna o potrzebie uwolnienia rodaków więzionych w Rosji Biden mógł pokazać się z nimi w świetle kamer. W towarzystwie oczywiście Kamali Harris. Która nie omieszkała też poinformować, że zadzwoniła do wdowy po Nawalnym. Widać wyraźnie jakieś próby budowania przez obecną ekipę rządzącą w USA emigracyjnego środowiska opozycji rosyjskiej opartego na ludziach Nawalnego (kilkoro z nich właśnie objęto wymianą). Bloomberg pisze, że amerykańscy urzędnicy uważają wymianę za „sukces ich długotrwałych wysiłków na rzecz uwolnienia amerykańskich obywateli niesprawiedliwie przetrzymywanych za granicą", chociaż to Putin odniósł wielkie zwycięstwo, zapewniając uwolnienie przede wszystkim Wadima Krasikowa. Biden okrzyknął wymianę „wyczynem dyplomacji" i zasugerował, że będzie ona poza możliwościami jego rywala, byłego prezydenta Donalda Trumpa. Putin wygrał na poziomie transakcyjnym, umowa przyniosła również duże polityczne korzyści Bidenowi. Nie ma wątpliwości, że Amerykanie poszli na ten układ, by zapunktował wyborczo kandydat demokratów.

Politycznie zyskał też Berlin. Olaf Scholz spotkał się z uwolnionymi Rosjanami i Niemcami przybywającymi do Niemiec na lotnisku pod Kolonią. Z listy niemieckich obywateli, którzy zostali wymienieni, jasno wynikało, że rosyjskie służby bezpieczeństwa z wielkim trudem zgromadziły ich w roli zakładników specjalnie na wymianę Krasikowa: turystę, którego bagaż zawierał sześć żelków z marihuaną, 19-latka oskarżonego o „fotografowanie obiektów wojskowych", gdy miał 16 lat, oraz prawnika, który pomógł byłym rezydentom Wspólnoty Niepodległych Państw uzyskać niemieckie pozwolenia na pobyt (jego zarzut zdrady stanu nie został nawet sformułowany). Scholz może teraz słusznie grać kartą moralnie odpowiedzialnego polityka i już zaczął to robić. Nie jest jednak jasne, w jakim stopniu zrekompensuje to szkody polityczne spowodowane wydaniem zabójcy Krasikowa Putinowi: w swoim kraju Scholz jest oskarżany o „poddanie się Amerykanom".

Ta „historyczna" wymiana więźniów powinna zaniepokoić Ukrainę i wszystkich innych przeciwników rozejmu z Rosją co najmniej zamrażającego obecny stan rzeczy na froncie. Okazało się, że Moskwa i Waszyngton potrafią ze sobą zakulisowo rozmawiać i dochodzić do porozumienia. Co więcej, wraz ze zwolnieniem kilkorga obywateli USA, znika jeden z głównych punktów zapalnych w relacjach Moskwa–Waszyngton. Putin oczyszcza w ten sposób sobie pole do negocjacji z USA i zmiękcza potencjalne stanowisko Ameryki. Ta wymiana ustanowiła też precedens, który zachęci Rosję do brania większej liczby zakładników, by wymieniać ich na agentów swoich służb, jeśli wpadną na Zachodzie. Rosja gromadzi obywateli państw zachodnich, głównie Amerykanów, ale też Niemców, w swoich więzieniach, aby móc nimi później handlować. Jest też jeszcze jeden negatywny skutek tej wymiany. Oto Moskwa pokazała, że może nie tylko negocjować z Zachodem niezależnie od wojny na Ukrainie, lecz także zawierać z Zachodem umowy. ■

eprasa.pl 2e2f033bb9

Ryszard Czarnecki

Na sportowym dnie. Co dalej?

W setną rocznicę pierwszego startu Biało-Czerwonych na letnich igrzyskach olimpijskich, na kolejnych igrzyskach w stolicy Francji Polska poniosła sportową klęskę. Mniej medali niż w tym roku ostatni raz zdobyliśmy przed 68 laty w Australii, w Melbourne. Wtedy było ich dziewięć, teraz 10, tyle że na Antypodach nasza reprezentacja była trzy razy mniejsza niż w tym roku w Paryżu. Tyle samo medali co na francuskich IO zdobyliśmy też w Atenach w 2004 roku, ale wówczas trzy z nich były złote, a tym razem tylko jeden.

Jeszcze gorzej wypadliśmy w klasyfikacji medalowej, w której po raz pierwszy w historii Polska znalazła się w piątej dziesiątce! To najgorsze miejsce w dziejach udziału Polaków na igrzyskach. Dotychczas w tej olimpijskiej tabeli medalowej najsłabiej wypadliśmy trzy lata po II wojnie światowej: Polska, która straciła 6 mln obywateli, zajęła w Londynie w 1948 roku wraz z Portoryko 34. miejsce. To, co szczególnie mogło zaboleć, to fakt, że przed nami w klasyfikacji znalazły się państwa, które na każdych igrzyskach były za nami. Niekojarzony jako sportowa potęga Uzbekistan zdobył na tegorocznych IO osiem razy więcej złotych medali niż Polska!

Jak to możliwe, że w ciągu zaledwie trzech lat nastąpił taki regres? Na igrzyskach w Tokio, które miały odbyć się w 2020 roku, ale miały miejsce ze względu na pandemię rok później, Polska była 17. w klasyfikacji medalowej. Teraz nastąpił zjazd aż o 25 miejsc! Na własny użytek zrobiłem osobną klasyfikację, biorąc pod uwagę tylko państwa członkowskie Unii Europejskiej. I tak w stolicy Japonii zajęliśmy szóste miejsce, ustępując tylko krajom większym od nas, jak Niemcy, Francja, Włochy, Hiszpania, oraz jako jedynemu krajowi o mniejszej liczbie ludności – Holandii. Zrobiłem też inną klasyfikację, która objęła już nie kraje UE, lecz wszystkie państwa Starego Kontynentu. I tak na azjatyckich IO raptem 36 miesięcy temu byliśmy na ósmym miejscu w Europie, a na europejskich IO w 2024 roku na niewyobrażalnie odległym miejscu 23.!

To doprawdy klęska. Można się pocieszać, że w niektórych innych państwach też trwa gigantyczna awantura o słabe wyniki na igrzyskach, ale marne to pocieszenie. W Niemczech, kraju dwa razy od nas większym pod względem liczby ludności, uznano za narodową katastrofę zdobycie zaledwie 33 medali (a więc przeszło trzy razy więcej niż my). Co ciekawe, niemieccy sportowcy nie wahają się atakować w tym kontekście… tamtejszych polityków. I tak zdobywcy złotego medalu w wioślarstwie w męskiej czwórce publicznie oskarżyli kanclerza Olafa Scholtza, że pokazuje się ze sportowcami swojego kraju tylko przy okazji ich spektakularnych triumfów, odcina od tego polityczne kupony, ale sam w ogóle sportem wyczynowym się nie interesuje i sportowcom nie pomaga.

W Polsce takich głosów sportowców „anty-Tusk" nie było. Nasi narzekali wyłącznie na związki sportowe, czasem na sędziów (akurat słusznie, bo naszą pięściarkę Elżbietę Wójcik stronniczy arbitrzy okradli z olimpijskiego medalu).

Co dalej? Polski sport wymaga poważnych reform, których nie zastąpi żenująca wojna między resortem ministra Sławomira Nitrasa a Polskim Komitetem Olimpijskim prezesa Radosława Piesiewicza. Warto wyciągnąć wnioski z doświadczeń innych państw, które też kiedyś znalazły się w sportowym dołku, aby potem dzięki systemowym zmianom znów wdrapać się na sportowy Olimp. Najlepszym przykładem jest Wielka Brytania, która na Igrzyskach Olimpijskich w USA (Atlanta1996 rok) poniosła największą klęskę w historii, zdobywając raptem jeden złoty medal – jak Polska teraz – i lądując w czwartej dziesiątce w klasyfikacji medalowej. Wówczas sanacji brytyjskiego sportu podjął się brytyjski premier, konserwatysta John Major, całkowicie zmieniając system jego finansowania. Przeznaczył znaczną część dochodów loterii państwowej na sport wyczynowy i powołał specjalną organizację – poza rządem! – która zajęła się sportem wyczynowym, koncentrując środki finansowe na dyscyplinach, w których Brytyjczycy odnosili największe sukcesy oraz tych najbardziej „medalodajnych". Czy to droga dla Polski? ■

eprasa.pl 2e2f033bb9



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Rio: miasto strachu pełnego nadziei

Wielu turystów, którzy nadchodzącej zimy odwiedzą sławne brazylijskie Rio, nawet nie zobaczy tych miejsc. Wielu nie będzie mieć pojęcia o ich istnieniu. Wielu nie usłyszy o takich miesiącach w roku, gdy odnotowywanych jest tu nawet do 700 strzelanin. O porachunkach, w wyniku których potrafi zginąć nawet do 150 osób. Jak choćby wówczas, gdy w pamiętny lipcowy piątek 1993 roku policja otworzyła ogień do grupy 70 śpiących pod kościołem Candelária dzieci. Dzieci, z których część trudniła się narkobiznesem oraz przestępczą działalnością. Tak, o tym Rio część z odwiedzających miasto nigdy się nie dowie. O mieście, w którym przemoc, gwałt i śmierć odmieniane są przez wszystkie przypadki. Ale i zarazem o mieście, w którym krzyk o Boże Miłosierdzie i przebaczenie słyszalny jest jak nigdzie indziej na świecie.



FOT. DANIEL OLIVIER, PXHERE, PEXELS



W biedzie i niedostatku. Ale za to z radością chwili i docenieniem tego, co najmniejsze. Życie na brazylijskiej faweli to nauka dla każdego bez wyjątku.

Tej nocy ksiądz Jan nie spał dobrze. Około drugiej godziny obudziły go krzyki przechadzającej się ulicami Cocotá młodzieży. Szwendali się to w jedną, to w drugą stronę. Jakby nie mogąc się zdecydować. Coraz głośniej debatując, gdzie tu by najlepiej kontynuować nocną libację. W pewnym momencie stali już tak blisko okna, że marianin słyszał wyraźnie każde ich słowo. Przerywane raz po raz siarczystymi przekleństwami. Duchowny doskonale wiedział, że w tej chwili nie ma co wstawać z łóżka i upominać głośnych winowajców. Wszak mogłoby to tylko pogorszyć sprawę. Jutro rano ksiądz Jan miałby na dzielnicy najprawdopodobniej wiele nieprzyjemności. Przy korzystnym zbiegu okoliczności spędziłby po prostu drugą resztę tej nocy na komisariacie. Albo w szpitalu.

Ksiądz Jan ratował się zatem poduszką, przytykając możliwie szczelnie uszy. Zasnął dopiero około piątej nad ranem. Krótki sen przełożył się na poranną formę duchownego. Podchodząc do łazienkowego lustra, nawet nie spogląda na siebie. Odruchowym gestem, jakby po omacku otwiera szafkę, by wyjąć z niej ulubioną golarkę. Teraz tylko pianka, kilka zamaszystych ruchów ręką i można spłukiwać. Woda jak co dzień na wschodnim brzegu Wyspy Gubernatora w Rio de Janeiro, gdzie mieszka marianin, potrzebuje dużo czasu, aby spłynąć rurociągami. Pod tym względem ta część miasta nie różni się od pozostałych. Poranna toaleta musi potrwać. Tu pośpiech nie będzie dobrym doradcą. Zwłaszcza tu. W aglomeracji nazywanej Cidade Maravilhosa (Cudownym Miastem).

Polak w Brazylii

Opuszczając żółty ceglany budynek przy Rua Âncora, ksiądz Jan od razu kieruje się w prawo. Popękane płyty chodnikowe gdzieniegdzie przechowują jeszcze wodę po ulewie z poprzedniego wieczoru. Duchowny ma już wprawę w ich omijaniu. W ogóle zresztą nie miał żadnych problemów z adaptacją do nowego miejsca pracy. Opuściwszy ukochaną parafię w Mongaguá pod São Paulo, trafił do miejsca, o którym śnił jako młody chłopiec. Ten sam, który gnany marzeniami zgodził się na propozycję, aby mariański nowicjat w całości odbyć już na obcej ziemi. W Brazylii.

Na latynoskiej ziemi żyje już więc ponad połowę swojego życia. Będzie ponad 30 lat. Tutaj został wy-

eprasa.pl 2e2f033bb9

święcony na księdza. Tutaj na serio poznał Boga. Tutaj zdążył przeżyć najpiękniejsze, ale i najbardziej dramatyczne i niebezpieczne historie swojego życia. Teraz zaś Opatrzność przewidziała dla niego posługę w Rio. W mieście z jednej strony sławnym z tego, że jest „najpiękniejszą metropolią całego kraju". Miejscem, do którego specjalnym klimatyzowanym pociągiem linii nr 4 dojedziemy z bogatej i wystawnej dzielnicy Barra na przesławne plaże Ipanema i Copacabana. Miastem samby i wiecznej zabawy. Ale ksiądz Jan trafił także do drugiego Rio. Tego, o którym część przybywających turystów nawet nie będzie miała pojęcia. Do miasta, gdzie miesięcznie odnotowywane jest nawet do 700 ulicznych strzelanin, w wyniku których potrafi zginąć nawet 150 osób. Do miasta, gdzie policja potrafi otworzyć ogień do grupy 70 śpiących pod kościołem Candelária dzieci, z których część trudni się narkobiznesem oraz przestępczą działalnością. Do miasta, gdzie przemoc, gwałt i śmierć odmieniane są przez wszystkie przypadki. I zarazem do miasta, gdzie krzyk o Boże Miłosierdzie i przebaczenie słyszalny jest jak nigdzie indziej.

▶ Morro do Dendê – tam się po prostu nie wchodzi

Dziś przed księdzem Janem kolejna trudna misja. Doskonale wie, czym ryzykował, zgadzając się na jej wypełnienie. Ale czuje się dziwnie spokojny. Być może to oznaka niebezpiecznego przyzwyczajenia organizmu do życia w ciągłym zagrożeniu. W świecie, gdzie przemoc i mafijne porachunki stały się tak dalece wyczuwalną powszechnością, że człowiek musi przestać o tym myśleć. Bo inaczej nie wytrzyma. Ksiądz Jan zbyt długo żyje w Brazylii, aby o tym nie wiedzieć. Intuicyjnie wyczuwa, że ta misja w Rio, do której tym razem powołał go dobry Bóg, jest właśnie tą, która będzie najważniejszą w jego dotychczasowym życiu misjonarza. Dochodząc do rogu pnących się coraz ostrzej w górę uliczek Baviera i Lã Plata, duchowny uświadamia sobie, że od kilku minut intensywnie myśli tylko o Bogu. Skupienie się na Nim mimowolnie zastąpiło strach, jaki towarzyszył mu, gdy niewyspany opuszczał rano dom. Może już rozluźnić spięte pięści. Wziąć kilka głębszych wdechów. Będzie dobrze.

Z prawej strony mija warsztat samochodowy. Ciemno opalony mężczyzna leży właśnie pod podniesionym na lewarku kilkudziesięcioletnim czarnym audi. Na odgłos zbliżających się kroków wychyla się spod podwozia.

– Bom dia! – wita się jako pierwszy marianin.

– Bom dia, bom dia… – odpowiada mechanik. Nadal jednak przyglądając się nieufnie nieznanemu sobie przybyszowi. – A pan do kogo?



Pokryte kolorowymi płytkami ceramicznymi Schody Selarón były układane przez chilijskiego artystę 23 lata. Dziś to jedno z najsławniejszych miejsc w mieście.

– Idę na spotkanie – odpowiada zgodnie z prawdą ksiądz Jan. Postanowił sobie nie zdradzać nikomu za wiele szczegółów swojej misji. Nawet nie wszyscy jego współbracia wiedzą o jego dzisiejszych planach.

– Na spotkanie? Ale chyba nie tam? – odpowiada zdziwiony mężczyzna, wskazując ruchem głowy pnącą się w górę uliczkę Lã Plata.

– Spokojnie, znam Cocotá dość dobrze. Mieszkam zupełnie niedaleko. Tyle że niżej.

– Pan naprawdę chce wejść na teren Morro do Dendê? – wypowiadając złowrogo brzmiącą nazwę mechanik aż ścisza głos. Oglądając się jednocześnie dokoła, czy nikt go nie usłyszał.

– Tak, mam tam sprawę do załatwienia – ulega wreszcie duchowny.

– A życie panu niemiłe? – Nie czekając na odpowiedź, mechanik z obojętnością z powrotem skrada się pod reperowany samochód.

Ksiądz Jan tylko delikatnie uśmiecha się do siebie. Zdążył się już przyzwyczaić, że wszędzie w Brazylii, gdzie się tylko pojawia po raz pierwszy, biorą go za

FOT. DANIEL OLIVIER, PXHERE, PEXELS

eprasa.pl 2e2f033bb9

gringo. Blond włosy, jasna cera, niebieskie oczy. Słowiańskie rysy twarzy. Na tle opalonych Brazylijczyków z kruczoczarnymi włosami pochodzący z maleńkiego Gościeradowa na granicy Lubelszczyzny i Podkarpacia ksiądz musi się wyróżniać.

Troskliwy mechanik najprawdopodobniej wziął marianina za turystę. Albo kogoś pozbawionego piątej klepki. Do okrytej złą sławą faweli Morro do Dendê raczej nie wchodzi się przez przypadek. Tutaj nie zobaczysz turysty. Ani policji. To miejsce wyłącznie dla tych, którzy tutaj mieszkają. Albo mają jakiś interes do załatwienia. A dziś ksiądz Jan właśnie taki ma.

Gdy ulica zaczyna się zwężać

Ciemnożółty mural przedstawiający trzymane na rękach matki niemowlę ciągnie się wzdłuż pnącej się coraz wyżej ulicy. Po drugiej stronie drogi ktoś napisał farbą na ścianie: „Jesus salva!". Wkoło sceneria troszkę jak z placu budowli. Przewrócona gruszka z betonem. Porozrzucane pustaki. Zaraz dalej dom z czerwonej cegły. Pozbawiony tynku. Jak zresztą większość. Odrapana blacha czyjegoś garażu. Słupy wysokiego napięcia utrzymujące posplatane do granic możliwości kable nad głowami spacerujących. Co rusz od głównego chodnika rozchodzą się na prawo wąskie schodki prowadzące na okoliczne wzgórze. Szczelnie pokryte domami. Wybudowanymi ściana w ścianę. Jeden obok drugiego. Duchowny stara się iść możliwie żwawo. Nie potrzebuje niepotrzebnych spotkań. Zbędnych pytań. Zaczepek.

Po kilkunastu minutach ulica nieco się zwęża, by zakończyć się imitacją bramy. Kilka porozrzucanych starych opon samochodowych. Kawałek stojącej blachy falistej. Odrapana z farby furta od ogrodzenia. I niewielki stolik z boku, z siedzącymi za nim dwoma młodymi mężczyznami. W zasadzie nastoletnimi chłopcami. Nie mają więcej jak 16 lat. Przed nimi na stole widać leżącą broń. To karabinek szturmowy M4. Dokładnie taki, jaki mają na wyposażeniu brazylijscy policjanci. Znaczne wybrzuszenie na koszulce jednego z siedzących za stołem chłopców zdradza, że ma on jeszcze schowany pistolet. Obaj nastolatkowie z obojętnością w oczach obserwują zbliżającego się do ich stanowiska kontroli mężczyznę. Ksiądz Jan póki co stara się nie patrzeć chłopcom w oczy.

Bez powtórek

Każdy zdekonspirowany policjant, który w przebraniu cywila próbuje dostać się na teren faweli, zwyczajowo ryzykuje śmiercią. Bardzo szybką i gwałtowną. Lepiej nie rzucać na siebie nawet najmniejszych podejrzeń. Misjonarz zdążył się już przekonać, jak ma się zachowywać, aby na faweli Morro do Dendê czuć się względnie bezpiecznie. Wszak raz na miesiąc odprawia w tutejszej kaplicy Mszę świętą. Wierni już go kojarzą. Doczekał się nawet ministrantów. Oczywiste jest jednak, że to zaledwie procent mieszkańców. Reszta nie ma pojęcia, kim jest. Dla nich może być nawet tajniakiem.

– A quem? – rzuca niegrzecznie zamiast powitania jeden z chłopców pilnujących wejścia na teren faweli.

– Szukam Heitora. – Ksiądz również nie bawi się w zbędne uprzejmości powitalne. – Zna mnie. Mam do niego sprawę.

– Imię, nazwisko? – Drugi z chłopców, ten ze schowanym pod koszulką pistoletem, ślamazarnym ruchem sięga po krótkofalówkę.

– Bącal. Jan Bącal. Jestem księdzem – odpowiada marianin. Tym razem już ze spokojem patrząc młodemu mężczyźnie w oczy. Powiedział głośno imię szefa. Ma prawo czuć się bezpieczny. Przynajmniej tutaj.

Po chwili przez rzężący głośniczek krótkofalówki słychać niski zachrypnięty głos.

– Como posso ajudá-lo? W czym mogę księdzu pomóc?

– Dzień dobry, to ja, ksiądz Jan… – odpowiada marianin, biorąc do ręki odbiornik.

– To już wiem – przerywa głos. – Pytam, w czym mogę służyć?

– Mam sprawę… – Ksiądz Jan cofa się kilka kroków od stolika, aby chociaż dla pozorów stworzyć sobie warunki jako takiej prywatności w tej rozmowie. – Chciałbym za kilkanaście dni pokazać kaplicę znajomemu. Też księdzu. Przyjedzie z Polski. Chcą nam pomóc w utrzymaniu kaplicy.

– Będzie sam? – zachrypły głos nie daje po sobie poznać żadnych oznak nastroju. Księdzu Janowi ciężko oszacować, czy jego pytanie padło na przyjazny grunt.

– Z dwójką ludzi. Świeckich. Też z Polski.

– Zna pan ich imiona i nazwiska?

– Księdza Łukasza znam od lat. A o dane tych dwóch panów mogę się zapytać.

– To się ksiądz zapyta i wróci. Spiszemy ich i będziecie mogli wejść. Ale zna ksiądz zasady…

– Tak, tak – kiwa głową duchowny. – Żadnych zdjęć, żadnego filmowania wewnątrz faweli.

– Żeby nie było jak poprzednio… – rzuca z przestrogą w głosie rozmówca.

Naraz księdza Jana oblewa zimny pot. Staje mu przed oczami ta scenka. Wszystko wydarzyło się kilkanaście lat temu. Jeszcze za kadencji poprzedniego generała zakonu. Przebywał akurat w Brazylii na swojej wizytacji. Któregoś dnia bardzo zapragnął wejść na wieżę kościoła, by zrobić kilka zdjęć Rio. Bracia nie widzieli w tej prośbie nic niestosownego. Otworzyli więc drzwiczki od wieży, aby udać się wraz ze swym gościem po wąskich kręconych schodkach na sam szczyt. Ksiądz Jan był zachwycony widokiem. Wyjął

eprasa.pl 2e2f033bb9



Gdy nad miastem odbywa się niezwykły spektakl zachodu słońca, wielu ludzi pospiesznie umyka do domu. Noc bowiem nie jest w Rio najodpowiedniejszą porą na spacery.

prędko aparat i zaczął robić zdjęcia. W tym momencie przełożonemu domu zakonnego zaczął głośno dzwonić telefon. Odebrał. A jego twarz momentalnie pobladła.

– Księże Janie, schodzimy! – wykrzyknął tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Co się stało? – zapytał zdziwiony ojciec generał.

– Wyjaśnię na dole, jak zejdziemy. Prędko! – poganiał współbrat.

Jeszcze podczas zejścia schodami wyjaśniło się, co to za telefon zaburzył całą atmosferę. Zadzwonił ktoś z faweli. Zobaczyli na kościelnej wieży księdza robiącego zdjęcia. Kazali natychmiast schodzić. W przeciwnym wypadku zabiją. I to za chwilę.

– Halo! Halo! Jest tam ksiądz?! – ze wspominkowych rozmyślań wybudza księdza Jana wydobywający się z krótkofalówki chrapliwy głos.

– Tak, tak… Jestem… – odpowiada zmieszany. – Proszę się nie obawiać. Tamta sytuacja na pewno się nie powtórzy. Będziemy bardzo dyskretni. Żadnych ujęć, zero filmowania.

– Cieszę się, że się rozumiemy, ojcze… – Głos rozmówcy przez moment wydaje się brzmieć duchownemu jakby znacznie przyjaźniej niż dotychczas.

– Ja też się… – odpowiada kapłan, by lada chwila usłyszeć w słuchawce trzask i szum. Rozmowa właśnie się zakończyła.

Awaria

Ksiądz Jan wraca jednak do domu zadowolony. Misja, z jaką udał się na Morro do Dendê, okazała się wykonalna. Mało tego: zakończyła się pełnym sukcesem. Na to przynajmniej wygląda. Goście mogą przybywać. Byle tylko nie robili zdjęć, a powinno być dobrze.

Wszedłszy do domu, duchowny zasiada przed komputerem, aby wysłać współbratu dobre wieści.

– Nic teraz nie wyślesz, Janek… – uśmiecha się dobrodusznie ksiądz Sandro, który właśnie wychodzi z kuchni i widzi maszerującego z laptopem kolegę.

– Dlaczego? A co się stało?

– Znowu jakaś strzelanina na mieście. Chyba trafili przy okazji w jeden z tranzystorów. Póki co nie będzie internetu.

– Ech… No to nie wyślę do Łukasza dobrych wieści… – Pochyla głowę nieco sfrasowany ksiądz Jan. – Trudno, może do rana włączą. ■

FOT. DANIEL OLMER, PXHERE, PEXELS

eprasa.pl 2e2f033bb9

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Chiny–Niemcy

„Niemcy zbyt mocno uzależniają się od Chin" – twierdzi w wywiadzie dla holenderskiej gazety „NRC" Andreas Fulda, autor książki pt. „Niemcy i Chiny: Jak ta plątanina zagraża wolności, dobrobytowi i bezpieczeństwu" („Germany and China: How Entanglement Undermines Freedom, Prosperity and Security"), niemiecki sinolog, obecnie wykładający na brytyjskiej uczelni University of Nottingham. W momencie gdy Chiny wspierają machinę wojenną Putina, zajmują coraz bardziej asertywne stanowisko wobec Tajwanu, a subsydiowane przez nie produkty, takie jak samochody elektryczne, zalewają światowy rynek, co może doprowadzić do dezindustrializacji w Europie, niemiecki rząd i świat biznesu dążą do zbliżenia z Chinami. Berlin nie wyciągnął żadnych wniosków z gospodarczego uwikłania z Moskwą. Giganci niemieckiego przemysłu zainwestowali w ostatnich latach miliardy w Chinach. Volkswagen (VW) jest uzależniony od tego kraju w zakresie ponad połowy swoich zysków. Grupa chemiczna BASF buduje obecnie gigantyczną fabrykę w Państwie Środka i jest, jak pisały niemieckie media, „zamieszany w rażące nadużycia" wobec Ujgurów w Xinjiangu.

Kanclerz Olaf Scholz odwiedził ChRL dwukrotnie. W 2022 roku był pierwszym europejskim przywódcą, który wybrał się tam po kryzysie pandemicznym, i oczywiście towarzyszyła mu grupa niemieckich przemysłowców. Zdaniem Fuldy w osobliwych stosunkach między obydwoma krajami kluczową rolę odgrywa wielka czwórka niemieckiego przemysłu: producenci samochodów VW, Daimler (Mercedes), BMW i grupa chemiczna BASF. „Ze względu na swoje główne interesy w Chinach trzymają kanclerza w pewnym stopniu w niewoli" – mówi sinolog. Dlatego Scholz m.in. sprzeciwiał się wprowadzeniu europejskich ceł na chińskie samochody elektryczne.

Według sinologa elity w Niemczech nie zdają sobie sprawy, jak bardzo Chińczycy kontrolują ich kraj, co wiąże się z poważnymi zagrożeniami geopolitycznymi i gospodarczymi. Fulda opowiada w wywiadzie, że kiedy rozmawia z amerykańskimi dyplomatami lub politologami, ci nie kryją ogromnego zaskoczenia bliskimi związkami Niemiec z ChRL. „Są nie tylko zakłopotani postawą Niemiec, lecz także nie rozumieją, dlaczego niemiecka elita w pełni świadomie wchodzi w dalsze, nowe zależności z Chinami". Fulda wyjaśnia, że w Niemczech głęboko zakorzeniona jest idea socjaldemokratycznego polityka Egona Bahra „Wandel durch Handel" („zmiana przez handel"), zakładająca, że poprzez prowadzenie intensywnego handlu z reżimami autorytarnymi można doprowadzić do zmian politycznych w tych krajach. Już w latach 90. w Niemczech twierdzono, że Rosja i Chiny staną się zamożne dzięki handlowi, a zatem stopniowo będą też coraz bardziej liberalne i demokratyczne. „Wojna na Ukrainie pokazuje, że wcale tak nie jest" – mówi Fulda. Niemiecki sinolog uważa też, że to optymistyczne nastawienie do chińskiego i rosyjskiego reżimu jest ściśle powiązane z głębokim antyamerykanizmem w społeczeństwie niemieckim. „Zdobycze wyborcze można osiągnąć przy przyjaznym nastawieniu do Chin i Rosji, a w szczególności socjaldemokraci tradycyjnie zajmują takie stanowisko" – tłumaczy Fulda. Dodaje, że niemiecką elitę charakteryzuje „strategiczna ślepota". Niemiecka kultura polityczna nakazuje unikanie konfliktów. Establisment cały czas podkreśla, że boi się odwetu ze strony Chin, na wypadek gdyby Berlin rozpoczął ostrzejszą politykę wobec Pekinu. Według Fuldy Komunistyczna Partia Chin tę słabość Niemiec wykorzystuje.

eprasa.pl 2e2f033bb9

Na zmianę polityki Berlina wobec Pekinu nie należy liczyć także z powodu „niemieckiej korporacyjnej ekonomii politycznej". Wspomniani wcześniej czterej giganci przemysłowi mają ogromną siłę gospodarczą oraz polityczną. Kiedy Scholz udaje się do Chin, to najważniejsi przedstawiciele biznesu „w naturalny sposób mówią mu: utrzymuj status quo". Niemiecki biznes łączą z Chinami ogromne interesy i wierzy on, że dzięki dalszym inwestycjom w Państwie Srodka może kontrolować sytuację i zapobiec poważnemu kryzysowi. „Ale chińskie państwo-partia wcale nie jest zainteresowane losem jakiejkolwiek zagranicznej firmy" – twierdzi Fulda. Niemiecki sinolog głosi, że konieczne jest choć częściowe oddzielenie (decoupling) gospodarek zachodnich od Chin. Scholz mówił, że rosyjski atak na Ukrainę wyznacza Zeitenwende, czyli punkt zwrotny, (dosłownie: przełom czasów), ale do zwrotu w postawie Niemiec wobec zagrażających wolnemu światu reżimów autorytarnych tak naprawdę nie doszło. „Obawiam się, że do zmiany kultury strategicznej Niemiec potrzebny jest znacznie większy wstrząs, na przykład wojna w Azji Wschodniej" – twierdzi Fulda.

Rosja–Korea Północna

W czerwcu br. na szczycie dwóch pariasów Władimira Putina i Kim Dzong Una, Moskwa i Pjongjang zawarły partnerstwo strategiczne. 9 sierpnia rosyjskie media poinformowały o kolejnej odsłonie czerwcowych rozmów. Niedawno Moskwa przekazała Pjongjangowi specjalny prezent. Do północnokoreańskiego miasta Rason Rosja wysłała 447 kóz. Będą one dostarczać produkty mleczne lokalnym dzieciom. Reżim Kima liczy, że to zmniejszy niedobory żywności w Korei Północnej, spowodowane głównie polityką rządową i pandemią COVID-19. Według organizacji Human Rights Watch, ponad 10 mln z 25,9 mln ludzi w Korei Północnej cierpi z powodu niedożywienia. 18 proc. dzieci ma upośledzony rozwój z powodu braku jedzenia.

Od momentu pełnoskalowej inwazji na Ukrainę w lutym 2022 roku Putin i Kim budują bardzo bliskie relacje. Pjongjang już jest ważnym partnerem militarnym dla Moskwy. Według wywiadu Korei Płd., dostarczył Rosji miliony pocisków artyleryjskich w celu wsparcia jej ofensywy na Ukrainie w zamian za dostawy żywności. A USA i Ukraina twierdzą, że wystrzeliwane w kierunku Ukrainy rakiety balistyczne dostarczane są m.in. przez Koreę Północną. Bruce Klingner, ekspert ds. Korei z konserwatywnego think tanku Heritage, twierdził, że wizyta Putina w Pjongjangu w czerwcu br. może oznaczać, że poza wsparciem żywnością Moskwa przygotowuje się, by zapewnić Kimowi wsparcie w zakresie technologii lub produkcji wysokiej klasy broni konwencjonalnej, takiej jak samoloty, okręty podwodne o napędzie atomowym oraz wojskowe satelity rozpoznawcze i technologie wystrzeliwania. Ta pogłębiająca się współpraca Rosji z Koreą Płn. wzbudza ogromne zaniepokojenie nie tylko Waszyngtonu, lecz także Seulu i Tokio.

Hongkong

12 sierpnia sąd apelacyjny Hongkongu jednogłośnie zgodził się podtrzymać wyroki skazujące siedmiu aktywistów, którzy wzięli udział w nielegalnym proteście z 2019 roku. Na ulice wyszło wtedy 1,7 mln osób (około jedna czwarta populacji Hongkongu), aby sprzeciwić się coraz większej kontroli Pekinu nad miastem. Wśród skazanych jest hongkoński wydawca, dziennikarz i katolik 76-letni Jimmy Lai. W składzie komisji podtrzymującej wyrok skazujący zasiadał David Neuberger, jeden z trzech brytyjskich sędziów, którzy nadal pełnią funkcję sędziów tymczasowych w byłej brytyjskiej kolonii. Chris Patten, były gubernator Hongkongu, nazwał decyzję sądu apelacyjnego niesprawiedliwą i dodał, że to, co czyni ją wyjątkowo gorszącą, jest to, że „Lord Neuberger, były szef brytyjskiego sądu najwyższego, był stroną w tej decyzji. Jest to szczególnie zaskakujące, ponieważ gdy był członkiem sądownictwa w Wielkiej Brytanii, Lord Neuberger chciał udowodnić, że angielskie prawo zwyczajowe może uwzględniać podstawowe aspekty ochrony praw człowieka" – stwierdził Patton. Sędziowie zagraniczni przyjeżdżają do Hongkongu okazjonalnie i otrzymują wynagrodzenie w wysokości około 40 tys. funtów za wizytę, która zazwyczaj trwa 29 dni.

Brytyjski konserwatywny dziennikarz i autor książki „Chińska sieć zła" Benedict Rogers w artykule na łamach „Independent" stwierdził, że szokuje fakt, iż Neuberger w pisemnym orzeczeniu stwierdził, że sędziowie „w pełni i w imponujący sposób" rozważyli kwestie dotyczące tego, czy wyrok skazujący był proporcjonalny do podstawowych praw człowieka oskarżonych, zapisanych w karcie praw Hongkongu – w tym wolności słowa i wolności zgromadzeń.

Jeszcze 20 lat temu Hongkong był podziwiany za wolności, jakimi się cieszył. Dziś pod rządami komunistycznych Chin to kiedyś najbardziej otwarte miasto Azji przypomina więzienie. Pekin obiecał Hongkongowi na mocy umowy międzynarodowej, że ten do 2047 r. będzie cieszyć się autonomią, ale w ostatnich latach prezydent Chin Xi Jinping skruszył tam wszelkie swobody. Perła Orientu pozbawiona została już wolności wypowiedzi, prasy i zgromadzeń. Wielu z Hongkończyków, którzy w ostatnich latach wyemigrowali z tej byłej brytyjskiej kolonii, twierdzi, że ich miasto pod rządami KPCh już umarło. ■

eprasa.pl 2e2f033bb9

„Jeśli Jelcyn ogłosi kogoś swoim następcą, oznacza to, że kładzie kres swojej politycznej przyszłości”.
przewodniczący Dumy Giennadij Sielieżniow, sierpień 1999 roku



oprac. Antoni Rybczyński

25 lat Putina

eprasa.pl 2[illegible]f033[illegible]

W sierpniu 1999 roku Władimir Putin został nie tylko premierem Rosji. Borys Jelcyn namaścił go też na swego następcę. Większość polityków i ekspertów zlekceważyła wówczas kolejny awans byłego oficera KGB. Jak Putin został następcą Jelcyna i jak zmieniał Rosję przez następne ćwierćwiecze? Z okazji rocznicy nominacji pojawiło się wiele publikacji omawiających zarówno kulisy nominacji Putina, jak i przypominających ważniejsze wydarzenia jego panowania.



FOT. PAP/EPA/ARTYOM GEODAKYAN/SPUTNIK/KREMLIN / POOL

Ćwierć wieku temu, 9 sierpnia 1999 roku, prezydent Rosji Borys Jelcyn wygłosił przemówienie telewizyjne. Oznajmił, że nie tylko podpisał dekret o wyborach do Dumy Państwowej, które odbędą się 19 grudnia, lecz także zaproponował nowego premiera, którego widział jako swojego następcę na stanowisku prezydenta. „Za rok odbędą się wybory prezydenckie" – zwrócił się do obywateli Borys Jelcyn. „A teraz postanowiłem wskazać osobę, która moim zdaniem jest w stanie skonsolidować społeczeństwo. Opierając się na najszerszych siłach politycznych, zapewni kontynuację reform w Rosji. Będzie w stanie zgromadzić wokół siebie tych, którzy w nowym XXI wieku będą musieli odnowić wielką Rosję. To Władimir Władimirowicz Putin, sekretarz Rady Bezpieczeństwa i dyrektor Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Mam do niego zaufanie. Ale chcę, aby wszyscy, którzy pójdą do urn w lipcu 2000 roku i dokonają wyboru, również byli go pewni" („Borys Wiszniewskij, Rewanż. Pierwsze dni", „Nowaja Gazeta Ewropa", 9 sierpnia 2024).

Awans Putina

Wydarzenia, które doprowadziły do wcześniejszej rezygnacji prezydenta Rosji Borysa Jelcyna i dojścia do władzy Władimira Putina, można nazwać łańcuchem całkiem naturalnych zbiegów okoliczności – pisze Michaił Michajłow. „Wybory prezydenckie w Rosji w 1996 roku były konkurencyjne, ale trudno nazwać je uczciwymi: doprowadziły do reelekcji Borysa Jelcyna, który miał ogromną przewagę w mediach i zasobach administracyjnych. Prasa, biznes i część aparatu państwowego zapewniły mu zwycięstwo nad komunistą Giennadijem Ziuganowem. Kandydat na drugą kadencję prezydencką poświęcił swoje zdrowie, by zachować władzę. Pod koniec lipca Jelcyn przeszedł kolejny, piąty lub szósty zawał serca. Stan zdrowia prezydenta pogarszał się. 9 sierpnia 1996 roku, podczas zaprzysiężenia, był w stanie mówić przez mniej niż minutę, a sama ceremonia trwała nieco ponad pół godziny. […] Wybory przyniosły zmiany na szczytach władzy. Oligarcha Władimir Potanin został pierwszym wicepremierem i zastępcą Czernomyrdina, zajmując się nie tyle reformami gospodarczymi, co rozliczaniem się z wynikami wyborów z kolegami z biznesu. Igor Małaszenko nie przyjął kluczowego stanowiska szefa Administracji Prezydenckiej, a na jego miejsce powołano Anatolija Czubajsa, uzupełniając rząd znanymi mu urzędnikami. Do Moskwy przenieśli się także byli pracownicy urzędu mera St. Petersburga z ekipy Anatolija Sobczaka, który przegrał wybory gubernatorskie. Wśród nich był były zastępca mera, Władimir Putin".

eprasa.pl/2f033bb9

Jak pisze Michajłow, „ekipa Borysa Jelcyna stanęła przed problemem roku 2000: wygasała druga kadencja władzy prezydenckiej i trzeba było zastanowić się, kto mógłby przejąć stanowisko Jelcyna w taki sposób, aby on i jego rodzina nie byli zagrożeni. Poszukiwania te doprowadziły do awansu przedstawiciela struktur siłowych na kluczowe stanowiska w państwie. […] Siergiej Stiepaszyn, zawsze lojalny wobec Jelcyna, był potencjalnym następcą z realnymi szansami. Karierę zaczynał jako deputowany Rady Najwyższej RFSRR, a w latach 90. kierował Federalną Służbą Bezpieczeństwa w Petersburgu, całą FSB, Ministerstwem Sprawiedliwości i Ministerstwem Spraw Wewnętrznych. Ten ostrożny polityk zawsze wybierał stronę, która jego zdaniem powinna wygrać. […] W Dumie zapewniał deputowanych o pokojowych zamiarach: „Nie jestem Pinochetem, nazywam się Stiepaszyn". Jego kandydaturę z łatwością poparła większość w Dumie, choć nowy premier był bliski Anatolijowi Czubajsowi i to właśnie jego Czubajs chciał widzieć na czele kraju. Podczas kadencji Stiepaszyna jako premiera Borys Jelcyn nie wymienił go publicznie jako potencjalnego następcy na stanowisku prezydenta, choć Stiepaszyn wciąż miał szansę utrzymać się i awansować. Istniała szansa, że kraj pójdzie inną drogą niż się okazało. Jednocześnie ostrożność Stiepaszyna, jego zamiary nawiązania dialogu z rywalami, Łużkowem i Primakowem, szybko naraziły go na podejrzenia nie tyle Borysa Jelcyna, co Jumaszewa i Diaczenki (Michaił Michajłow, „Zmiana warty na Kremlu. Jak Putin został następcą Jelcyna", 21 czerwca 2024, Radio Swoboda).

Tymczasem z pomocą Walentina Jumaszewa Władimir Putin, który potrafił zadowolić swoich przełożonych, w międzyczasie kontynuował wspinanie się po drabinie: 29 marca 1999 roku, dekretem prezydenta Rosji, został mianowany oprócz stanowiska szefa FSB sekretarzem Rady Bezpieczeństwa Rosji. „Już pod koniec lipca 1999 roku Borys Jelcyn poinformował Mintimera Szajmiewa o swoich planach nominowania Putina na premiera i kandydata na prezydenta. Prezydent Tatarstanu wyraził wątpliwości, czy Putinowi uda się, jak powiedział Jelcyn, zostać premierem i, co najważniejsze, prezydentem" – przypomina Michajłow. „Warto przypomnieć, że w tamtym czasie szanse klanu Jelcyna na utrzymanie władzy były postrzegane jako niemożliwe. W elicie politycznej dominował nastrój, że ekspres Primakow-Łużkow (ruchy Ojczyzna i Wszechrosja, które wkrótce połączą się w blok wyborczy) jest nie do powstrzymania. Primakow zostanie prezydentem, Łużkow premierem, a jelcynowską świtę i znienawidzoną Familię czeka przyszłość nie do pozazdroszczenia. Przeważająca większość wyrażanych wówczas ocen działań prezydenta i szans jego domniemanego następcy była wysoce sceptyczna. Jeśli chodzi o kandydaturę następcy, decyzja Jelcyna jest ostro krytykowana ze wszystkich stron – zarówno »na prawicy«, jak i »na lewicy«. Jedynym wyjątkiem jest LDPR, która cały czas nazywa siebie opozycją, ale cały czas wspiera rząd we wszystkich kluczowych decyzjach" (B. Wiszniewskij, „Rewanż. Pierwsze dni", „Nowaja Gazeta Ewropa", 9 sierpnia 2024).

Giennadij Ziuganow, lider komunistów, nazywa decyzję Jelcyna „kompletnym szaleństwem". „Kto będzie traktował premiera poważnie, jeśli będą go zmieniać jak rękawiczki?" – pyta. Wszak Putin to już piąty szef rządu w ciągu półtora roku. 16 sierpnia 1999 roku Putin zostaje jednak zatwierdzony jako premier za pierwszym podejściem (niektórzy deputowani uważają, że jest to kolejny „techniczny" premier i nie ma znaczenia, kto zostanie premierem). „Od tego czasu Putin jest prezydentem lub premierem. Po ośmiu latach na stanowisku prezydenta, w latach 2008–2012 powrócił na stanowisko nr 2, aby uniknąć naruszenia konstytucyjnego limitu dwóch kadencji z rzędu na Kremlu – ale później opracował poprawkę, która pozwoliła mu zapewnić sobie nową sześcioletnią kadencję na stanowisku prezydenta w marcu ubiegłego roku, wraz z prawem do ponownego kandydowania w 2030 roku. Inwazja Rosji na Ukrainę – rozpoczęta w lutym 2022 roku i trwająca do dziś bez widocznej perspektywy końca – wraz z masową śmiercią i zniszczeniami, jakie spowodowała, zdefiniowała czas władzy Putina znacznie wyraźniej niż cokolwiek innego […]. Wojna jest tylko jednym z wielu śmiertelnych kamieni milowych, które naznaczyły erę Putina". (Robert Coalson, „Zabójcze punkty zwrotne w ciągu 25 lat władzy Władimira Putina", Radio Free Europe/Radio Liberty, 9 sierpnia 2024).

▶ Krwawa inauguracja

Niecały miesiąc po tym, jak Putin został premierem, Rosją wstrząsnęła fala śmiertelnych zamachów bombowych w blokach mieszkalnych, w wyniku których we wrześniu 1999 roku zginęło ponad 300 osób, a 1000 zostało rannych. 4 września 1999 roku została wysadzona w powietrze ciężarówka w pobliżu budynku mieszkalnego w Bujnaksku, zabijając 63 osoby. W Moskwie, 9 września, wysadzono w powietrze dom przy ulicy Gurjanowa; 13 września dom przy Kaszirskoje Szosse zawalił się w stolicy od eksplozji heksogenu w piwnicy. W Moskwie zginęło 230 osób. 14 września ciężarówka została wysadzona w Wołgodońsku – kolejne 19 ofiar... Pełniąc rolę szefa rządu, Putin ogłosił twardą odpowiedź na niewi-

eprasa.pl 2e2f033bb9

dzialnego wroga. 24 września 1999 roku oświadczył: „Będziemy ścigać terrorystów wszędzie. Jeśli na lotnisku – to na lotnisku. Jeśli, za przeproszeniem, złapiemy ich w toalecie, to w końcu będziemy ich też moczyć w latrynie". Walka z terroryzmem rozpoczęła się od bombardowań Czeczenii, a w październiku rozpoczęła się ofensywa wojsk lądowych. Dzięki patriotycznym przemówieniom i rozkazowi rozpoczęcia walk w Czeczenii, Putin podniósł swoje notowania do 26 proc. pod koniec września, pokonując zarówno Primakowa, jak i Ziuganowa. Putin pojawiał się publicznie, Jelcyn był niewidoczny, dając premierowi carte blanche na robienie wszystkiego pod hasłami siły i porządku. Można powiedzieć, że Putin radośnie podjął się realizacji programu Jewgienija Primakowa, a nie Borysa Jelcyna (M. Michajłow, „Zmiana warty na Kremlu. Jak Putin został następcą Jelcyna", Radio Swoboda, 21 czerwca 2024).

Rząd zrzucił winę za eksplozje na czeczeńskich bojowników, ale nie przyznano się do odpowiedzialności. Sprawcy byli w stanie wyprodukować lub zdobyć kilka ton materiałów wybuchowych, przewieźć je do miast w całym kraju i podłożyć w profesjonalny sposób, który spowodował zawalenie się budynków. Ponadto podejrzane urządzenie zostało znalezione i rozbrojone w budynku mieszkalnym w Riazaniu 22 września w dziwnym incydencie, w którym lokalna policja aresztowała trzech funkcjonariuszy Federalnej Służby Bezpieczeństwa (FSB). Dyrektor FSB Nikołaj Patruszew zapewnił później, że była to operacja szkolenia antyterrorystycznego, ale pytania pozostają do dziś (R. Coalson, „Zabójcze punkty zwrotne w ciągu 25 lat władzy Władimira Putina", Radio Free Europe/Radio Liberty, 9 sierpnia 2024). Dwadzieścia dni po pierwszym zamachu bombowym Putin rozpoczął drugą wojnę czeczeńską w atmosferze powszechnego strachu i gniewu. Druga wojna czeczeńska oficjalnie zakończyła się w kwietniu 2000 roku, ale wynikający z niej stan wyjątkowy utrzymywał się do kwietnia 2009 roku. Według różnych szacunków, podczas często brutalnych walk zginęło około 50 tys.–80 tys. cywilów, bojowników i rosyjskich żołnierzy. W raporcie z 2007 roku Amnesty International określiła liczbę ofiar śmiertelnych wśród ludności cywilnej na około 25 tys., a kolejne tysiące uznano za zaginione.

▶ „Wojna z terroryzmem"

Reżim Putina ewoluował. Warto przypomnieć, co Putin mówił w 1999 roku w wywiadzie udzielonym dziennikarzowi Siergiejowi Dorience, gdy był jeszcze premierem Rosji: „Cóż, wiesz co ci powiem, że tutaj ciągłe przytakiwanie obcym krajom jako źródłu wszystkich naszych kłopotów jest błędne. Jest błędne w swej istocie. Wszystkie nasze kłopoty tkwią w nas samych, wszystko wynika z naszej własnej nieostrożności i słabości. Wszędzie mamy Czeczenię. I to nie tylko na Północnym Kaukazie... Mówiąc obrazowo, prawda? Jeśli spojrzeć na naszą gospodarkę, jest tam nędza i nieszczęście. Spójrzmy na nasze stosunki międzynarodowe, nasze stosunki z krajami sąsiednimi. Wszędzie mamy ziejącą dziurę – problem" („25 lat Putina. Jak zmieniała się retoryka prezydenta Rosji", Radio Swoboda, 9 sierpnia 2024). „Nie traktujemy NATO jako wrogiej organizacji. Oczywiście, że nie. I jestem bardzo wdzięczny prezydentowi Stanów Zjednoczonych, że w końcu te słowa zostały usłyszane z terytorium Stanów Zjednoczonych. To dla nas bardzo ważne. Wiele jest warte, gdy prezydent wielkiego mocarstwa mówi, że chce widzieć w Rosji partnera, a może i sojusznika. To jest wiele warte, powtarzam. Ale jeśli tak jest, to zadajemy pytanie: czy jest to organizacja wojskowa, czy nie? Wojskowa. Nie chcą nas tam? Nie chcą. Czy zbliża się do naszych granic? Tak. Dlaczego? To właśnie leży u podstaw naszego stanowiska, a nie odrzucenie NATO jako takiego, jako organizacji". To była odpowiedź Władimira Putina na pytanie o ekspansję NATO na konferencji prasowej po spotkaniu z prezydentem USA George'em W. Bushem w czerwcu 2001 roku.

„23 października 2002 roku prawie 50 czeczeńskich napastników wtargnęło do teatru Dubrowka w Moskwie podczas przedstawienia musicalu Nord-Ost i przez 57 godzin przetrzymywało setki ludzi jako zakładników, domagając się wycofania sił rosyjskich z Czeczenii. […] 26 października jednostki sił specjalnych dokonały ataku na teatr, wcześniej wpuszczając do środka niezidentyfikowany środek w formie gazu. Rosyjski minister zdrowia powiedział później, że substancja chemiczna była oparta na opioidowym fentanylu. Rząd Putina powiedział, że w akcji zginęło 132 zakładników i 40 terrorystów, choć niezależne źródła uważają, że zginęło nawet 200 zakładników, z których wielu nie otrzymało odpowiedniej opieki po tym, jak zostali wyciągnięci z budynku nieprzytomni. […] 1 września 2004 ponad 30 napastników wzięło ponad 1100 uczniów, rodziców i pracowników jako zakładników w szkole w północnoosetyjskim mieście Biesłan. Większość zakładników była przetrzymywana przez ponad 52 godziny w gorącej, zatłoczonej sali gimnastycznej. Krótko po południu 3 września rozległy się co najmniej dwie eksplozje, a na dachu wybuchł pożar. Doszło do wymiany ognia, a rosyjskie siły bezpieczeństwa zaczęły szturmować budynek, wspierane przez czołgi i helikoptery. Po kilku godzinach intensyw-

eprasa.pl 2e2f033bb9

nych walk, około połowy bojowników uciekło. Władze podały, że zginęło 334 zakładników, w tym 186 dzieci. Rząd został ponownie skrytykowany za luki w zabezpieczeniach, które umożliwiły terrorystom przeprowadzenie ataku. Krytycy twierdzą, że operacja służb była źle przygotowana, a rząd nie zapewnił z wyprzedzeniem wystarczającej ilości sprzętu medycznego i personelu. W następstwie ataku w Biesłanie rząd Putina przyjął przepisy antyterrorystyczne i antyekstremistyczne, które według krytyków są wykorzystywane od tego czasu do coraz ostrzejszego rozprawiania się z politycznym sprzeciwem. Putin ograniczył również demokrację, eliminując bezpośrednie wybory przywódców regionalnych, reorganizując system legislacyjny, aby umożliwić rządzącej partii Jedna Rosja umocnienie kontroli nad parlamentem, a także zwiększając kontrolę państwa nad mediami i organizacjami obywatelskimi". (R. Coalson, „Zabójcze punkty zwrotne w ciągu 25 lat władzy Władimira Putina", Radio Free Europe/Radio Liberty, 9 sierpnia 2024).

▶ Będzie gorzej

„Przede wszystkim należy uznać, że upadek Związku Radzieckiego był największą katastrofą geopolityczną stulecia. Dla narodu rosyjskiego był to prawdziwy dramat. Dziesiątki milionów naszych współobywateli i rodaków znalazło się poza terytorium Rosji. Epidemia dezintegracji rozprzestrzeniła się również na samą Rosję" – tak mówił w 2005 roku Putin, wprowadzając reżim w nowy etap rozwoju. „Rosja nie rozważa możliwości aneksji Krymu. Tylko sami obywatele w warunkach wolności słowa i bezpieczeństwa mogą i powinni decydować o swojej przyszłości". W tym czasie Putin twierdził, że obiekty wojskowe na Krymie zostały zablokowane nie przez rosyjskie wojsko, ale przez jednostki samoobrony. Później w tym samym roku przyznał jednak, że referendum na Krymie odbyło się z udziałem rosyjskiego wojska. Według Putina „stali oni za plecami krymskich sił samoobrony", aby „pomóc ludziom wyrazić swoje opinie" („25 lat Putina. Jak zmieniała się retoryka prezydenta Rosji", Radio Swoboda, 9 sierpnia 2024). 17 lipca 2014 roku samolot Malaysia Airlines Flight 17 (MH17) został zestrzelony przez wspieranych przez Rosję separatystów nad wschodnią Ukrainą, zginęło wszystkich 298 pasażerów i członków załogi. Choć Rosja zaprzeczyła jakoby brała udział w tym ataku i zrzuciła winę na ukraińską armię, w 2016 roku w wyniku wyczerpującego międzynarodowego śledztwa ustalono, że samolot został zestrzelony przez rosyjski system przeciwlotniczy Buk, który został przywieziony z Rosji w dniu incydentu i natychmiast po nim wrócił do Rosji. Sąd w Holandii, gdzie rozpoczął się lot MH17, skazał trzech Rosjan i ukraińskiego bojownika zaocznie za morderstwo w 2022 roku i ustalił, że Rosja kontrolowała siły bojowników w tym czasie. Holenderski prokurator powiedział, że istnieją „mocne przesłanki wskazujące na to, że Putin podjął decyzję o dostarczeniu separatystom Buka".

„W ciągu tych 25 lat rosyjski prezydent przekształcił swój kraj w najsilniejszą spersonalizowaną dyktaturę na świecie", powiedział Deutsche Welle rosyjski politolog Michaił Komin. Było to możliwe tylko dlatego, że w ciągu ćwierćwiecza sprawowania władzy Putin uporczywie podkopywał wszystkie rosyjskie instytucje polityczne. Wszystko zaczęło się od zniesienia autonomii regionalnej. Kreml stworzył własny instrument kontroli w rosyjskich regionach, kładąc podwaliny pod konsolidację władzy (Juri Rescheto, „25 lat Władimira Putina na czele Rosji", Deutsche Welle, 9 sierpnia 2024). Inny rosyjski politolog, Grigorij Niszników, mieszkający w Finlandii, podziela ten pogląd. „Jeśli spojrzymy wstecz na Rosję wczesnych lat Putina, możemy wskazać kilka autonomicznych ośrodków władzy, zarówno konstytucyjnych, jak i nieformalnych, takich jak oligarchowie" – powiedział DW. „Wszyscy oni stanowili swego rodzaju przeciwwagę dla Kremla". Putin zniszczył to wszystko, powiedział Niszników, centralizując wszystko i skupiając rosyjski system władzy na sobie.

Wszyscy eksperci pytani przez DW zgadzają się, że tendencje te będą się nasilać w przyszłości, a Putin pozostanie u władzy przez długi czas. „Problem polega na tym, że nie ma alternatywnego kandydata i nie ma na niego miejsca" – powiedział Komin. „Ostatnie wybory, które Putin naprawdę wygrał, odbyły się w 2004 roku. Od tego czasu wszystko było nieuczciwe". Niszników skomentował również, że Rosjanie nie widzą alternatywy dla Putina i że zwykle boją się zmian. Zauważa, że w Rosji zawsze istniała tendencja do faworyzowania „silnej ręki" w rządzie (J. Rescheto, „25 lat Władimira Putina na czele Rosji", Deutsche Welle, 9 sierpnia 2024). „Oni [kraje zachodnie] mówią, że chcą osiągnąć strategiczną porażkę Rosji na polu bitwy. Co to oznacza dla Rosji? Dla Rosji oznacza to koniec jej państwowości. Oznacza to koniec tysiącletniej historii państwa rosyjskiego – myślę, że jest to jasne dla wszystkich. I wtedy pojawia się pytanie: dlaczego mamy się bać? Czy nie lepiej iść do końca?" – pytał niedawno Putin („25 lat Putina. Jak zmieniała się retoryka prezydenta Rosji", Radio Swoboda, 9 sierpnia 2024). ■

eprasa.pl 2e2f033bb9

Tomasz Sakiewicz

Zbadać wsparcie Niemiec dla Tuska

Jak spojrzeć na ogromne wsparcie Niemiec dla fundacji i instytucji, które odegrały wielką rolę w tych wyborach?

W chwili gdy piszę ten komentarz, nie wiem, jakie będzie rozstrzygnięcie PKW wobec dotacji dla PiS. Jednak jeśli PiS jest rozliczany na podstawie jakichś niuansów dotyczących projektów badawczych, to mamy do zbadania nieporównywalnie większą aferę nielegalnego wpływu zagranicznych instytucji na naszą kampanię wyborczą. Nie chodzi o to, że jakaś fundacja czy instytucja biznesowa wpłaciła pieniądze na kampanię, a nie miała do tego prawa. Tego chyba nikt nie robi. Chodzi o to, że obce instytucje finansują i realizują cele kampanii wyborczej, konsultują je ze sztabem, wydają na to ogromne środki nieujęte w żadnych sprawozdaniach z wyborów. To się dzieje w Polsce nagminnie. Wiemy na przykład o ogromnym zaangażowaniu choćby „specjalistów" od internetu i mediów społecznościowych na Białorusi w polską debatę. Kogo wspierali ci „fachowcy", jeżeli przed wyborami Łukaszenka co najmniej trzykrotnie poparł Donalda Tuska?

A jak spojrzeć na ogromne wsparcie Niemiec dla fundacji i instytucji, które odegrały wielką rolę w tych wyborach? To wsparcie pochodzi z kilku źródeł: rządu niemieckiego, prywatnych i społeczno-politycznych organizacji i środków europejskich, na rozdział których ma wpływ niemiecka dyplomacja.

Można powiedzieć, że takie patologie mają miejsce wszędzie, gdzie jest demokracja. To prawda, ale z faktu, że nagminnie widzimy patologię, nie wynika, że mamy się z nią godzić. Ale jest problem jeszcze poważniejszy: skala wsparcia i skala „wdzięczności".

Gdyby uczciwie przebadać środki wydane tak, aby Donald Tusk mógł rządzić, byłyby to miliardy euro.

Nie są to pieniądze wyrzucone w błoto. Samo zablokowanie starań Polski o reparacje wojenne to półtora biliona zysku dla Berlina. Dziesiątki miliardów Niemcy zarobią na wstrzymaniu: budowy CPK, inwestycji na Odrze czy portu kontenerowego. Spowolnienie budowy elektrowni atomowych i w efekcie zduszenie rozwoju polskiej gospodarki da Niemcom przewagi warte setki miliardów dolarów.

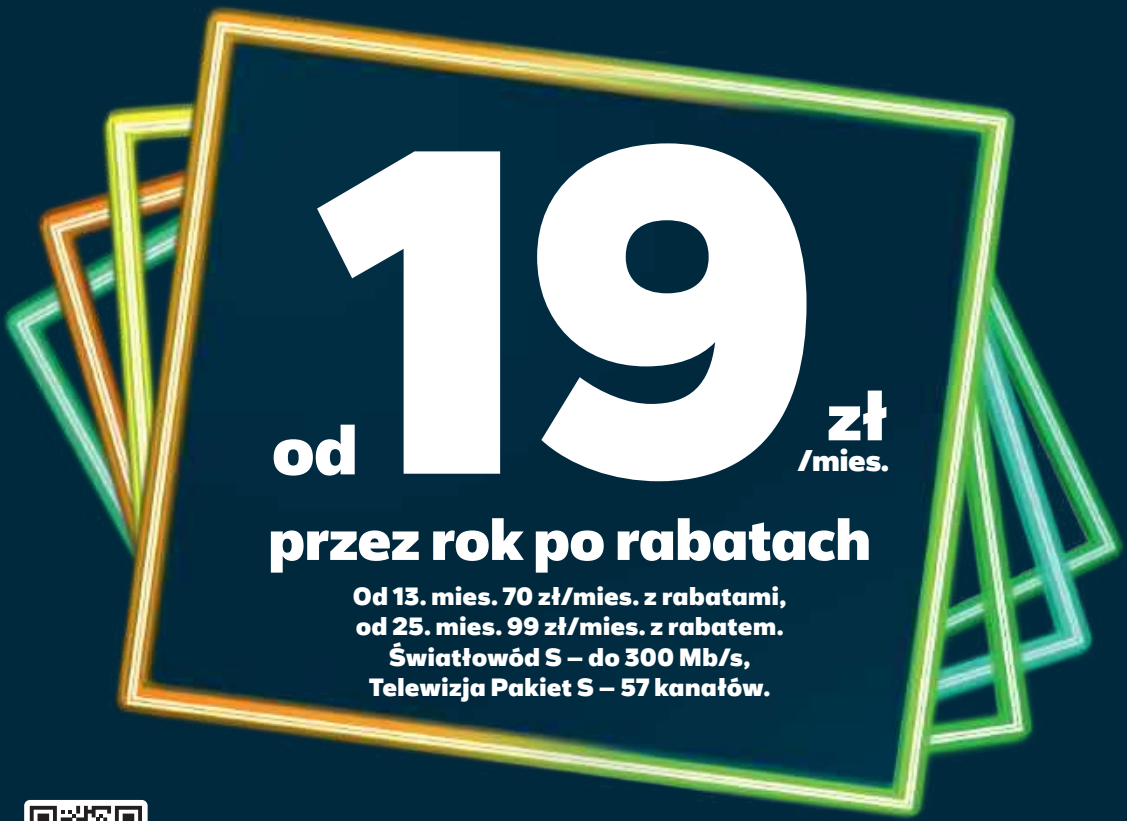
Samo zablokowanie starań Polski o reparacje wojenne to półtora biliona zysku dla Berlina. Dziesiątki miliardów Niemcy zarobią na wstrzymaniu: budowy CPK, inwestycji na Odrze czy portu kontenerowego. Spowolnienie budowy elektrowni atomowych i w efekcie zduszenie rozwoju polskiej gospodarki da Niemcom przewagi warte setki miliardów dolarów.

Sprawę nielegalnego wpływu na kampanię wyborczą, ale przede wszystkim skutków tego dla polskiej polityki, należy zbadać. Trzeba tego dociekać przede wszystkim tam, gdzie jest poważny problem. Jedno państwo weszło za nielegalnie wydane pieniądze w kompetencje drugiego państwa, a zapłacimy za to wszyscy. ■

eprasa.pl 2e2f033bb9

plus polsat box

Światłowód + Telewizja



Pobierz ulotkę

Umowa na min. 24 mies.

Dotyczy prezentowanych ofert łączonych dla nowych Klientów na min. 24 mies. **Światłowód Plusa S** z rabatami (e-faktura, smartDOM i specjalny) 19 zł/mies. przez 12 mies., od 13. mies. 40 zł/mies. z rabatami (e-faktura i smartDOM), od 25. mies. 59 zł/mies. z rabatem (e-faktura). Rabaty mies.: e-faktura 10 zł, specjalny 21 zł, smartDOM 9 zł. Szczegóły w Regulaminie „Plus Internet Stacjonarny – oferta łączona" na plus.pl. Na obszarach o podwyższonych kosztach instalacji możliwa jest wyższa opłata abonamentowa. **Telewizja Polsat Box Pakiet S** przez pierwszy rok bez opłat, w drugim roku 30 zł/mies., potem 40 zł/mies. „Bez opłat" nie obejmuje pakietów dodatkowych, usług technicznych i opłaty jednorazowej za aktywację dekodera. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na polsatbox.pl. **Aby skorzystać z rabatu** smartDOM, należy dotrzymać warunków tego programu i wyrazić zgodę na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon" na polsatbox.pl i plus.pl. Oferta ważna na dzień 20.08.2024 r.

eprasa.pl 2e2f033bb9